

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 04 (173) Kwiecień 2019



Katarzyna Janowska o kulturze w Krakowie, Warszawie i Onet.pl
OFF-CAMERA rządzi! | Czy Lenin wróci do Nowej Huty? | U poety Michała Zabłockiego



9 771733 045903 04
ISSN 1733-0459 Indeks 388726



FILHARMONIA im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Charles OLIVIERI-MUNROE Dyrektor Artystyczny

Gabriel CHMURA I Dyrygent Gościnny

ANTONI WIT Dyrygent Honorowy

SZYMANOWSKI

FESTIWAL POLSKA / ŚWIAT

26-30.03.2019 → Filharmonia
im. Karola Szymanowskiego w Krakowie

26.03. GODZ. 18:00

POKAZ FILMU

SZYMANOWSKI W PRADZE

SPOTKANIE Z REŻYSEREM

- PIOTREM SZALSA

26.03. GODZ. 19:30

ORKIESTRA

FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

CHARLES OLIVIERI-MUNROE - DYRYGENT

JAN KRZYSZTOF BROJA - FORTEPIAN

SZYMANOWSKI, DVOŘÁK

27.03. GODZ. 19:30

ORKIESTRA KAMERALNA

POLSKIEGO RADIA AMADEUS

AGNIESZKA DUCZMAŁ - DYRYGENT

SZYMANOWSKI, KNIPPER,

BACEWICZ, SZOSTAKOWICZ

28.03. GODZ. 19:30

JOANNA DOMAŃSKA - FORTEPIAN

MAGDALENA LISAK - FORTEPIAN

M.J.N. HARNASIENIA 2 FORTEPIANY

29.03. GODZ. 19:30

OLGA PASIECZNIK

ADAM STRUG

HARMONIUM DUO

PIĘŚNI KURPIOWSKIE

- ŹRÓDŁA I INSPIRACJE

30.03. GODZ. 18:00

ORKIESTRA

TEATRU NARODOWEGO

W PRADZE

JAROSLAV KYZLINK - DYRYGENT

JANUSZ WAWROWSKI - SKRZYPCE

SZYMANOWSKI, DVOŘÁK, JANÁČEK

25.03 - 18.04

WYSTAWA POŚWIĘCONA

ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI

KAROLA SZYMANOWSKIEGO

WŁASNOŚĆ - BIBLIOTEKA

UNIwersytetu

WARSZAWSKIEGO

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

Kraków



KONCERTY ORATORYJNE
w 10. rocznicę śmierci Józefa Radwana

ORKIESTRA I CHÓR
FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Gabriel CHMURA

dyrygent

Magdalena MOLENDOWSKA

sopran

Olga MAROSZEK

alt

Pavlo TOLSTOY

tenor

Remigiusz ŁUKOMSKI

bas

W programie:

Anton BRUCKNER IX Symfonia d-moll
Te Deum C-dur

26.04.2019

piątek, godz. 19.30

27.04.2019

sobota, godz. 18.00

SALA KONCERTOWA FILHARMONII, ul. Zwirzyńska 1

fort. K. Schubert

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL



FILHARMONIA
im. Karola Szymanowskiego
w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA



Produkcja niezależna, rys. Andrzej Zaręba (specjalnie dla miesięcznika „Kraków”)

KWIECIEŃ 2019

Niezależne ekrany

Tekst: Maria Malatyńska

Podobno na świecie jest ponad pięć tysięcy imprez filmowych, które w tytule mają słowo „niezależny”.

Odmienia się to słowo przez rodzaje i przypadki, szermuje się nim oficjalnie i nieoficjalnie, sądząc pewnie, że takie pojęcie samo w sobie wzmacnia siłę filmowego przekazu. Byłaby to „moda” czy chęć przypodobania się? I komu, jeśli „wszyscy” chcą być niezależni? Może jest w tym jednak wewnętrzne przekonanie, że to, co wolne i niezależne, jest z natury autorskie i twórcze? A więc ważniejsze i cenniejsze w naszym skomercjalizowanym świecie i łatwiej z taką wartością dotrzeć do odbiorcy. Przecież nie chodzi chyba o to, że powieszenie na sztandarach szyldu „niezależny” dobrze brzmi i ładnie wygląda?

*
Zawsze mnie rozśmieszała funkcjonująca w kinematografii amerykańskiej impreza Film Independent Spirit Awards. W jej ramach przyznawane są nagrody nazywane „niezależnymi Oscarami”.

Ci, którzy tworzą filmy niezależne, a więc autorskie, na ogół odległe od popularnych mód tematycznych i formalnych, nigdy nie mieli łatwo.

I to w kategoriach analogicznych do tych, które daje Amerykańska Akademia Filmowa. Ba, często nominowane są te same filmy, a laury wręcza się im dzień przed prawdziwymi Oscarami. Kto tu więc z kim walczy? Po co ta gra? Wygląda to na żart! Przecież już sam pomysł jest wewnętrznie sprzeczny! Wszak nie ma w świecie filmowym nagrody bardziej zależnej i skomercjalizowanej niż Oscary właśnie. Nawet najmniejsza sugestia niezależności musi więc zaskakiwać. Tymczasem jest w tym założeniu także pewna szczerść, bo Film Independent to jedyna organizacja, która definiuje, o jaką niezależność chodzi. Otóż najważniejsza jest tam nagroda imienia Johna Cassavetes, rzeczywiste go niezależnego i niepokornego, a produkcyjnie ostentacyjnie amatorskiego, amerykańskiego reżysera sprzed pół wieku, który tu patronuje nagrodzie dla filmu zrealizowanego – uwaga! – za mniej niż 500 000 dolarów! No, to już jest konkretnie! A do forsy przy okazji niezależności rzadko kto tak otwarcie się przyznaje, choć wszyscy wiemy, że filmy to drogie zabawki, a filmowcy to artyści najbardziej zależni od producenckiego kapitału. Jeśli zatem komuś

uda się zrobić dobry film poniżej oszalałych kosztów, to na pewno zasługuje na nagrodę! Tylko czy akurat pod znakiem niezależności?

*
Specjalnie zmierzam w stronę kina amerykańskiego, bo właśnie tam, w samym środku wielkiego przemysłu kinematograficznego, o świadomie skomercjalizowanej każdej ekranowej produkcji, powstał najpoważniejszy przegląd filmów niezależnych: słynny, cieszący się ogromnym autorytetem artystycznym festiwal w Sundance. Jego geneza jest frapująca: założył go Robert Redford, amerykański gwiazdor pierwszej wielkości, a więc przynajmniej przez pół kariery zależny od producentów!

Niegdyś urodziwy chłopak o zniewalającym, łobuzerskim uśmiechu, który przed wielu laty stworzył wraz z drugim gwiazdorem, błękitnookim Paulem Newmanem niezapomniany duet w *Butch Cassidy i Sundance Kid*, a potem w *Żądle*. Szybko też poczuł uwielbienie tłumów – i wielką kasę, zwłaszcza, że każdy chciał z nim grać: i w *Zaklinaczu koni*, i w *Niemoralnej propozycji*, i w 45 innych filmach. A potem coś się zmieniło: wyzwolił się z zależności, zaczął sam produkować i reżyserować filmy (pierwszego Oscara dostał za *Zwyczajnych ludzi*, reżyserski debiut). I wreszcie stworzył festiwal filmów niezależnych. Czy znudziła mu się lakierowana doskonałość hollywoodzkiego tygla i wyścig po każdą rolę? Czy też może z potrzeby serca postanowił tak właśnie spożytkować własną popularność, by pomóc tym, którzy mają mniej pewności siebie i szczęścia? Tego nie wiemy. W każdym razie musiała go zachwycić różnorodność propozycji filmowych z całego świata, jeśli festiwal istnieje już 35 lat i jest wciąż najpoważniejszym miejscem promującym autorskie, wartościowe filmy i prawdziwych artystów, zwłaszcza tych bez zbytejnej siły przebicia.

Redford zachował się zresztą jak rasowy filmoznawca, perspektywicznie myślący: równocześnie z festiwalem założył Instytut Sundance. W jego ramach funkcjonują laboratoria i warsztaty poświęcone rozwijaniu nowych konceptów i prac, instytut dostaje granty, tam posyła się scenariusze, tam odkrywa się oryginalnych twórców, którym daje się szansę na realizację pomysłów. Ta instytucja wspiera, potrafi docenić oryginalność filmową na całym świecie i doskonale współgra z festiwalem. Z festiwalem i instytutem związani są też polscy artyści.

A w lutym Krystyna Janda dostała w Sundance wielką nagrodę aktorską za rolę w filmie Jacka Borcucha *Słodki koniec dnia*. I całkiem słusznie: Borcuch i Stefan Twardoch jako współscenarzyści dali Jandzie przebogaty materiał aktorski. Postać polskiej poetki noblistki (skojarzenie przypadkowe) Marii Linde, mieszkającej w Toskanii od czasów stanu wojennego, która styka się, nawet prywatnie i blisko, z problemem imigrantów, a po wielkim zamachu terrorystycznym w Rzymie reaguje gorącym przemówieniem politycznym przeciwko zaniedbaniom rządowym, korupcji i kłamstwu, a także przeciwko krótkowzroczności polityków – to materiał idealnie stworzony dla temperamentu i zainteresowań Jandy. Aby uspokoić naszą propagandę, spieszę donieść, że nie nasz rząd aktorka krytykuje, ale rząd włoski, gdyż film jest współprodukcją, a pod polską batutą reżyserską występują tu i Kasia Smutniak (aktorka już dawno bardziej włoska niż polska, ale że tamten rząd nie boi się krytyki filmowej, więc możemy być o nią spokojni), i Vincenzo Riotta, i Antonio Catani i kilku innych..

*
Z rozważań tych można wysnuć wnioski, że to właśnie odpowiednio przygotowane instytucje kreują obrazy niezależności w kinematografiach. I to jest w jakimś stopniu prawdą, choć nie dzieje się aż tak bezpośrednio. Poprzez instytucje łatwiej tylko widać indywidualne propozycje filmów i ich autorów. A ci są różni. „Jednym wolność jest potrzebna do życia jak powietrze, a innym nie” – mawiał Andrzej Wajda. I rzeczywiście: ci, którzy tworzą filmy niezależne, a więc autorskie, na ogół odległe od popularnych mód tematycznych i formalnych, nigdy nie mieli łatwo.

A jednak od pewnego czasu coś tu się wyraźnie zmienia. Na naszych oczach, i to nie od dziś, widoczne są zjawiska, które właśnie poprzez zaskakujące instytucje ujawniają się coraz intensywniej. Te istotne procesy to całkiem nowa rola, jaką sobie przypisały „normalne”, wielkie festiwale filmowe. Wygląda to tak, jakby każdy stary, zasłużony, klasyczny festiwal chciał mieć zasługi w odkrywaniu nowych, właśnie niezależnych filmów. Jak niezależnych? Nie wiadomo. W każdym razie takich, które na zewnątrz wyglądają najmniej dostosowane do „klasyki wielkich widowisk”, które bywają nieraz półprywatne, zagłębione we własne tematy i formy. Oto od pewnego czasu, od dziesięciu lat lub nawet więcej, spatynowane tradycją festiwale dostrzegają filmy niekonwencjonalne, podejmujące ważne dla swojego kraju tematy, często w formie skromnej, nieraz nawet warsztatowo niedoskonałej – i nagle takie filmy dostają najwyższe nagrody. Są zatem odpowiedź dla starych festiwali na nowoczesność sztuki kina. A może jeszcze czymś innym? Na przykład wkładem Europy we współczesne oczekiwania niekonwencjonalnych, własnych filmów? Bo przecież nie może być przypadkiem to, że tak właśnie otwierają się festiwale europejskie. Tak właśnie zaczęła się kariera filmów irańskich po festiwalu w Wenecji lub w Cannes, tak świat oszalał po tych samych imprezach dla ponurych, intymnych filmów rumuńskich, tak Berlinale, wręczając Złotego Niedźwiedzia, wykreowało filmy Turka Fatih Akina, poczynawszy od jego debiutu *Głową w mur* jeszcze z 2004 roku.

A i przykład ostatni, prawdziwie brawurowy, musi zastanawiać. Chodzi o głośną *Romę*, meksykański film z meksykańskim reżyserem Alfonso Cuarónem, który to obraz, począwszy od Złotego Lwa w Wenecji przez 32 nagrody europejskie i amerykańskie zawojował wreszcie Oscary! Te prawdziwe, skomercjalizowane do dna, które poczuły nowoczesność filmowego języka? Ale jakże to jest zrobione? Niemal żadnego zbliżenia, głównie plany ogólne, potoczna faktura dokumentu... *Roma* chodzi w glorii filmu niezależnego, niemalże prywatnego, w którym meksykański reżyser składa hołd swojej ojczyźnie, odtwarzając jej obraz znany mu z dzieciństwa, czyli z lat 60. ubiegłego wieku. Sprytny reżyser! Zrobił najpierw szybką karierę amerykańską przez kilka miłych Amerykanom obrazków, jakichś *Wielkich nadziei*, jakiejś *Małej księżniczki*, ba nawet coś z Harrym Potterem, a potem wrócił i wszystkie pieniądze poświęcił *Romie*, intymnej opowieści o ojczyźnie. Własnej, niezależnej od niczego!

*
Dawniej było prościej. Pamiętam, jak określenie „niezależny” pojawiało się wymiennie z określeniem „amatorski”. Pamiętam, że różne lokalne festiwale filmów krótkometrażowych, na ogół dokumentalnych, ale właśnie amatorskich, lubiły mówić o sobie, że są „niezależne”, bo słowo „amatorski” powoli stawało się pejoratywne. Nikt już nie pamiętał łacińskiego źródłosłowu od „*amo*, *amare* – kocham”, ale wszyscy wiedzieli, że „amatorski” musi być „nieprofesjonalny”, czyli kiepski warsztatowo, nudny tematycznie itd. A „niezależny” to było coś! Może tajemniczy, na pewno własny, realizowany gdzieś „na boku”, bez środków, niepodlegający żadnym nakazom, choćby

Od pewnego czasu także spatynowane tradycją festiwale dostrzegają filmy niekonwencjonalne, podejmujące ważne dla swojego kraju tematy, często w formie skromnej, nieraz nawet warsztatowo niedoskonałej.

cenzury. A realizowany tylko dlatego, że miało się coś do powiedzenia. Najwięksi później profesjonalści zaczynali od takiego filmu. Pisali potem o tych doświadczeniach książki i podręczniki, a przykładami mogą być chociażby Kazimierz Karabasz czy Krzysztof Zanussi. Ale czy dawniej, czy obecnie, czy w czasach, gdy synonimem filmu niezależnego był film amatorski, czy też w czasach, gdy kino niezależne potrafi zawojować każdy wielki festiwal, nikt nie odpowiedział na pytanie: „niezależny” – ale „od czego”? Czy ktoś to kiedykolwiek odkryje?



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

TEMAT MIESIĄCA:
FILMY Z OFFU

Wietrzenie polskiego kina Dominik Jedliński s. 12

Polska scena niezależna zawdzięcza dziś nowe życie pokaźnej mapie filmowych festiwalu, ale także powracającej modzie. Kino niezależne porusza bowiem problemy, które w sferze publicznej właściwie nie istnieją. To w filmach offowych pojawiają się „tematy zakazane”: homoseksualizm, aborcja czy pedofilia. Ten boczny tor to miejsce dla niepokornych kontestatorów, ale też przestrzeń dla autorów, sprzeciwiających się dyktaturze komercji.



ESEJ

Niezależne ekrany Maria Malatyńska s. 2

KRAKÓW MÓWI

Moją partią jest kultura
— z Katarzyną Janowską / Witold Bereś s. 20
Kraków – Hollywood – Kraków
— z Krzysztofem Malkiewiczem / Szymon Piegza s. 29

KRAKÓW W MOIM SERCU

Krystyna Podleska s. 80

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Ostatni
— z Leopoldem Kozłowskim / Katarzyna Domagała i Szymon Piegza s. 34
Dziesięć lat opery w operetce
Anna Woźniakowska s. 41
Filmy o sztuce w Zakopanem s. 51
Wielganoć po krakowsku s. 52
Kraków w rękach krakowian s. 53
Grzegorz Stec w retrospektywie s. 58
Lenin znowu w Nowej Hucie?
Anna Grochowska s. 62
Kronika kulturalna s. 88
Krakowski łącznik s. 90
Kraków (Główny) s. 91
Linia A–B s. 92

OBYWATELE KRAKOWA

Mieszkając przy ulicy Sezamkowej
(Katarzyna Bilan-Zajęc) Paweł Kopeć s. 8

HISTORIA

FOTO-RETRO Krzysztof Jakubowski s. 10
Marek Edelman. Po słonecznej stronie
Witold Bereś, Krzysztof Burnetko s. 26
BYŁO, NIE MINĘŁO Jan Pieszcachowicz s. 78
KALENDARIUM KRAKOWSKIE Kwiecień 1919
Krzysztof Jakubowski s. 59

TEATR

Wizyta innych opowieści Paweł Głowacki s. 66

FILM

Uff, ale OFF Maria Malatyńska s. 74

LITERATURA

Wiele twarzy poety
— z Michałem Zabłockim / Elżbieta Wojnarowska s. 70

POEZJA

Michał Zabłocki s. 72

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka s. 84

GALERIA „KRAKOWA”

Ryszard Otręba Jakub Wydrzyński s. 49
Kwestionariusz Prousta.
Odpowiada Ryszard Otręba s. 50

MUZYKA

Krakowskie brzmienia alternatywne
Krzysztof Winiarski s. 54

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIECIE Ewa Lipska s. 5
OKIEM BERESIA Witold Bereś s. 6
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko s. 7
GOŚCINNIE Monika Libicka s. 40
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma s. 81
W WARSZAWIE Magdalena Miśka-Jackowska s. 82
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz s. 83
PASY PANY Jerzy Pilch s. 96

OKŁADKA

Katarzyna Janowska Fot. Michał Massa Mąsior

Szanowny Panie Redaktorze,

czy nie uważa Pan, że bywają kraje, które stają się jedynie suplementami państw. Badania wykazują, że niektóre z nich mogą szkodzić zdrowiu; zawierają toksyczne wypełniacze, konserwanty i brunatne barwniki. Aby przedwcześnie nie wywinąć orła, należy przed użytkowaniem tych krajów uważnie przeczytać ulotkę informacyjną.

Z depresyjnymi wyrazami poważania

Ewa L.



Fot. Danuta Węgiel

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Sztuka? Więcej wolności

Tekst: Witold Bereś

Co po artystach w czasie marnym? Komu potrzebna kultura, gdy jej odbiorcom brak na chleb, politycy żądają daniny propagandowej, Sieć wymusza mega nadpodaż wszystkiego, w tym sztuki, a motłoch łaknie Big Brothera?

Swoją drogą to zabawne, jak polski artysta miotany jest przez ostatnie 200 lat z okładem. Kapitał chce kasy, lud chce patriotycznych uniesień, a Władza zawsze (prawie) chce sztuki z tezą, czyli propagandy.

Wydawało się jednak, że nasza wolność budowana w 1989 roku wszak przez intelektualistów usunie takie przeszkody.

I usunęła. Tylko się okazało, że kultura to rzekomo część gospodarki taka jak przemysł zapałczany: jest przychód, ale są i koszty, a wszystko ma na siebie zarabiać.

Celnie polemizował z tą wizją kilka lat temu błyskotliwy menadżer kultury Paweł Potoroczyn w eseju *Nie ma miodu bez zapylania*. Pisał: „Ten typ myślenia całkowicie ignoruje fakt, że kultura nie zaspokaja żadnych potrzeb, ona je tworzy. Nie za-

Bo jednej lekcji Władza nie odrobiła: kulturze, owszem, szkodzi brak pieniędzy, ale jeszcze bardziej – zamówienie polityczne i sztuka z tezą.

*

Co zatem mają robić twórcy w czasach trendów narodowosocjalistycznych? (Wiem, wiem: nasilają się w całej Europie. I co z tego?). A jeśli w dodatku pieniędzy nie ma, a na scenie rządzi chłam?

Nadzieją jest 3xS: Sztuka przez duże S, samorząd wspierający, suwerenność artystyczna.

I tak się dzieje.

Blisko 80 procent pieniędzy publicznych na kulturę idzie poza centralą – przez samorządy miejskie, wojewódzkie i lokalne instytucje kultury.

Bardzo dużo dzieje się poza mainstreamem. Jest niezależna scena muzyczna. Jest teatr offowy. Jest kino niezależne. Jest kultura wysoka mieszana zrzęcznie w sosie popkulturowym – patrz nagrody Onetu i Miasta Krakowa.

O wszystkich tych zjawiskach piszemy w tym numerze.

Najpierw jednak musimy przypomnieć o głównej powinności artysty: trzeba wytrwale robić swoje. Pamiętać, że sztuka wymaga wytrwałości i zawsze idzie pod prąd. (Jak to mawiał Mark Twain: „Ilekoć znajdziesz się po stronie większości, zastanów się przez chwilę”).

Ale politykom, którzy chcą wielkiej zmiany w Polsce jesienią, przypomnieć trzeba coś innego. Owszem, zmiany są konieczne. Zresztą nie wyobrażam sobie, żeby prawdziwy artysta, intelektualista, humanista, chciał tworzyć pod dyktando polityków. Najpierw jednak chciałbym jednak wiedzieć, co rozumiano z minionych lat. Czy politycy rozumieją, że – jak dowodzi od dawna profesor Jerzy Hausner – bogacą się ci, którzy inwestują w kapitał społeczny, czyli w kulturę?

I taka na deser anegdota.

Jest rok 1941. Wielka Brytania chwieje się w posadach pod uderzeniami hitlerowskiego imperium, a jej skarb świeci pustkami. Do Winstona Churchilla, premiera, ale i intelektualisty, przychodzi minister finansów i pyta: „To co, tniemy po kulturze?”. Wściekły szef rządu zjadliwie syczy w odpowiedzi: „Tylko niech mi Pan najpierw przypomni: to o co toczyśmy tę wojnę?”.



Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Mądrość i odwaga

Tekst: Krzysztof Burnetko

Mądrość, której nie towarzyszy odwaga, traci często niemal wszystko z należnych jej splendorów. Dowodzą tego dwie obchodzone w kwietniu, pozor- nie tylko z sobą niezwiązane, rocznice.

Kiedy w kwietniu 1943 roku żydowscy bojownicy z getta warszawskiego podejmowali decyzję o zbrojnym przeciwstawieniu się niemieckim nazistom, wykazali nie tylko szaleńczą odwagę, ale i długofalową mądrość. Ich opór przeszedł bowiem do historii nie tylko jako świadectwo niebywałego bohaterstwa. Stał się także na zawsze już dowodem na absurdalność tezy, że Żydzi bezwolnie poddali się Zagładzie i szli do komór gazowych niczym – jak mawiają głupcy bądź cyniczni antysemita – „barany prowadzone na rzeź”.

Nie bez powodu Marek Edelman, wtedy jeden z przywódców zrywu, powtarzał: „Chodziło przecież o to, żeby się nie dać zarżnąć, kiedy po nas przyszli. A że ludzkość umówiła się, że umieranie z bronią jest piękniejsze niż bez broni, więc podporządkowaliśmy się tej umowie”. Tyle że zawsze zaraz dodawał, iż „ludzie, którzy poszli do komór gazowych, zachowali się nie mniej bohatersko niż ci, którzy walczyli z bronią w rękę”. Opowiadał o nastoletniej Poli Lifszyc, która dobrowolnie poszła na Umschlagplatz, by nie opuszczać gnanej tam mamy i pojechać razem z nią do Treblinki. Albo o Ince Świdowskiej, lekarce z gettowego szpitala, która własnoręcznie podała leżącym tam dzieciom zabójcze dawki morfiny, aby uchronić je od traumy wywózki i zapewnić najmłodszym swoim pacjentom spokojną śmierć. Wykazała się wtedy najgłębszą ludzką mądrością i nadludzką odwagą – oceniał Edelman.

Historię tę przypominamy w tym numerze „Krakowa”.

Podobnie jak scenę z kwietnia 1999 roku, kiedy w Waszyngtonie odbywał się uroczysty szczyt NATO z okazji półwiecza istnienia Paktu – z udziałem państw dopiero co do sojuszu przyjętych (w tym Polski). Atmosfera nie była jednak do końca święteczna: NATO właśnie rozpoczęło naloty na Jugosławię, chcąc wymusić przerwanie czystek etnicznych w Kosowie oraz obalenie dyktatury Slobodana Miloševicia w Serbii. Tłumacząc decyzję sojuszu, prezydent Bill Clinton powołał się wtedy właśnie na zamieszczony w „New York Timesie” głos Edelmiana. Cytował jego słowa, że wolność ma i musi mieć swoją cenę. I odwoływał do sugestii, że nie wystarczy rozsądnie oceniać sytuację czy nawet podejmować mądre decyzje – trzeba mieć też odwagę, by swoje przekonania wcielać w życie.

Bo mądrość bez odwagi często na niewiele się przydaje.

*

Tak się złożyło, że nie tylko mądrość, ale i odwaga stały się ostatnio znowu towarami cennymi. Podobnie zresztą jak wolność.

Odwagi, a czasem obywatelskiego nieposłuszeństwa wymaga sprzeciw wobec pojawiających się opresyjnych (cóż z tego, że wątpliwych prawniczo) przepisów czy bezpardonowych działań władzy państwowej. Ale też – wynikający z rozsądku, czyli właśnie mądrości – opór w stosunku do irracjonalnego często *vox populi*: poglądów, sympatii i nastrojów prezentowanych przez wielu sąsiadów i rodaków.

Za przywiązanie do zasad – nawet tych zdawałoby się oczywistych, bo po prostu przyzwoitości – znowu trzeba płacić.

Za przywiązanie do zasad – nawet tych zdawałoby się oczywistych, bo po prostu przyzwoitości – znowu trzeba płacić. A to szykanami policji i prokuratury (z wytaczaniem procesów włącznie), a to wysłuchiwaniami obelg i pogróżek, a to zrywaniem kontaktów towarzyskich czy rodzinnych.

Mądrości obywatelskiej znow towarzyszyć musi obywatelska odwaga.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Mieszkając przy ulicy Sezamkowej

Wysłuchał Paweł Kopeć Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Na Kazimierza Wielkiego zna każdą bramę, z każdym zamieni kilka słów, nie przejdzie w spokoju stu metrów z kawiarni do pracy. Powiedziałałbyś: celebrytka. Czy punkt ksero może stanowić centrum sąsiedzkiego mikrokosmosu? Może. Swoją historię opowiada Katarzyna Bilan-Zajac

Dziś ludzie zwariowali. Liczy się tylko biznes. Ja nie chcę pędzić. Wyhamowałam. Na szczęście nie musiałam tego robić sama: jest ze mną cała ulica, na której prowadzę biznes. Ulica Sezamkowa w samym sercu Krakowa.

Kiedy byłam nastolatką, marzyła mi się kariera koszykarki. Kiedy przeprowadziliśmy się z rodzicami z Podgórza na ulicę Nawojki, naturalnie wylądowałam w Wiśle. Wielką satysfakcją była gra z białą gwiazdą na piersi. Ale mając dwadzieścia kilka lat, świadomie zrezygnowałam. Gdy widzi się na boisku osoby, którym gra wychodzi dużo lepiej, należy się wycofać i poświęcić energię na coś innego. Mnie się to udało, ale dyscyplina, której nauczyłam się jako koszykarka, bardzo pomogła mi dotrzeć tu, gdzie teraz jestem.

Nieprzerwanie od ponad 25 lat prowadzę studio poligraficzne w okolicy ulicy Królewskiej. Nie umiem powiedzieć, dlaczego padło akurat na tę branżę. Wtedy początkujący przedsiębiorca miał mnóstwo możliwości. Czy otworzyłbyś piekarnię czy zakład mechaniczny – firma z miejsca zaczynała prosperować. Nasz punkcik jest mały i niepozorny, może więc się wydawać, że przez lata nie rozwinięliśmy się szczególnie. Tymczasem obsługujemy największe krakowskie instytucje, uczelnie i przedsiębiorstwa. Realizujemy też codzienne zamówienia mieszkańców. Tu każdy się zna: do jakiegokolwiek lokalu wejść, kojarzę każdą twarz, z niemal każdym jestem po imieniu. Wchodzę do kawiarni i nie muszę nic mówić. Kelnerka pyta tylko: „To co zawsze?”. Dobrze nam na naszej Sezamkowej ulicy. To jak zamknięty świat, którego puls bije wolniej.

Dbłość o tradycję, pielęgnowanie więzi rodzinnych i przyjacielskich wyssałam z mlekiem matki. Najważniejszy jest człowiek. Trzeba mieć do niego szacunek, niezależnie kim jest. Ktokolwiek przekroczy próg mojego sklepu, jest potraktowany jak osoba, a nie jak anonimowy klient. Czy przyszedłbyś wykonać kserówkę za 20 groszy, czy w imieniu

firmy składasz kilkutyśne zamówienie, chcę ci pokazać, że jesteś ważny. I ludzie to doceniają, wracają tutaj, aby po prostu z nami pobyc, zamienić choćby trzy słowa w drodze do pracy. Każdy tu może poczuć odrobinę ciepła, trochę nostalgii za czasami, kiedy czło-

Czy przyszedłbyś wykonać kserówkę za 20 groszy, czy w imieniu firmy składasz kilkutyśne zamówienie, chcę ci pokazać, że jesteś ważny. I ludzie to doceniają.

wiek miał więcej czasu dla siebie. Nie chcemy loftowego stylu. Choć oczywiście nie stoimy w miejscu – modernizujemy sprzęty, wystrój. Jednak duch się nie zmienia. Biznes biznesem, ale tutaj rządzi przyjaźń.

Mam za sobą trudny rok, rok, który przypomniał mi, że nie jestem nieśmiertelna. Teraz znów jestem w pełni sił i w ciągłym ruchu, ale wtedy nieszczęście spadło jak grom z jasnego nieba. Nagle spojrzałam na swoje życie i uświadomiłam sobie, że należy cieszyć się z małych rzeczy, ponieważ to na małych rzeczach człowiek buduje swoją tożsamość. Dzisiaj cieszę się każdym drobiazgiem: wyhamowałam. I nigdzie nie czułabym się lepiej niż na naszej ulicy. Warto sobie znaleźć takie miejsce, gdzie spotykają się osoby z pasją. Niezbędna jest otwartość, uśmiech dla drugiego człowieka. Takie miejsca tworzą ludzie. Czy jest taka druga ulica w Krakowie? Wątpię. Ale zachęcam do poszukiwań!



Paweł Kopeć – gdańszczanin na poniewierce, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.





Widok z tarasu Pałacu Prasy przy ul. Wielopole, fot. NN, 1932, NAC

Orkiestra na wysokościach

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: z archiwów NAC

Gmach u zbiegu ulic Wielopole i Starowiślnej – zwany Pałacem Prasy – mieścił w okresie międzywojennym wydawnictwa koncernu „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” należące do wpływowego redaktora i zarazem posła na sejm Mariana Dąbrowskiego. Niewątpliwą atrakcją gmachu był taras widokowy na ostatniej kondygnacji, wykorzystywany często do pamiątkowych fotografii. Na tle malowniczej panoramy starego Krakowa uwieczniali się odwiedzający miasto artyści, politycy czy innej maści oficjele.

W wypadku przedstawionej fotografii położenie tarasu wykorzystano dość nietypowo, bo do przedstawienia orkiestry dętej, która usadowiła się na najwyższym punkcie sąsiedniej Poczty Głównej. Orkiestra złożona jest jednak nie z pocztowców, a ze strażaków z pobliskich koszar przy ówczesnej ul. Potockiego (dziś Westerplatte). Nie ulega to wątpliwości, bo nieźle widoczne są czapki-rozety, które były elementem umundurowania straży pożarnej. Pocztowcy nosili wtedy czapki okrągłe, tak zwane maciejówki.

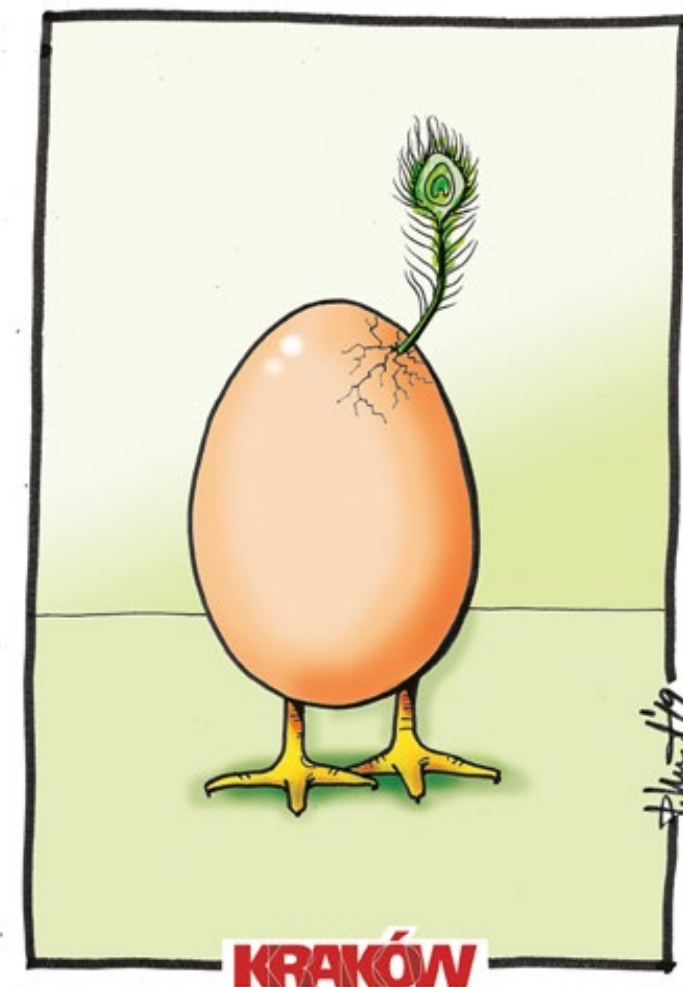
Fotografia została wykonana przy okazji święta 3 Maja 1932 roku, o czym świadczą powiewające w kadrze flagi. Orkiestra, złożona z około 40 osób, wypełnia szczelnie kolisty, otoczony barierką taras. Najwyżej, nieco ryzykownie, wyszedł strażak z tubą, poniżej usadowiła się trójka grająca na waltorniach i helikonie. Reszta stoi już bezpiecznie, wdzięcznie pozując z trąbkami, kornetami i puzonami.

Warto przypomnieć, że wizerunek Poczty Głównej zmienił się diametralnie zaledwie kilka miesięcy wcześniej, po przebudowie ukończonej w październiku 1931 roku. Fasada utraciła wówczas bezpowrot-

nie pełen zdobień i kunsztownych detali neorenesansowy kostium, zyskując trzecie i czwarte piętro, niezbędne do pomieszczenia rozbudowującej się telefonii. Usunięto też narożną kopułę, zastąpioną miniwieżą z płasko zamkniętym dachem, na którym urządzono ów taras. Za sprawą Fryderyka Tadaniera, jednego z najwybitniejszych architektów tamtych lat, gmach zyskał modernistyczny sznyt z dekoracyjnym kryształkowym fryzem (widać go w narożniku pod wieżą). Niestety, podczas remontu przeprowadzonego w połowie lat 90. ubiegłego wieku, zamiast odtworzyć zniszczony po wojnie fryz, narożną wieżę nakryto spłaszczoną pseudokopułą, przez co budynek zatracił cechy stylowe.



Krzysztof Jakubowski – krakus, działacz samorządowy, miłośnik i popularyzator historii miasta. Od lat działa w Obywatelskim Komitecie Ratowania Zabytków Krakowa, jest też członkiem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Napisał m.in. *Przy stoliku – czyli o najstarszych krakowskich kawiarniach*.



Ze wiosna. Ze Zmarłych wstanie.
Ze Smigus. Ze pisenki.
Ze miesięcznika „Kraków” i

Dziś i tak jakichś i wielu innych
pawów do radości

Wojciech REDAKCJA

Mellie Noc 2019



Człowiek z magicznym pudełkiem, reż. Bodo Kox, kadr z filmu, fot. Bartosz Mrozowski/Kino Świat/AlterEgoPictures

Wietrzenie polskiego kina

Tekst: Dominik Jedliński

U progu XXI wieku, w gąszczu betonowych lasów oplecionych satelitarnymi talerzami i usianych wypożyczalniami VHS rozkwitł kwiat polskiego kina niezależnego. Za kamery chwycili ludzie znikąd, wideomaniacy, często zupełnie niezwiązani z branżą. Ich bronią był entuzjazm, zaraźliwa filmowa pasja oraz nieograniczona wyobraźnia.

Początek trzeciego tysiąclecia nie był dobrym okresem dla polskiej kinematografii. Pogłębiający się kryzys ekonomiczny rodzimej branży filmowej skutkował produkcjami

wątpliwej jakości. Mrok kinowych sal oglądały kurioza takie jak *Gulczas, a jak myślisz...* (2001) czy *Yyyreek!!! Kosmiczna nominacja* (2002), a do konkursu gdyńskiego festiwalu

przyjmowano niemal wszystkie filmy wyprodukowane w danym roku – tak mało ich powstawało. Filmowcy wciąż nie mogli doczekać się ustawy, która regulowałaby finansowanie kolejnych tytułów.

Powiew świeżości

Problemy profesjonalnego przemysłu filmowego oraz coraz większa dostępność kamer i sprzętu zdjęciowego sprawiły, że na naszym podwórku zaczęła rodzić się alternatywa, szansa na „przewietrzenie” rodzimej sztuki filmowej – tak zwane kino niezależne.

Znalezienie jednoznacznej definicji kina niezależnego, czasem nazywanego „offo-

wym”, nie jest łatwym zadaniem. Termin „niezależności” w kontekście filmu narodził się – a jakże – w USA, w opozycji do tak zwanego mainstreamu, czyli kina głównego nurtu, którym od lat rządzą producenci i wielkie studia filmowe. Sytuacja nieco inaczej wyglądała jednak w Europie, gdzie – w dużej mierze dzięki francuskim nowofalowcom – przez lata mówiliśmy raczej o kinie autorów. W Polsce określenie to przypomina więc dziś ogromny worek, do którego wrzuca się niemal wszystko.

– W definicji, którą posługujemy się w ramach festiwalu, zakładamy, że jest to kino autorskie, kino realizowane przez twórców,



Zmruż oczy, reż. Andrzej Jakimowski, kadr z filmu/Kino Świat

którzy nie boją się wyzwań, i takich, którzy zachęcają widzów do wykraczania poza naszą strefę komfortu. (...) To kino, które w mniejszym stopniu uzależnione jest od komercyjnych oczekiwań, netfliksowych algorytmów czy wytycznych producentów. Ale co za tym idzie, są to często filmy, które być może nie trafią do szerszej dystrybucji i których warto wypatrywać – wyjaśnia Anna Trzebiatowska, dyrektor artystyczna festiwalu OFF Camera, który co roku organizuje w Krakowie wielkie święto kina niezależnego.

Skurcze tkanki polskiego kina

Polskie kino niezależne umownie zaczęło się od filmów produkowanych przez warszawski Zespół Filmowy Skurcz, uformowany przez braci Bartosza i Łukasza Walaszków, a także od *Kallaforra* (1999) Jacka Borcucha, niesionego rozpoznawalnością *Długu* Krzysztofa Krauzego, w którym zagrał. Film zrobiony za własne pieniądze przez grupę przyjaciół, w ciągu trzech miesięcy, z dala od profesjonalnej kinematografii (choć z udziałem profesjonalistów, między innymi Andrzeja Chyry), zainteresował oficjalnych dystrybutorów i wszedł do kin jako pierwszy prawdziwie niezależny film polski.

Reżyserski debiut Borcucha, który zresztą niedawno pokazał swój najnowszy film *Słodki koniec dnia* z Krystyną Jandą i Kasią Smut-

niak w rolach głównych w mekce kina artystycznego – Sundance, otworzył w polskiej kinematografii erę filmów niskobudżetowych i niezależnych artystycznie.

– Borcuch jest jednym z najbardziej konsekwentnych i utalentowanych twórców w naszym kraju. Jego *Słodki koniec dnia* jest niezwykle dojrzały i mądry, ale unika pretensjonalności, o którą, zważywszy na tematykę, nie było trudno – ocenia Anna Trzebiatowska.

W tym samym roku Przemysław Wojcieszek nakręcił *Zabij ich wszystkich*. Za tło dla dramatu trójki młodych ludzi – dwóch akwizytorów oraz siostry jednego z nich – posłużyły prawdziwe wydarzenia ze stycznia 1998 roku, kiedy to na ulicach Słupska doszło do zamieszek po tym, jak policjant zabił 13-letniego kibica. Swój film Wojcieszek stworzył w ciągu kilku dni, w wynajętym mieszkaniu we Wrocławiu. *Zabij ich wszystkich* odniósł sukces, co pozwoliło młodemu reżyserowi zrealizować kolejne filmy – *Głośniej od bomb* i *W dół kolorowym wzgórzem* – już w warunkach profesjonalnych, między innymi z pomocą Canal+

Piękne dzieci rodzą się w bólach

W podobnym czasie Grzegorz Lipiec wraz z zielonogórką, kultową dziś grupą Sky Piastowskie pracował nad filmem *Że życie ma sens* (2000), o tym, jak wielkie pięt-



Anioł w Krakowie, reż. Artur „Baron” Więcek, kadr z filmu, fot. Piotr Uss Wąsowicz/Bereś & Baron Media Productions/Kino Świat

no na ówczesnej Polsce odcisnęły narkotyki. Pechowej realizacji filmu towarzyszyło motto, że „piękne dzieci rodzą się w bólach”. Zdjęcia do filmu wielokrotnie przerywano, ekipa kręciła za pieniądze z własnych portfeli, a gdy te świeciły pustkami, pomagały lokalne władze i prywatni inwestorzy, oferując choćby... dwie beczki piwa dla pracujących przy produkcji. Wysiłek się opłacił – powstał jeden z bardziej znanych filmów offowych, który – podobnie jak *Kallaforr* czy *Zabij ich wszystkich* – trafił do oficjalnej dystrybucji kinowej.

– Produkcja była realizowana jeszcze na kasecie VHS, budżet wyniósł 1 tysiąc dolarów, a trafiła do regularnej dystrybucji! Pamiętam, jak siedziałem na premierze podczas Warszawskiego Festiwalu Filmowego i cofnąłem się w czasie do tego chłopaka wlepionego w *Gwiazdne wojny*. Poczuliśmy, że spełniło się jego marzenie – wspominał Lipiec.

Filmowych zapaleńców było więcej – choćby Łukasz Barczyk i jego debiut *Patrząc na Ciebie, Marysiu* (1999) z Mają Ostaszewską, Wiesław Paluch i *Motór* (2002), błyskotliwe połączenie kina drogi, komedii i przypowieści filozoficznej, ekscentryczny Konrad Niewolski i *D.I.L.* (2002), czyli mroczny świat handlarzy narkotyków, Tomasz Konecki i jego *Pół serio* (2000) o perypetiach trzech młodych filmowców, Marek Bukowski i jego *Blok.pl* (2001), a także Ko-

bas Laksa, który już w 1997 roku zrealizował *Sceny z użycia*, przez co niektórzy przypisują mu palmę pierwszeństwa rozruszania maszyny polskiego kina niezależnego.

Świat staje na głowie

Kolejne objawienie przyniósł rok 2002. Na festiwalu w Gdyni w konkursie głównym znalazł się wówczas niezależny *Edi* Piotra Trzaskalskiego. Wzruszająca historia zbieracza złomu skradła serca widzów i krytyków oraz przypomniła o zapomnianym aktorze charakterystycznym Henryku Gołębiewskim, znanym z seriali przygodowych dla młodzieży, takich jak *Wakacje z duchami* czy *Podróż za jeden uśmiech*. Co więcej, film trafił wkrótce na prestiżowy Berlinale, a także reprezentował nasz kraj w walce o oscarową nominację. Niestety, bezskutecznie.

Rok później swój film zaprezentowały festiwalowej publiczności dwie kobiety. Anna Jadowska i Ewa Stankiewicz zrealizowały *Dotknij mnie* (2003) jeszcze jako studentki łódzkiej filmówki, latem, już po zakończeniu zajęć, na wypożyczonym sprzęcie, dzięki wsparciu znajomych, bez pomocy władz uczelni i profesorów. – Założyłyśmy, że nie będziemy dobijać się do producentów, poprawiać w nieskończoność kolejnych wersji scenariusza. Chciałyśmy zrobić film wtedy, kiedy

mialiśmy na to ochotę i siłę. Rzuciliśmy się w to z impetem i się udało – mówiła Jadowska. Mocny i odważny film kobiecego duetu był sporym wydarzeniem w polskim kinie niezależnym, co potwierdziło wiele nagród, między innymi nagroda główna w konkursie kina niezależnego w Gdyni.

Ciekawy jest również przypadek Andrzeja Jakimowskiego, który, by stworzyć obsypane później deszczem nagród *Zmruż* (2003) z genialną rolą Zbigniewa Zamachow-

w Krakowie stworzyły jedyne w swoim rodzaju filmowe legendy o swoich dzielnicach, swoiste bajki dla dzieci pisane przez dzieci.

Z kolei z Nową Hutą związany jest Sławomir Shuty (właściwie Sławomir Mateja), pisarz, reżyser i performer. W okolicy nakręcił kilka filmów – *W drodze* (2003), o pragnieniu wielkiej przygody, *Lunę* (2005), łączącą elementy kina drogi i horroru historię podróży czterech przyjaciół po rubieżach Polski południowej, czy zrealizowaną za pięćset złotych w dwa dni *Oblubienicę* (2008), jednocześnie żart, ale i realistyczny obraz polskiej prowincji.

Sporo zamieszania w środowisku kina niezależnego w 2004 roku wywołał też film *Katatonia* powstały z inicjatywy ówczesnych studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego: Jacka Nagłowskiego i Patryka Jordanowicza. Pomagali im studenci krakowskiej PWST, a wsparcia finansowego udzielił... właściciel fermy kurczaków. Nagłowski pokazał trudne wchodzenie w dorosłość młodych Polaków. – To film o tym, że wielu z nas nie potrafi wkomponować się we wzorce i schematy zachowań pozostawione nam w spadku przez naszych rodziców, przy jednoczesnej nieumiejętności wypracowania wzorców własnych – utrzymywał.

„Dogonimy was!”

W tym czasie kolejnymi filmami warsztat doskonalili filmowcy dobrze już znani w środowisku. Konrad Niewolski zachwyił zrealizowaną w areszcie śledczym na warszawskiej Białołęce *Symetrią* (2004), Jacek Borcuch urzekł ciepłymi i zadumanymi *Tulipanami* (2004), Anna Jadowska poszukiwała sensu życia w *Teraz ja* (2004), a Przemysław Wojcieszek zrealizował *Głośniej od bomb* (2001) i *W dół kolorowym wzgórzem* (2004), zgarniając po drodze Paszport „Polityki” za „oryginalne dzieła będące manifestem pokolenia trzydziestolatków szukających dla siebie miejsca w naszej rzeczywistości”.

– Kino niezależne rośnie w siłę. Dogonimy was! – rzucił w 2005 roku ze sceny w Gdyni Bodo Kox (dawniej Bartosz Koszała), odbierając wyróżnienie za role w filmach *Homo Father* Piotra Matwiejczyka i *Ugór* Dominika Matwiejczyka, dziś gwiazd polskiego kina niezależnego.

W tym samym roku krótkometrażówka Koksa *Marco P. i złodzieje* podbiła festiwale kina niezależnego. – To zjawisko rodziło się z czystej potrzeby robienia filmów. Amatorzy chwyłali za kamery i tworzyli. Wtedy było się niezależnym od wszystkiego, przede wszystkim od pieniędzy. Jedyne bariery to własna wyobraźnia i ograniczenia techniczne – mówi dziś Kox.

Jego filmy często przypominały coś w rodzaju happeningów i performansów. Gdy w maju 2004 roku Polska wstępowała do Unii Europejskiej, Kox z kumplami nakręcił prze-

śmiewczą etiudę, w której rozebrany do naga odbijał przywiązany do penisa balon z gwieździstą flagą UE. Dla rozluźnienia zatrważającej „powagi chwili”.

Kox z czasem przeszedł do głównego nurtu. Studiował w łódzkiej filmówce oraz szkole Wajdy. Jego *Dziewczyna z szafy* w 2012 roku zgarnęła „Orła” za „Odkrycie roku”. Z kolei niedawnym *Człowiekiem z magicznym pudełkiem* (2017) udowodnił, że w Polsce z powodzeniem można łączyć kino gatunkowe (w tym wypadku SF) z niezależnym. Aktualnie pracuje nad serialem historycznym dla TVP *Ludzie i bogowie*, o egzekutorach AK, którzy podczas wojny likwidowali nazistów i zdrajców narodu.

– Przychodzi taki wiek, że nie wypada być już w okręgówce. Szkoda życia. Trzeba się rozwijać, piąć się ku górze. Żenujące jest, będąc dorosłym mężczyzną, prosić aktora, żeby grał za darmo. Wiedziałem, że muszę się sprofesjonalizować – mówi reżyser.

Płynna granica

Nie tylko Bodo Kox rozpoczął romans z kinem głównego nurtu. Podobny kierunek obrał chociażby Piotr Trzaskalski, który w 2012 roku dał polskiej publiczności międzypokoleniowy przewodnik po męskim świecie, czyli *Mój rower* z Arturem Żmijewskim i Michałem Urbaniakiem w rolach głównych. Twórca *Ediego* ponownie pokazał, że jak mało kto potrafi uderzać w tragikomiczne tony i pociągac za właściwe obyczajowe struny.

Płynny transfer do kina w pełni profesjonalnego umożliwiła w dużej mierze podpisana w czerwcu 2005 roku ustawa o kinematografii, regulująca system finansowania produkcji filmowej, a także powołująca do życia Polski Instytut Sztuki Filmowej. Od tego momentu filmowcy, także niezależni, mogli liczyć na dotację. Przeświadczenie, że prawdziwie niezależne mogą być jedynie filmy powstałe bez państwowych czy prywatnych pieniędzy, przestało obowiązywać. Dziś niezależny w Polsce film to przede wszystkim obraz twórcy, który mimo dotacji lub finansowego wsparcia, zachowuje swój autorski charakter.

– Polscy twórcy nie mogą bazować na pomocy prywatnych inwestorów w takim stopniu jak amerykańscy filmowcy, co oznacza, że wsparcie Instytutu, zwłaszcza na wczesnym etapie produkcji, jest bezcenne. Nie skłamię jeśli powiem, że Amerykanie zazdroszczą nam systemu dofinansowań, jakim dysponujemy, i sami chętnie by z niego korzystali – tłumaczy Trzebiatowska.

Kino w galerii sztuki

Ale dla swoich potrzeb kino offowe wykorzystują też artyści sztuk wizualnych. Prace Artura Żmijewskiego (nie mylić z popularnym aktorem), Wilhelma Sasnała czy Pawła Althamera to balansujące na granicy sztuk

eksperymenty. Wspomnieć warto też Piotra Uklańskiego z jego niezależnym westernem *Summer Love* (2006), a z ostatnich dokonań na tym polu można wskazać Normana Leto i jego *Photon* (2017) przypominający instalację wideo, stający się wizualizacją wiedzy na temat ewolucji i pochodzenia życia, a także balansujące na granicy filmu i performansu *Serce miłości* (2017) Łukasza Rondudy, ze zjawiskową Justyną Wasilewską i Jackiem Poniędziałkiem w obsadzie.

Kino niezależne w mniejszym stopniu uzależnione jest od komercyjnych oczekiwań, netfliksowych algorytmów czy wytycznych producentów.

Ronduda jest zresztą bardzo ciekawym przypadkiem reżysera i kuratora, który w swojej działalności skupia się na styku sztuki współczesnej i kina. Zachwycał już jego *Performer* (2015), zrealizowana wspólnie z Maciejem Sobieszczańskim opowieść o życiu i twórczości jednego z najgłośniejszych polskich artystów współczesnych Oskara Dawickiego. Film po Berlinale był nawet porównywany do działalności artystycznej Mariny Abramović w Muzeum Sztuki Współczesnej w Nowym Jorku.

Nowa gwardia

Postęp technologiczny, nowe kanały dystrybucji, a także zmiana podejścia do kina niezależnego sprawiły, że w nurcie pojawiły się nowe nazwiska. Nagrody na offowych festiwalach w ostatnich latach zdobył między innymi Jan P. Matuszyński za reżyserię *Myjni*, dziś znany głównie jako twórca nagrodzonej Orłami *Ostatniej rodziny* (2016), wkrótce reżyser *Króla*, serialu na podstawie popularnej powieści Szczepana Twardocha. W ubiegłym roku z najlepszej strony pokazali się też między innymi Paweł Maślona, reżyser doskonałego *Ataku paniki* (2017), który wcześniej za *Magmę* otrzymał kilkanaście nagród na festiwalach kina niezależnego, a także le-dwie 34-letni, acz już wyrazisty Kuba Czekaj, twórca nieformalnego filmowego dyptyku – *Baby Bump* (2015) oraz *Królewicz Olch* (2016).

Ale to nie wszystko. Na ustach wszystkich była niedawno Agnieszka Smoczyńska, której *Córkami dancingu* (2015) zachwycano się w USA. W Berlinie kilka lat temu olśnił Tomasz Wasilewski *Zjednoczonymi stanami miłości* (2016) (wcześniej zrealizował choćby głośne *Płynące wieżowce*). Kolejne zagraniczne festiwale podbiły też mariaż dokumentu i fabuły *Wszystkie nieprzespiane noce* (2016) Michała Marczaka, krótkometrażówka *Najpiękniejsze fajerwerki ever* (2017) Aleksandry Terpińskiej czy skąpane w czerni i bieli *Pomiędzy słowami* (2017) Urszuli Antoniak.



Córki dancingu, reż. Agnieszka Smoczyńska, kadr z filmu, fot. Kuba Kijowski / Kino Świat

Bodo Kox: Żenujące jest, będąc dorosłym mężczyzną, prosić aktora, żeby grał za darmo. Wiedziałem, że muszę się sprofesjonalizować

W Polsce z rozmachem do kina weszła Jagoda Szalc odważnymi filmami *Wieża. Jasny dzień* (2017) i *Monument* (2018), a także Olga Chajdas *Niną* (2018) o miłości lesbijskiej.

Przełamać tabu

Polska scena niezależna zawdzięcza dziś nowe życie pokaźnej mapie filmowych festi-

wali, wsparciu PISF-u czy też obecności na festiwalu w Gdyni (oddzielny konkurs „Kino niezależne”), ale także powracającej modzie. Kino niezależne porusza bowiem problemy, które w sferze publicznej właściwie nie istnieją. To w filmach offowych pojawiają się „tematy zakazane”, takie jak homoseksualizm, aborcja czy pedofilia (choć podejście to ostatnio zmienił nieco Kler Wojciecha Smarzowskiego). Ten boczny tor to miejsce dla nonkonformistów i niepokornych kontestatorów, ale też przestrzeń dla autorów sprzeciwiających się dyktaturze komercji.

– Jedno z drugim da się pogodzić – mówi Trzebiatowska. – Nie jest to kwestia porzuca-

nia mainstreamu na rzecz kina niezależnego. Liczy się świadomość tego, że mamy wybór, że jest coś poza produkcjami hollywoodzkimi, że istnieje alternatywa nie tylko w kontekście budżetu, ale przede wszystkim sposobu myślenia o kinie i tego, o czym warto opowiadać. Fakt, że czerpiemy przyjemność z oglądania Marvela, nie oznacza, że nie jesteśmy w stanie docenić kina autorskiego. Nie bez znaczenia jest tu nasz stosunek do kina jako takiego: czy traktujemy je jako formę eskapizmu i chcemy by było wyłącznie rozrywką, czy może jest inspiracją, sposobem na poznanie światów, które są nam obce, historii, które nas fascynują lub które stanowią swoiste wyzwanie.

I oby tych wyzwań w kinie było przed nami jak najwięcej!



Dominik Jedliński – absolwent Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Tworzył działy prasowe największych krakowskich festiwali filmowych: Off Camera oraz Etiuda&Anima. Obecnie pisze o kulturze dla Onetu. Autor bloga filmowego Filmbuk (filmbuk.weebly.com). Miłośnik muzyki filmowej, kina prawniczego i społecznie zaangażowanych filmów Sidneya Lumeta.

Moją partią jest kultura

Wysłuchał: Witold Bereś Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Katarzyna Janowska: Bo Kraków jest salonem. Jak do tego salonu przyjedzie nawet sporo ludzi, to ich widzisz i czujesz się szczęśliwy, że tych ludzi masz. W Warszawie nie ma salonu, tam są mieszkania – ten mieszka tam, tamten mieszka ówdzie. Czasami gdzieś te drogi w Warszawie się przecinają, ale tylko w pracy, w biegu. Trochę jak w *Tangu* Rybczyńskiego – cały czas zmiana, zmiana. To jest ważne, ale czasami nie wystarcza. A tu, na Rynku, na chwilę się wszystko zatrzymuje.

Witold Bereś: O!Łśnienia – taką nazwę nosi ogólnopolski plebiscyt kulturalny, tak opisywany przez portal Onet: tu nagrody dostają twórcy, których świeżość spojrzenia, talent oraz warsztat lśniły najjaśniej w minionym roku. Nic dziwnego, że plebiscyt z wolna staje się jednym z najważniejszych konkursów w Polsce: prestiżowy, obejmujący wiele kategorii, z cennymi nagrodami i... bezstronny?

Katarzyna Janowska: Na tyle bezstronny, na ile mogą być bezstronne opinie i oceny czyjejś aktywności artystycznej. Zawsze decyduje wartość artystyczna postrzegana subiektywnie.

Powiedzmy rzecz szalenie ważną – za nami już trzecia edycja O!Łśnień, ale pierwsza w Krakowie, i to przeprowadzona w presti-

wielkiej gali finałowej. I jakiś tam, może nie-mały, wpływ na nazwę miałam.

Podsumujmy: najpierw liczne jury zgromadzone wokół Onetu typuje do nagród polskich artystów, którzy zdziałali coś zacnego w minionym roku w Polsce lub odnieśli spektakularny sukces na świecie; nominacje mogą otrzymać też twórcy zagraniczni współpracujący z Polakami. Obecnie kategorii jest siedem: film, literatura, sztuki wizualne, muzyka popularna, muzyka klasyczna i jazz, teatr oraz serial (pojawił się w tym roku po raz pierwszy). A do tego dochodzi prestiżowa nagroda dla Ambasadora Kultury Polskiej wręczana przez prezydenta miasta.

Potem na stronach Onetu internauci wybierają zwycięzców w poszczególnych kategoriach, no i Zwycięzcę Zwycięzców, który w tym roku miał odjechać sportową, czerwoną mazdą.

A na koniec gala w Centrum Kongresowym ICE, z wręczeniem nagród, koncertem Natalii Przybysz i dyskusją o tym, jaka będzie kultura przyszłości, a wszystko z transmisją *live* na stronach Onetu i, pierwszy raz, w Canal+ (tu: szacunek dla komercyjnej stacji, że wchodzi w mądrą kulturę).

O bankiecie wspominać nie trzeba...

Słowem: na bogato.

Na bogato, ale mam nadzieję, że bez pompy. Natomiast wszyscy podkreślali, co ważne, że to najbardziej demokratyczny wybór, bo głosują internauci. Tak, typy są nasze, ale na końcu decyduje publiczność.

Oczywiście, łatwiej mają dzieła głośniejsze, niszowym jest trudniej, ale po pierwsze – wierzę, że dla tych mniej rozpoznawalnych dzieł i twórców sama nominacja jest wartością, bo przy okazji konkursu dużo o nich mówimy w Onecie, co też jest narzędziem promocji dla wydawnictw czy dystrybutorów. Poza tym czasami twórcy, dopiero na fali wznoszącej, przebijają się, jak choćby kontratenor Jakub Józef Orliński, zwycięzca w kategorii „Muzyka poważna i jazz”, który nagrał pierwszą płytę i został za nią nagrodzony.

Jeżeli w przyszłym roku okaże się, że powstanie kapitalny spektakl według tekstu Piotra Zaremby, bo teraz napisał jakąś sztukę, to super, będzie nominowany do O!Łśnień. Cemu nie?

żowym ICE. Ba, wydaje się, że w najbliższych latach ta impreza stanie się nie tylko wizytówką miasta, ale i polskiej kultury.

Pracowałam nad tym od czerwca ubiegłego roku. Przecież Onet to komercyjna firma. Ale dbamy o misję, wysokiej próby dziennikarstwo i newsy. Tu chodziło o coś więcej – o kreowanie wydarzenia kulturalnego. Rewelacyjna była reakcja miasta na mój pomysł – prezydent Majchrowski podjął decyzję właściwie w ciągu kwadransa, a potem była wspaniała współpraca z Izą Helbin, Robertem Piskowskim i całym KBF.

Na marginesie, skąd ta, tak intrygująca, nazwa? Hm... Przeprowadzenie plebiscytu, gala wręczenia nagród to efekt pracy dużego zespołu, ale nieskromnie mogę powiedzieć, że mój udział nie ogranicza się tylko do prowadzenia



Prowadząca galę O!Łśnień Katarzyna Janowska

Katarzyna Janowska – absolwentka polonistyki i filmoznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim, po zakończeniu studiów rozpoczęła karierę dziennikarską w „Gazecie Krakowskiej”, pisując także do „Tygodnika Powszechnego” i „Polityki”.

Popularność przyniósł jej cykl programów prowadzonych przez kilka lat w TVP z Piotrem Mucharskim *Rozmowy na koniec wieku* oraz *Rozmowy na nowy wiek* (każdy sezon doczekał się także wydania książkowego w Znak, a w roku 2000 za ten właśnie program została laureatką telewizyjnego Wiktora i Nagrody im. Dariusza Fikusa).

Była też szefową kanału telewizyjnego ITI Neovision nTalk, tworzyła nową wersję tygodnika „Przekrój”, a także była współpracowniczką radia Chilli Zet.

Od początku istnienia TVP Kultura współpracowała także z tą stacją, by w roku 2011 zostać jej dyrektorem. W grudniu 2015 roku, wspólnie z innymi dyrektorami TVP, podała się do dymisji po PiS-owskiej nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji.

Od trzech lat jest redaktorką naczelną kultura w Onet.pl.



Nagrodę Ambasadora Kultury z rąk prof. Jacka Majchrowskiego odebrała Grażyna Kulczyk

Ledwie 20 procent wydatków na kulturę idzie z budżetu centralnego. Reszta to samorządy!

Jeden z jurorów, bodaj Łukasz Maciejewski, powiedział tego wieczoru w ICE, że dzięki temu konkursowi mamy kawałek normalnej Polski. Wielu odczytało to jako deklarację polityczną – bo, na przykład, nagrodę w kategorii sztuk wizualnych dostał zespół muzeum Polin i jego dyrektor Dariusz Stola, który, jak widzimy ostatnio, nie podoba się ministrowi kultury. Więc niby: gdzie Gliński, gdzie my? I takie echo po widowni poszło. Jasne, na pewno jest między nami i tym panem przepaść, ale ja akurat pomyślałem, że w tym miejscu powstaje nie tyle normalna Polska, ile republika wolnej kultury. Takie Wolne Miasto Kultury Kraków. I nie mam wrażenia, żeby to była impreza polityczna. Raczej przykład tego, że kultura broni się sama. Nawet jak przez odczytanie czegoś staje się polityczna, to tak naprawdę jest ponad podziałami. Czy miałas w tyle głowy, że przy okazji O!Śnień zrobimy małą manifestację? Zdecydowanie nie! Muzeum Polin i dyrektora Stole nominowaliśmy dużo wcześniej. Potem się okazało, że minister nie przedłuży kontraktu i żąda nowego konkursu na szefa tej placówki. To życie nas zmusiło, żeby odnieść się do decyzji ministra kultury. To polityka przychodzi do nas... Tak, to polityka przychodzi do nas i po nas, a nie my idziemy do polityki i polityków. Kierujemy się własnym gustem, ale też powo-

dzeniem artystów u naszych użytkowników. Jasne – gusty są subiektywne, ale chyba o to chodzi, prawda?

Zresztą na tej imprezie ktoś mi przypomniał, że nagrody układają się w jakąś sekwencję. Najpierw jako naczelna „Przekroju” wręczałam podobne nagrody w Krakowie, na barce nad Wisłą. Później w TVP Kultura rozkręciliśmy Gwarancje Kultury. Dziś są nagrody Onetu, a teraz – również miasta Krakowa. Portale prawicowe atakowały cię, że to są nagrody pani Katarzyny Janowskiej...

Czytałam. Pytano, na przykład, dlaczego wśród nominowanych nie ma Piotra Zaremby. Ale dlaczego miałby być? Jest telewizja publiczna, która powinna takie nagrody przyznawać i, co więcej, przyznawała.

Świetny przykład to Gwarancje Kultury. Przez 10 lat istniały w TVP Kultura i były wręczane nawet za czasów tak zwanego pierwszego PiS i dyktowania Krzysztofa Koehlera. Moi następcy dostali narzędzie do ręki, rozhułane, rozbudowane i... zrezygnowali z niego.

Moją partią, ciągle to powtarzam, jest kultura. Po tylu latach pracy na tym polu mogę z przekonaniem powiedzieć, że nie zmieniam barw. Mam jedną partię i w tej partii jestem od czasu *Rozmów na koniec wieku* do dzisiaj. Nie zamierzam jej zmieniać.

Jeżeli w przyszłym roku okaże się, że powstanie kapitalny spektakl według tekstu Piotra Zaremby, bo teraz napisał jakąś sztukę, to super, będzie nominowany do O!Śnień. Czemu nie?

Zresztą jeśli się przyjrzeć nominacjom – w każdej kategorii są po trzy nazwiska –



Dyrektorka KBF Izabela Helbin wręcza Wojtkowi Smarzowskiemu nagrodę za najlepszy film ubiegłego roku

to jest w nich spora rozpiętość ideowa. Choćby projekt *100 na 100*, jedenastu koncertów na stulecie niepodległości, flagowe przedsięwzięcie muzyczne tworzone pod auspicjami obecnej władzy.

Jest też Szczepan Twardoch, który zawsze podkreśla dystans do wszystkiego i irytuje obie strony sporu polsko-polskiego, a jest wybitnym pisarzem.

Ale i Wojtek Smarzowski, który jest najodważniejszym polskim reżyserem. Nie tylko dlatego, że dziś zrobił *Kler* i uderzył w grzechy Kościoła, ale przedtem potrafił w *Drogówce* pokazać upadek polskiej policji, a za *Wołyń* zbierał cięgi z naszej strony.

Może ta krytyka z prawa bierze się z tego, że oni traktują kulturę i wszystkie przejawy życia wyłącznie jako pole ideologiczne? I wierzą, że sztuki się robi na zamówienie. A tymczasem sztuka z tezą jest zaprzeczeniem sztuki.

Zgadza się. A w tej mojej partii mieszczą się wszystkie opcje ideowe, a wspólnym mianownikiem jest wartość artystyczna.

Żyjemy Krakowem i Warszawą mocno od blisko trzydziestu lat. Tak się nam to łączy: wolna Polska i wolna kultura. A Kraków, nie wiem, jak Ty to widzisz, to naprawdę Ateny polskiej kultury. Czasami mam wrażenie, nawet gdy idę gdzieś w nocy wypić wódkę, że tu wszyscy tworzą, że jest ferment, że to kipiące miasto. Ale mogłoby się wydawać, że przenosząc tak ważną nagrodę tutaj – ryzykujesz. Bo Warszawa to szybkość, sława, pracowitość, ale i zysk właśnie. A tu, pod Wawel, jednak trzeba dojechać. I żyje się tu w innym tempie, choć nieko-

Kraków ma *slow art*, bo to piękne miasto, koncentryczne – wychodzisz, wypijasz kawę w pięknym miejscu i za chwilę idziesz dalej. Ale z drugiej strony ma takie miejsce jak KBF, totalnie nowoczesne, niejako amerykańska agencja kultury, profesjonalna, z nowocześnie myślącymi ludźmi.

niecznie wolniejszym. I, jakby się wydawało, miejscowa społeczność jest bardziej zachowawcza.

Nie wiem, jak jest z tą zachowawczością, skoro to miasto współprodukowało *Kler*. I może nie jest przypadkiem, że profesor Majchrowski, który tu wygrywa wybory, tak życzliwie podszedł do O!Śnień.

I wiesz co? Bardzo się cieszę, że wpadłam na pomysł, żeby przenieść tę imprezę tutaj, do Krakowa. Bo jeśli coś te nagrody odróżnia od innych znakomitych, przyznawanych w innych miastach, to *genius loci*, miejsce, miasto.

Przy okazji: na tym polega praktyczna strona decentralizacji kultury, na której powinno nam wszystkim zależeć. Trzeba pamiętać, że ledwie 20 procent wydatków na kulturę idzie z budżetu centralnego. Reszta to samorządy!

Cieszę się też dlatego, że udało nam się połączyć dwie sprawy – krakowski *genius loci* z warszawskim tempem.

Zawsze miałam pomysł, by opowiadać o kulturze w taki sposób, jak się robi wiel-



Bartosz Węglarczyk, redaktor naczelny Onetu, wręcza nagrodę za najlepszy serial tandemowi Krzysztof Skonieczny i Jakub Żulczyk

kie telewizyjne show, żeby to był najwyższy poziom współczesnej telewizji. A nie tak, że jeśli kultura, to będzie się to ciągnąć i zamułać przez trzy godziny.

I zrobiliśmy to nowocześnie, w tempie – wszystko udało się zmieścić, łącznie z koncertem, w godzinę.

Ale najważniejsi byli artyści i ludzie kultury. **A jakbyś nazwała główną różnicę kulturową między Krakowem i Warszawą?**

Decyduje koncentryczność Krakowa – architektura i przestrzeń dookoła jest takim rodzajem dekoracji, który wnosi wartość dodatnią. Pamiętam choćby Festiwal Beethovenowski, kiedy jeszcze odbywał się w Krakowie w okolicach Wielkanocy – wtedy, idąc

z koszykiem do święcenia, widziałam tłumy melomanów z Niemiec, z Zachodu, siedzących w ogródkach wokół Rynku.

Bo Kraków jest salonem. Jak do tego salonu przyjadą goście, to ich widzisz i czujesz się szczęśliwy, że tych ludzi masz. W Warszawie nie ma salonu, tam są mieszkania – ten mieszka tu, tamten mieszka ówdzie. Czasami się gdzieś te drogi w Warszawie przecinają, ale tylko w pracy, w biegu.

Trochę jak w *Tangu* Rybczyńskiego – cały czas zmiana, zmiana. To jest ważne, ale czasami nie wystarcza. A tu, na Rynku, na chwilę się wszystko zatrzymuje.

Teraz, gdy pod Wawel zaprosiłam nominowanych artystów, to Kraków zobaczył,

że zjawili się wszyscy najlepsi w minionym roku. I zobaczyliśmy ich w naszym salonie.

To jest ta różnica – przestrzeń, architektura, spotkanie.

Przyjechała też pod Wawel Grażyna Kulczyk ze Szwajcarii i dostała z rąk profesora Majchrowskiego – bardzo się cieszę z pojawienia tej kategorii – nagrodę Ambasadora Kultury. Powiedziała wtedy coś bardzo inspirującego – że trzeba wspierać *slow art*. Że to coś na kształt *slow food*, taka nowoczesna kultura wysokiej jakości.

To jej autorskie określenie! I sprawdza się fenomenalnie w Szwajcarii. Tam, w niewielkiej miejscowości Susch stworzyła muzeum sztuki współczesnej, gdzie jest dwadzieścia pięć sal, 1500 metrów kwadratowych powierzchni wystawienniczej, biblioteka, sala wykładowa i biura. A Susch jest mniejsze niż Bukowina Tatrzańska – jedna ulica z jedną knajpą i hotelem, zwykle zamkniętym, bo tam nie miał kto przyjeżdżać.

Kiedy tam pierwszy raz pojechałam, to sobie pomyślałam: „Szaleństwo, jakiś Fitzcarraldo”.

A jednak się udało! Właśnie dlatego że dziś coraz częściej jesteśmy w muzeach, w ogóle – w kulturze, wszystkim przytłoczeni. A tam masz 1500 metrów kwadratowych do obejścia w dwie godziny. Obok restauracja. Hotel. Piękne otoczenie, niesamowita przyroda. Tam dziś się ustawiają kolejki, żeby to zobaczyć.

I teraz: nasz Kraków ma to *slow art* z jednej strony, bo to piękne miasto, koncentryczne – wychodzisz, wypijasz kawę w pięknym miejscu i za chwilę idziesz dalej.

Ale z drugiej strony ma takie miejsce jak KBF, totalnie nowoczesne, niejako amerykańska agencja kultury, profesjonalna, z nowocześnie myślącymi ludźmi.

Kto wie, czy *slow art* nie jest odpowiedzią na to, co się dzieje w kulturze. Pracujesz teraz w internecie, a wiemy, że internet,

poza demokratyzacją społeczeństwa, ma też ciemną stronę. Właśnie wyczytałam, że w zeszłym roku powstało w Stanach Zjednoczonych pięćset seriali internetowych. A dwa lata wcześniej sto. Tysiąc powstanie prawdopodobnie za kolejne dwa lata. Ludzie są już zmęczeni tym natłokiem kultury. I chcą wybierać spokojnie, często sięgają zatem po stare, sprawdzone wzory...

Nie boisz się czasami, że internet to dzieło szatana?

Internet to jest dzieło szatana. Bardzo dobrze, że mam tyle lat i tutaj jestem, bo umiem się przed tym obronić. Mam swoją hierarchię. A internet jest taki – masz informację o majtkach pani X, a obok Paweł Pawlikowski mówi o subtelności spojrzenia na świat. Tylko od twojego wycucia zależy, czy przeczytasz o majtkach czy o myśleniu wielkiego reżysera.

Zamiast hierarchiczności mamy kompletne wypoziomowanie... Więc może twoje umiowanie nagród to próba odbudowania hierarchiczności?

Mam nadzieję.

Jakbyś określiła to, kim jesteś zawodowo? Dziennikarką? Menadżerem kultury? A może kreatywnym producentem?

Pierwsza odpowiedź to jednak dziennikarka. Tyle że dziennikarka posługująca się zaawansowanymi narzędziami w opowiadaniu o kulturze, więc muszę też zarządzać ludźmi, budżetem, finansami i zasobami intelektualnymi.

Ale podoba mi się też producent kreatywnej Katarzyna Janowska. To trzeba wymyśleć, przeżyć, zrozumieć. I przeprowadzić.

Przeprowadzić i sprzedać, prawda?

W jakimś sensie tak – kultura musi docierać do ludzi, żeby być kulturą.

A nie korci cię, żeby napisać wiersz, powieść?

Korci, ale na szczęście potrafię sobie powiedzieć „nie”. Dla polskiej kultury na szczęście.

2016

MUZYKA POPULARNA

O.S.T.R. za płytę *Życie po śmierci*

MUZYKA POWAŻNA

Krzysztof Penderecki za płytę *Penderecki Conducts Penderecki*

FILM

Wojciech Smarzowski za *Wołyń*

SZTUKI WIZUALNE

Agnieszka Morawińska, pomysłodawczyni wystawy *W muzeum wszystko wolno*

LITERATURA

Szczepan Twardoch za powieść *Król*

TEATR

Paweł Miśkiewicz za spektakl *Podopieczni*

OIŁŚNIENIE ROKU

(najwięcej głosów spośród wszystkich nominowanych)

Szczepan Twardoch

2017

FILM

Dorota Kobiela i Hugh Welchman za animację *Twój Vincent*

LITERATURA

Klementyna Suchanow za biografię Gombrowicz. *Ja, geniusz* (Wydawnictwo Czarne)

MUZYKA POWAŻNA

Piotr Orzechowski/Pianohooligan za płytę *24 Preludes&Improvisations* (Deca Record/Universal Music Polska)

MUZYKA POPULARNA

Natalia Nykiel za płytę *Discordia* (Universal Music Polska)

TEATR

Jan Klata za *Wesele* w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie

SZTUKA

Marta Frej za memy artystyczne

OIŁŚNIENIE ROKU

Natalia Nykiel za płytę *Discordia*

2018

FILM

Wojciech Smarzowski za film *Kler*
Nominowani: Olga Chajdas za debiutancką *Ninę* z Julią Kijowską oraz Paweł Pawlikowski za *Zimną wojnę*

MUZYKA POPULARNA

Katarzyna Nosowska za płytę *BAST*
Nominowani: zespół Behemoth oraz Rosalie

TEATR

Krystyna Janda za kreację w spektaklu *Zapiski z wygnania*, reżyseria: Magda Umer, warszawski Teatr Polonia

Nominowani: Weronika Szczawińska, reżyserka spektaklu *Genialna przyjaciółka* we Wrocławskim Teatrze Współczesnym, oraz Krzysztof Warlikowski za reżyserię *Wyjeżdżamy* w warszawskim Teatrze Nowym

LITERATURA

Szczepan Twardoch za powieść *Królestwo*

Nominowani: Zyta Rudzka, autorka powieści *Krótką wymianą ognia*, oraz Marek Bieliński za *Kontener*

SERIAL

Krzysztof Skonieczny i Jakub Żulczyk za *Ślepnąc od świateł* (HBO) na podstawie prozy Żulczyka

Nominowani: Jan P. Matuszyński i Leszek Dawid, twórcy serialu *Nielegalni* (Canal+), oraz Agnieszka Holland, Kasia Adamik, Olga Chajdas i Agnieszka Smoczyńska za 1983, pierwszy serial Netflixa wyprodukowany w Polsce

MUZYKA KLASYCZNA I JAZZ

Jakub Józef Orliński

Nominowani: Aga Zaryan za płytę *High&Low* oraz Daniel Cichy i zespół

Polskiego Wydawnictwa Muzycznego za projekt *100 na 100*

SZTUKI WIZUALNE

Dyrektor Dariusz Stola i zespół Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN – za wystawy *Obcy w domu. Wokół Marca '68* i *W Polsce króla Maciusia. 100-lecie odzyskania niepodległości*

Nominowani: Agnieszka Polska za video instalację *The Demon's Brai* oraz Agnieszka i Gaweł Kownaccy, twórcy Krakowskiego Salonu Sztuki

NAGRODA SPECJALNA – AMBASADOR KULTURY
Grażyna Kulczyk, założycielka Muzeum Sztuki w szwajcarskim Susch.

OIŁŚNIENIE ROKU

Wojciech Smarzowski

Marek Edelman.

Po słonecznej stronie

Tekst: Witold Bereś, Krzysztof Burnetko **Ilustracja:** Małgorzata Miklaszewska

Jest ciepły, wrześniowy poranek 1942 roku. Wychudzony, niewysoki brunet z delikatnym wąsikiem, 23-letni Marek Edelman, członek Żydowskiej Organizacji Bojowej, podziemnej organizacji oporu w getcie warszawskim, a formalnie goniec szpitala dziecięcego Bersonów i Baumanów, wbiega do budynku lecznicy. Adina Blady, zwana Inką, mawia o nim, że jest – jak i ona – pełen młodzieńczej pustoty. Tyle że od kilku tygodni ta pustota zniknęła. Od 22 lipca, każdego dnia od ósmej rano, trwa w getcie przeszukiwanie kamienicy za kamienicą i wyłapywanie Żydów. To tak zwana wielka akcja wysiedleńcza. Strach. Bezsilność. Łzy, których już brakuje.



Umschlagplatz. Czyli plac przeładunkowy. Codziennie trafia tu ponad 15 tysięcy ludzi. Tyle, ile pomieszczą wagony podstawiane na rampę kolejową. Są wywożeni do Treblinki, gdzie natychmiast giną w komorach gazowych.

Z Umschlagiem sąsiaduje budynek szpitala, który został tu przeniesiony z ulicy Śliskiej. Z jego okien widać wszystko. (...) Edelman wbiega po schodach, bo szefowa oddziału dziecięcego, doktor Anna Braude-Hellerowa do końca się stara, by szpital działał, jakby nie było wojny. Zawsze, począwszy od pierw-

szych dni okupacji, dzień pracy zaczynał się od odprawy, podczas której omawia się trudne przypadki i dyskutuje, czy zrobiono wszystko dla uratowania życia. A było to coraz trudniejsze, bo już nie tylko choroby są przyczyną zgonów, lecz głód. Sam zespół lekarski jedynie dlatego nie wpadnie w obrzęki głodowe, bo hitlerowcy, z jakąś pokrętną logiką, do końca dostarczają do szpitala spirytus do dezynfekcji. Dzięki temu na koniec odprawy u dyrektora wszyscy dostają – w kryształowych kieliszkach, bo i tu Braude-Hellerowa chce trzymać fason

– po 25 gram czystego spirytusu, do wypicia jednym haustem. I czasami dochodzi do tego „śniadanie”, podawane, a jakże, na porcelanowej zastawie: 10 deka kartkowego chleba, niczym z trocin, pokrajanego w cieniutkie kromki i 5 deka „małpiego smalcu”, tłustej brei pozyskiwanej z oleju kokosowego. Ta dodatkowa dawka energii, całe 200 kalorii zawarte w kieliszku spirytusu, pozwala personelowi uniknąć śmierci... Przynajmniej głodowej.

Ale dziś przyjdzie inna śmierć. Pod koniec wielkiej akcji szpital jest likwidowany – wszyscy będą wywiezieni do Treblinki. Tylko parę osób (a w całym getcie będzie ich 33 405) może dostać „numerki życia” – blaszki z numerami przyszywane do wierzchniej odzieży i oznaczające, że posiadacz jest nazistom potrzebny w getcie. Jeszcze. (W kwietniu, za osiem miesięcy i oni zostaną wymordowani). Ale najgorsze, że wybrać tych ludzi musi Braude-Hellerowa (ona, jako ordynator, dostaje numerek automatycznie). Jednak nie chce. Jasne, nikt przyzwoity nie chce wyrokować o tym, kto ma żyć, a kto nie. Lecz personel żąda tego od niej. Więc ulega prośbom swoich ludzi, którzy wiedzą, że w innym wypadku numerki zostaną rozdane w innej części szpitala. Stara się dobrać młodych, którzy mają szansę na przeżycie i którzy mogą jeszcze coś zrobić w getcie – wśród nich jest Edelman i Inka...

Edelman po odprawie wybiega ze szpitala – jako kurier ma obowiązek codziennie składać precyzyjny raport władzom niemieckim na temat stanu zdrowia pacjentów i liczby tych, których można wypisać. Dzięki temu obłudowi biurokracji Edelman może utrzymywać konspiracyjną sieć ŻOB i organizować opór.

W tym czasie do szpitala wkraczają likwidatorzy w mundurach. Zagłada idzie od parteru, na którym leżą „zwykli”, dorośli chorzy. Niemcy i litewscy szaulisi wchodzą do sal pełnych stłoczonych chorych, już i tak półprzytomnych z cierpienia i strachu. Wywlekają na Umschlagplatz tych, którzy mogą iść. Chorych obłożnie biją, a wreszcie rozstrzeliwują na miejscu. Ciała zostają na szpitalnych barłogach.

Inka Świdowska wolno wchodzi na ostatnie piętro. Wokół roznosi się odór ropy, kału i ludzkiego strachu. A ona idzie coraz wyżej i wyżej, i tylko się stara, żeby nie deptać po ludziach, bo wszędzie leżą trupy przemieszane z żywymi, dogorywającymi ludźmi. Wreszcie dociera na trzecie piętro, gdzie jest salka niemowląt. Wtedy zewsząd wychodzą do niej z kątów, z ukrycia, nieco starsi jej mali pacjenci. Kilkuletnie dzieciaki. Zbierają się koło niej jak szczeniaki. Wreszcie siadają ze swoją ukochaną panią doktor w ostatnim pokoju. Mała Marysia, umierająca na gruźlicę węzłów chłonnych, mówi:

– My już wszystko wiemy, pani doktor, że nie mamy ani mamusi, ani tatusia, i że my też nie przeżyjemy. Ale czy pani doktor będzie z nami do końca?

– Tak, Marysiu, stanę z wami – mówi doktor Inka.

I siedzi z nimi, i opowiada, jak to kiedyś dobrze było. Ale rozmowa się nie klei, więc siedzą w milczeniu, tych piętnaścioro dzieci i jedna doktor Inka. Wreszcie ona sama, zrozpaczona wychodzi i idzie na dół, beznadziejnie ściskając w dłoni blaszany „numerek życia”. Wie, że nawet gdyby teraz ten nume-

rek komuś oddała, i naprawdę się nad tym zastanawia, to i tak za chwilę zostanie rozdzielona z dziećmi. Jeśli one po prostu nie zostaną natychmiast zamęczone na miejscu. W pewnym momencie widzi, że ktoś znosi na rękach trupa młodziutkiej pielęgniarki Zosi Frakter, która otruła się na wieść, że jej matkę już zabrano do wagonów. Wtedy podchodzi do niej inna pielęgniarka, siostra Mira, której matka leży w szpitalu, bo już nie może chodzić.

– Pani doktor, pani zrobi zastrzyk mojej matce, bo ja nie mogę. Błagam panią. Nie chcę, żeby ją zastrzelili w łóżku... – I wciska jej w dłoń strzykawkę z morfiną. Wtedy do Inki dociera, co może zrobić z dziećmi, żeby dotrzymać słowa. Pyta pielęgniarkę, czy ma więcej morfiny. Ta kiwa głową. Tak, da ją pani doktor. I nikt nie musi pytać, po co.

Najpierw zastrzyk morfiny dostaje mama siostry Miry i dorośli, którzy już nie są w stanie się ruszać o własnych siłach. W ten sposób można im pomóc...

Wtedy Inka idzie na górę, do swoich dzieci, gdzie już czeka na nią doktor Margolisowa.

W swych wspomnieniach tak opisze te chwile: „Wzięłyśmy łyżeczkę i poszłyśmy do pokoju niemowląt. I tak jak przez te dwa lata prawdziwej pracy w szpitalu pochylałam się nad łóžeczkami, tak samo teraz wlewałam w te malutkie buzie ostatnie lekarstwo. A z dołu dochodził krzyk, gdyż tam byli już szaulisi i Niemcy i zbierali chorych z sal do wagonów.

Potem poszłyśmy do dzieci starszych i powiedziałam im, że to jest lekarstwo, żeby nic nie bolało. One mi uwiaryły i wypity z kieliszka tyle, ile należało. Potem kazałam im się rozebrać, położyć i przespać. Posłuchały się i położyły. Po kilkunastu minutach, nie pamiętam, po ilu, gdy po raz drugi weszłam do pokoju, to spały. A potem już nic nie wiem, co było dalej”.

Adina Blady-Szwajgier, po wojnie doktor Inka Świdowska, ceniona pediatra, przez całe czterdzieści pięć lat po akcji likwidacyjnej nie przyzna się, co zrobiła we wrześniu 1942 roku. Dopiero kiedy trafi do szpitala już jako pacjentka, a opiekować się nią będzie Marek Edelman, pod jego namową zdecyduje się spisać wspomnienia.

Po latach Edelman tak skomentuje tamten dzień: „Kiedy Niemcy tam weszli, podała dzieciom truciznę, zamiast trzymać ją dla siebie i swych najbliższych. Żyła wspólnym życiem ze swoimi małymi pacjentami i była świadkiem ich śmierci. Inaczej niż wielu innych towarzyszyła umieraniu każdego dziecka osobno i umierała po wielokroć, z każdym z nich. I do końca najbardziej bała się o każde dziecko, o to, że któreś z nich obudzi się, nim nadejdzie śmierć łagodna, i będzie skazane na tę okrutną – w komorze gazowej.

To była bohaterka”.

*

Jest sobotni wieczór 24 kwietnia 1999 roku w Waszyngtonie. Ciepło. Od późnego popołudnia pod pawilon Białego Domu leżący po stronie południowego trawnika czarne limuzyny podwożą szefów delegacji państw NATO. Zaczyna się największy bankiet w historii urzędu prezydenckiego.

Powód? Niemal dokładnie pół wieku temu, 4 kwietnia 1949 roku, dziesięć państw zachodnioeuropej-

skich oraz Kanada i Stany Zjednoczone podpisywały tu, w Waszyngtonie, traktat gwarantujący im wzajemną obronę przed każdym atakiem, a faktycznie – po prostu obronę przed Związkiem Sowieckim. (...)

Wśród gości są prezydenci i szefowie rządów państw, które do NATO właśnie zostały przyjęte – z Polski prezydent Kwaśniewski i premier Buzek oraz multum oficjeli.

W ramach celebry na kolację podane będą: pierś z kurczaka pieczona w krążkach cebuli, pieprzowe chili o zapachu kminu ze słodkimi batatami i kuku rydzą, sałatka z pomarańczy i mango, grillowany filet z bizona, młode ziemniaczki z grzybami i sosem cabernet, marynowane pomidory z mozzarellą, zielony groszek z kiełkami, specjalny „czekoladowy tort NATO” i kilka rodzajów win.

Prezydent William Jefferson Blythe III Clinton, który sam nakazuje do siebie mówić Bill, ma jednak na głowie dwa problemy. Ledwie dwa miesiące temu upadł wniosek o impeachment będący konsekwencją afery związanej z Moniką Levinsky. Nie ma co kryć:

sprawa ta fatalnie odbiła się na prezydenckim wizerunku, nie mówiąc o sytuacji w domu Clintonów.

A miesiąc temu NATO – już wspólnie z trzema nowymi członkami z byłego Układu Warszawskiego – podjęło decyzję o rozpoczęciu nalołów na Jugosławię. Cel – zakończenie czystek etnicznych na terenie Kosowa i wymuszenie demokratyzacji w państwie dyktatorsko rządzonym przez Miloševicia. Wśród inicjatorów akcji jest sam Clinton, ale wielu zarzuca mu, że zrobił to, aby medialnie przykryć seksaferę.

Prezydent jednak szczerze i zawsze opowiadał się po stronie praw człowieka. Na czasie jego prezydentury niestety zaciążyły okrucieństwa niedawnej wojny domowej w Bośni i Hercegowinie, a zwłaszcza masakra w Srebrenicy, gdzie – w obecności oddziałów ONZ – Serbowie wymordowali około osiem tysięcy muzułmanów.

Ta bezradność społeczności międzynarodowej była czymś niepojętym i Clinton bał się, że w Kosowie dojdzie do ponownej tragedii. Jak napisze potem we wspomnieniach: „Rok wcześniej Serbowie rozpoczęli ofensywę przeciw zbuntowanym Albańczykom z Kosowa, zabijając niewinnych ludzi; wiele kobiet i dzieci spłonęło we własnych domach. (...) Rzezie te aż nadto przypominały wydarzenia w Bośni”.

Teraz więc szukał mocnych argumentów za pierwszą wojną NATO w obronie praw człowie-

ka. I oto kilka dni temu doradcy zwrócili mu uwagę na apel polskiego Żyda Marka Edelmana opublikowany 21 kwietnia w „New York Times”, zatytułowany: „Do prezydentów Billa Clintona i Jacques’a Chiraca, premiera Tony’ego Blaira, kanclerza Gerharda Schrödera, sekretarza generalnego NATO Javiera Solany i wszystkich przywódców krajów NATO”. Edelman opublikował go, gdy nie było jeszcze oczywiste, że naloty przyczynią się do okiełznania Serbów.

Pisał:

„Decyzja państw NATO o nalotach na Kosowo jest decyzją zmieniającą oblicze świata. Po raz pierwszy w historii mamy do czynienia z wojną nie o terytorium, nie o wpływy, nie o surowce. Po raz pierwszy świat wypowiedział wojnę w obronie człowieka. (...) W czasie drugiej wojny światowej byłem świadkiem ludobójstwa w warszawskim getcie. Przywódcy wolnego świata, prezydent Roosevelt i premier Churchill, nie potrafili temu zapobiec. Mówili, że kiedy wojna się skończy, kiedy wygra demokracja, wszyscy, niezależnie od rasy, narodowości, religii, będą znów równi, wszyscy będą znów mogli czuć się ludźmi, a nie ściganą zwierzyną. Tylko że kiedy skończyła się wojna i wygrała demokracja, tych milionów ludzi, o których toczyła się walka, już nie było i nie mogli się cieszyć owocami pokoju. (...)

Aby nie powtórzyło się to, czego byłem świadkiem w warszawskim getcie, apeluję do Was, przywódców wolnego świata, abyście nie poprzestali na nalotach lotniczych i wprowadzili do Kosowa żołnierzy.

W obecnej sytuacji tylko obecność wojsk NATO może uchronić Albańczyków przed ludobójstwem. Wiem, jak dla tych, którzy wysyłają żołnierzy na wojnę, bolesna jest świadomość, że mogą zginąć. Ale też wiem – jak wszyscy w moim pokoleniu – że wolność ma i musi mieć swoją cenę”.

To są znakomite argumenty, które w dodatku współgrają z emocjami i poglądami 42. prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Bill Clinton nie ma więc wątpliwości. Energicznym krokiem wchodzi wraz Pierwszą Damą do Pawilonu przy południowym trawniku. Rozlegają się dźwięki *Hail to the Chief*, hymnu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Pierwsza para – a obok współgospodarz tego spotkania, sekretarz generalny Javier Solana z małżonką – stają przed olbrzymim audytorium.

Prezydent mówi:

„Oto przed kilkoma dniami przemówił do nas ze swego domu w Polsce głos pochodzący z czasu, któremu oddajemy hołd podczas tego szczytu 50-lecia. W amerykańskiej gazecie opublikował list Marek Edelman, bohater powstania w getcie warszawskim, domagając się od nas, abyśmy wytrwali w Kosowie. (...) Dziś pamiętamy, że ciężar obrony wolności i pokoju jest mniejszy, jeśli wspólnie niesie go na ramionach tak wielu”.

Huczne brawa. Prezydent radosnym wzrokiem spogląda na blisko tysiąc twarzy.

[Polskie tłumaczenie fragmentu przeznaczonej na rynek amerykański i kanadyjski książki Witolda Beresia i Krzysztofa Burnetki *Marek Edelman. Being on the right side*]

Kraków-Hollywood-Kraków

Wysłuchał Szymon Piegza Zdjęcia: Alicja Rzepa

Krzysztof Malkiewicz: Gdy przeszedłem na emeryturę, pomyślałem, że w Krakowie moje życie mogłoby być dużo ciekawsze niż w Los Angeles i wspaniale będzie po 51 latach do niego wrócić. Nigdy nie żałowałem tej decyzji.

Szymon Piegza: Opuścił Pan Kraków w 1965 roku. Jak wyglądało wtedy miasto?

Krzysztof Malkiewicz: Przede wszystkim wyjazd z Krakowa był dla mnie bardzo traumatyczny. Tu się urodziłem, spędziłem lata przedwojenne, okupację i mieszkalem aż do 1957 roku, kiedy wyprowadziłem się na studia do Łodzi. Mimo że Kraków był wtedy szary, brudny, nieodmalowany, to Rynek Główny uważałem za przedłużenie salonu, bo nasze mieszkanie znajduje się przy ulicy św. Anny.

Poza tym wyjeżdżałem z Polski kompletnie zniesmaczony ówczesnym systemem politycznym. Zdawałem sobie też sprawę, że jak wyjadę, to prawdopodobnie nigdy tu nie wrócę.

Podejrzewam, że dla prawdziwego krakusa to iście dramatyczna decyzja.

To było zderzenie nostalgii, miłości do miasta i totalnego obrzydzenia siermiężną komuną. Z drugiej strony cieszyłem się, że moja matka po ośmiu latach opuściła stalinowskie więzienie i chciałem jak najprędzej wyjechać z nią do Anglii, żeby po 18 latach połączyć się znów z ojcem. Za granicą spodziewałem się też ciekawszych możliwości pracy w zawodzie.

Tak, to była dramatyczna decyzja. Byłem jednak zadowolony, że w ogóle mogłem wyjechać po tych latach, kiedy człowiek był zamknięty w swoim kraju jak w klatce. Wyjazd w 1965 roku doprowadził do tego, że większość życia spędziłem poza moim miastem i moją ojczyzną.

Kraków był wtedy stolicą polskiej kultury.

W Krakowie miały miejsce zjawiska, które wydarzają się raz na 100 lat. Dla mnie takimi wydarzeniami były Piwnica pod Baranami, Ewa Demarczyk, teatr Tadeusza Kantora. Na bardzo wysokim poziomie był też wówczas Stary Teatr.

W Polsce komunistycznej kulturze powodziło się nie najgorzej. Ona przede wszystkim nie była skomercjalizowana. Sam po 1989 roku realizowałem film dotyczący sytuacji kultury w Polsce. Odbyłem wiele rozmów ze Stanisławem Lemem, Jerzym Turowiczem,

Jackiem Woźniakowskim, Andrzejem Wajdą i oni też uważali, że wtedy mało mówiło się o pieniądzach, a głównie o kulturze.

Ci ludzie, ta atmosfera wpłynęła w jakimś stopniu na pańskie wybory życiowe?

Oczywiście, człowiek tym nasiąka. Najpierw studiowałem historię sztuki, choć początkowo chciałem pójść na medycynę i zostać

W Hollywood nikt nigdy by nie dał pieniędzy ani na filmy Bergmana, ani Felliniego.

czwartym pokoleniem lekarzy w rodzinie. Egzaminy zdałem dobrze, ale w komisji zasiadał tak zwany czynnik społeczny. Ze względu na inteligenckie pochodzenie nie zostałem przyjęty na studia. Myślę, że dobrze się stało, bo w sumie miałem może ciekawsze życie.

Na studiach zacząłem interesować się fotografią. Wprowadzał mnie do niej mój kuzyn Wojtek Pleviński, który zapowiadał się już wtedy jako bardzo dobry fotografik. To z kolei doprowadziło mnie do szkoły filmowej.

Ale w szkole filmowej wybrał Pan nie aktorstwo, nie reżyserię, a sztukę operatorską.

W tym czasie powstawało wiele filmów dokumentalnych, na przykład o II wojnie światowej, i to wizualne oraz dokumentalne notowanie prawdziwego życia bardzo mnie zainteresowało. Gdybym nie wyjechał z Polski, to pewnie wyłączałbym w Wytwórni Filmów Dokumentalnych.

Mógłby Pan zostać czołowym przedstawicielem polskiej szkoły dokumentu. Nie żałuje pan?

Nie, bo jednak komuna trwała jeszcze dość długo. W moim przypadku chodziło też o traumę spędzenia ośmiu lat bez matki i osiemnastu bez ojca. Będąc w Kalifornii mogłem ich przynajmniej raz w roku odwiedzać. **Szkoła filmowa to nie tylko nauka zawodu, ale może też bujne życie towarzyskie?**

Kiedy dostałem się do szkoły, to studiował tam już mój przyjaciel z Krakowa Janusz Ma-



Krzysztof J. Malkiewicz, Kris Malkiewicz – polski i amerykański reżyser i operator filmowy, wykładowca, autor książek. Studiował historię sztuki w Krakowie oraz operatorstwo w łódzkiej filmówce. W 1965 roku dołączył do irlandzkiej telewizji RTÉ w Dublinie. W latach 1967–1968 nauczał filmu na wydziale filmowym Politechni-

ki w Londynie. Latem 1968 roku został zaproszony do udziału w tworzeniu instytutu sztuki CalArts w Kalifornii, gdzie wykładał do 2007 roku. Pracował z najwybitniejszymi filmowcami i zdobywcami Oscarów. W swojej twórczości rozwinął gatunek dokumentu osobistego. W 2016 roku wrócił na stałe do Krakowa.

jewski, podobnie Stefan Szlachtycz, czyli grupa „krakowskich architektów”. W Krakowie poznałem się też z Romkiem Polańskim, który był zawsze pełen fantazji i energii. Szkoła zaczęła być w świecie znana, między innymi po tym, jak Polański dostał brązowy medal na festiwalu filmów eksperymentalnych w Brukseli za *Dwóch ludzi z szafą*.

Dodatkowego koloru i wdzięku dodawały szkole dziewczęta, tak zwane satelitki, prześiadujące w naszym barze, na projekcjach czy studenckich kwaterach. Po zajęciach spotykaliśmy się w Honoratce, kawiarni prowadzonej przez panią Stefanię. Tam skupiało się życie wczesnym wieczorem. Często kontynuowało się wieczór w czyimś mieszkaniu lub w Grand Hotelu. Każdy przynosił jakieś wino – tylko nikt nie zabierał ze sobą pustych flaszek. Sprzątaczką miała dodatkowy dochód ze sprzedaży butelek (*śmiech*).

Szybko zaczynał Pan też karierę zawodową, zdobywając doświadczenie za granicą.

Po pierwszym roku studiów w Łodzi poleciałem do Kanady. W 1957 roku udało mi się wyjechać z matką do Anglii, a ponieważ miałem stryja w Montrealu to pomyślałem, że trzeba z tej okazji skorzystać. Tam się okazało, że mogę dostać pracę w wytwórni filmowej w Ottawie, więc te dwa lata były dla mnie ciekawe i owocne.

Gdyby nie to, że dochodziły z Polski wieści o odwilży, to pewnie zostałbym w Kanadzie. Wszyscy się pytali, czy nie zwariowałem, że w momencie, kiedy dostałem pozwolenie na stały pobyt, chcę wracać do komunistycznej Polski. Tłumaczyłem, że łódzka szkoła filmowa faktycznie jest wyjątkowa. To była wtedy wyspa wolności w całej szarzyźnie PRL-u. Tam studiowali też studenci zza granicy. Jeden Anglik przyjeżdżał na zajęcia rolls-roycem. To było wyjątkowo ciekawe środowisko. **Faktycznie, można było przypuszczać, że Pan zwariował...**

Myślę, że szkoła filmowa w Łodzi dała mi bardzo wiele. Zresztą nie tylko szkoła, ale ten cały styl życia – twórczy, a też dość światowy. Po skończeniu studiów pojechałem do Warszawy, gdzie zająłem mieszkanie po znajomym, który polecał do Paryża. W PRL-u nie wolno było mieszkać bez zameldowania, a zameldowanie w dużych miastach było prawie niemożliwe. Dwa lata mieszkalem tam kompletnie „na lewo” i świetnie się przy tym bawiłem.

Ponownie do Anglii poleciałem w 1965 roku. Znów mogłem odwiedzić rodziców w ich podlondyńskim domu w High Wycombe. Udało mi się dostać paromiesięczny staż w produkcji telewizyjnej BBC. Następnie dostałem kontrakt w telewizji irlandzkiej na zrealizowanie serii siedmiu filmów w programie Discovery. Były to reportaże o różnych ciekawych miejscach w Irlandii. Po dwu latach w Dublinie wróciłem do Londynu, gdzie wykładałem na wydziale filmowym politechniki.

Następnym życiowym otwarciem była propozycja pracy w nowo powstałej wyższej uczelni w Kalifornii, która była finansowana przez fundację Walta Disneya. To był California Institute of the Arts, powszechnie znany jako CalArts. Ponieważ w USA trudno było się dostać do związku zawodowego, więc karierę operatorską musiałem porzucić na rzecz pracy dydaktycznej, co w sumie skończyło się nie najgorzej.

Współpracował Pan z artystami światowego formatu. Które spotkanie zapadło Panu najbardziej w pamięć?

Wszystko się zaczęło, gdy wpadłem na pomysł, by napisać książkę o oświetleniu filmowym. To miał być zapis rozmów z najlepszymi operatorami. Pomyślałem, że jeśli zadam najlepszym artystom w tej dziedzinie podobne pytania, to zapewne otrzymam różne, unikatowe odpowiedzi.

Kiedy w amerykańskich mediach podają w poniedziałek tytuły filmów, które przez weekend oglądnięto najwięcej widzów, to bardziej wymagający ludzie wiedzą, że są to filmy, na które, broń Boże, nie należy iść. Dziś podobną sytuację mamy w Europie.

Do najwybitniejszych artystów, z którymi dane mi było pracować, na pewno należał Sven Nykvist, stały operator Ingmara Bergmana. Poznałem go na planie filmu *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy* z Jackiem Nicholsonem. Sven był przez wszystkich podziwiany, a na mnie zrobił wrażenie dobrodusznego szwedzkiego niedźwiadka. Haskell Wexler z kolei kształtował się jako operator w filmie dokumentalnym, dzięki czemu rozwinął umiejętność kręcenia z ręki, używając prostego oświetlenia. Zaprzyjaźniłem się też z Conradem Hallem, który miał wiele nominacji i dwa Oscary, a przy tym był człowiekiem o dużej kulturze osobistej.

Po latach od wydania *Film Lighting: Talks with Hollywood's Cinematographers and Gaffers* rozwinęło się już nowe pokolenie świetnych operatorów, więc postanowiłem poszerzyć swoją książkę. Kontakty z tymi filmowcami ułatwiła mi moja wcześniej wydana książka *Cinematography*, używana jako podręcznik w szkołach filmowych. Często kiedy dzwoniłem, prosząc o rozmowę, słyszałem: „Przecież ja w szkole uczyłem się z twojej książki, to zaszczyt móc z tobą pracować”.

Książka *Cinematography* traktowała o różnych aspektach kinematografii.

Z tym wiąże się zabawna historia. Gdy tworzyliśmy instytut sztuki CalArts, przypadkiem na schodach spotkałem wykładowcę,



który uczył sztuki akwareli. Z nim stał inny mężczyzna, którego przedstawił mi jako wydawcę swojej książki. Ten człowiek zainteresował się moimi zajęciami i zapytał, czy są jakieś dobre podręczniki do nauki sztuki operatorskiej. Odpowiedziałem, że w ogóle ich nie ma, a on zaproponował mi napisanie takiego podręcznika. Długo się nie wahałem, bo w Stanach nie odmawia się takich propozycji. W Polsce taka sytuacja byłaby pewno bardziej skomplikowana.

Jaka jest Pana definicja sztuki?

Któregoś roku w CalArts przeprowadzano z wykładowcami wywiady do katalogu dla nowych studentów. Pytano ich właśnie o definicję sztuki. Nasz instytut CalArts był szalenie progresywny i tam za sztukę uważano niemal wszystko. Kiedyś jeden ze studentów powiedział, że jak pokaże mi piękny zachód słońca nad Pacyfikiem, to znaczy, że jest artystą, ponieważ to on wybrał miejsce, z którego ten zachód słońca miałbym oglądać.

Na pytanie: „czym jest sztuka?”, odpowiedziałem żartobliwie, że „sztuką nie jest to, co ci ujdzie”. Dla mnie na przykład tarzanie się w błocie jest czymś, co nie ujdzie.

Nadal się Pan trzyma tej definicji?

W praktyce mam jednak pewne wymagania. Dla mnie sztuka musi spełniać pewne kryteria. Lubię, kiedy twórca posługuje się takimi elementami jak kompozycja, kolor, perspektywa, rytm, a nie lubię bałaganu. Ale nigdy nie narzucam innym mojego punktu widzenia. *Chacun-pour-soi!*

A jaka jest różnica pomiędzy sztuką polską a tą stworzoną na Zachodzie?

W PRL-u rząd dawał duże pieniądze na rozwój kultury, więc była ona bardzo żywa. Pamiętam, że spektakl *Czekając na Godota* Becketta miał premierę w Paryżu, a następnie od razu pokazywany był w Warszawie. To było niesamowite. Zresztą moje ostatnie lata, które spędziłem w Łodzi, wypadły na diamentowe lata kina europejskiego: Fellini, Antonioni, Bergman, René Clair.

Ci twórcy mieli duży wpływ na młodych polskich filmowców jak Zanussi, Kieślowski czy Skolimowski.

Stany Zjednoczone to osobna sprawa. W Hollywood nikt nigdy by nie dał pieniędzy na filmy Bergmana czy Felliniego. Kiedy w amerykańskich mediach podają w poniedziałek tytuły filmów, które przez weekend oglądnięto najwięcej widzów, to bardziej wymagający ludzie wiedzą, że są to filmy, na które, broń Boże, nie należy iść.

Dziś podobną sytuację mamy w Europie. Kiedyś Andrzej Wajda powiedział mi: „Zaraz po wojnie wydawało nam się, że teraz wszystko pójdzie w stronę lepszego, że będzie coraz lepiej. Dziś patrzymy na świat i wydaje się, że jest coraz gorzej”. Dzisiaj, przy powszechnej globalizacji, kultury stają się bardziej jednolite i kultura polska mniej odbiega od kultur Zachodu.

Na koniec proszę wytłumaczyć, co jest tak wyjątkowego w gatunku, jakim jest dokument osobisty?

Jego siła polega na tym, że jest po prostu osobisty. Mojej mamie mocno zapisały się w pamięci lata spędzone w więzieniu. W czasie moich wizyt w Anglii zacząłem ją nagrywać. Następnie z kamerą odwiedziłem wszystkie te miejsca, gdzie była przetrzymywana: Warszawa, Inowrocław, Bydgoszcz. Tak powstał film *Śledztwo*.

Mój kolejny film osobisty, czyli *Krakow journal: Obsessive Memories* został zrealizowany w duchu tęsknoty za Krakowem.

Na pytanie: „czym jest sztuka?”, odpowiadam żartobliwie, że „sztuką nie jest to, co ci ujdzie”.

To jakby list do mojego brata, który większość swojego życia mieszkał w Edynburgu, i opowiadał mu, jak ten Kraków odkrywam po latach.

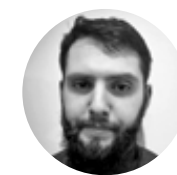
Dopiero w 2016 roku, po 51 latach, wraca Pan do Krakowa na stałe.

Zlikwidowałem całkowicie amerykański dom i wróciłem. Są dwie genialne rzeczy, jeśli chodzi o Kalifornię: zima, która jest taka, jak polska złota jesień, i system zdrowotny, który nas nosił na rękach.

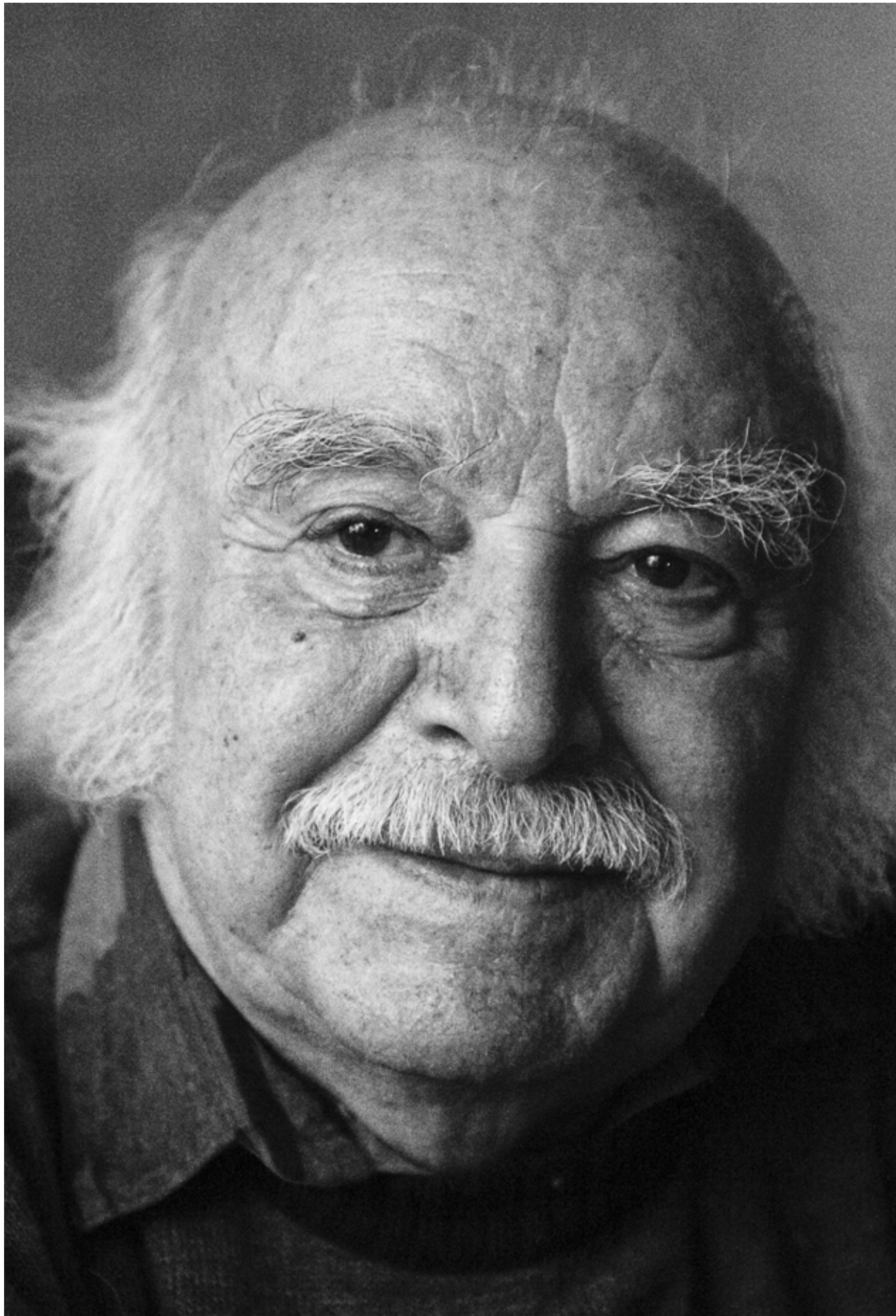
W czasach PRL-u nie chciano dać mi wizy, by odwiedzić Polskę. Po 1989 roku przyjeżdżałem już regularnie i spędzałem w Krakowie kilka miesięcy rocznie. Gdy przeszedłem na emeryturę, pomyślałem, że w Krakowie moje życie będzie ciekawsze niż w Los Angeles i wspaniale będzie wrócić. Nigdy nie żałowałem tej decyzji. Uważam, że absolutnie moim miejscem jest Kraków.

Gdyby miał Pan teraz nakręcić film o własnym życiu, to jaka byłaby pierwsza scena?

Dziś byłoby to trudne, bo nic takiego nie planowałem. Mogłoby się to na przykład rozpocząć, gdy Polak po szkole filmowej ląduje w irlandzkiej telewizji i ma pomysł na film o Dublinie. Ten film się podoba i proponują mu pracę dla programu Discovery... Musiałbym jeszcze pomyśleć nad fabułą (*śmiech*). Na razie zamiast myśleć o scenariuszu, uporządkowałem swoje i mojej mamy wspomnienia w książce *Życiorysy z pamięci*.



Szymon Piegza – publikował na portalach TVN24, Interia oraz Onet. Autor filmów krótkometrażowych i reportaży. Entuzjasta literatury klasycznej, kina moralnego niepokoju i polskiego rock&rolla.



Ostatni

12 marca 2019 zmarł Leopold Kozłowski

Wysłuchali: Katarzyna Domagała i Szymon Piegza **Zdjęcia:** Grzegorz Kozakiewicz

Leopold Kozłowski: Muzyka i kobiety – dwie rzeczy, które najbardziej pokochałem w życiu

Krakowski Kazimierz to moje drugie Przemysłany, a ten stolik w restauracji Klezmer Hois, to mój drugi dom...” – mawiał. Właśnie tam, przy Szerokiej 6 w Krakowie, spotkaliśmy się z nim jesienią ubiegłego roku pierwszy raz. Wiedzieliśmy, że nie jest w dobrej kondycji zdrowotnej, dlatego liczyliśmy na maksymalnie godzinę rozmowy.

Wszedł o lasce, z dumą i wzruszeniem na twarzy. Natychmiast poprosił, żeby przesiąść się do „jego stolika”, blisko baru, przy którym czekały na nas już jego ulubione śledzie. Zaznaczył, żeby go nie denerwować, bo lekarz kazał mu się oszczędzać. Daliśmy słowo, że rozmowa przebiegnie wedle jego życzenia. Po kilkunastu minutach czas już nikogo nie obchodził.

Do dzisiaj towarzyszy nam nieodparte wrażenie, że gdyby nie to miejsce i nie ten

stolik, „ostatni Klezmer Galicji” nie odpowiedziałby nam z taką szczegółowością o tęsknocie za matką i bratem, koncertach śmierci w obozie koncentracyjnym, najlepszych przyjaciółach i kobietach jego życia. Pierwsze skrzypce grała jednak muzyka klezmerska, w najpiękniejszej tonacji: d-moll.

„Pamiętajcie: dobry apetyt idzie w parze z dobrą muzyką, a dobra muzyka zawsze idzie w parze z gęsim pipkiem!” – powiedział, gdy po kilkugodzinnej rozmowie dojadaliśmy ten żydowski przysmak. Najlepszy w Krakowie!

Niepublikowana dotąd druga część wywiadu z Leopoldem Kozłowskim (pierwszą zamieścił „Kraków” w listopadzie ubiegłego roku) jest naszym podziękowaniem za jego wrażliwość i twórczość. Nasz rozmówca nie zdążył autoryzować go w całości.

Katarzyna Domagała, Szymon Piegza: Pana ostatni koncert w Krakowie był wyjątkowy. Leopold Kozłowski: Znawczy twierdzą, że to był ich najlepszy koncert w życiu. Z tym, że ja jeszcze nie odzyskałem sprawności po udarze. Nie doszedłem do siebie w pełni.

Co jest niezwykłego w muzyce klezmerskiej? W czym tkwi jej siła?

Niektórzy mówią, że grają klezmerską muzykę... To jest wszystko kłamstwo. Oni grają *Ya’aseh Shalom* czy jakiś inny utwór, ale to nie jest to. Prawdziwa klezmerska muzyka to modlitwa. Nie da się odtworzyć tego, co gra prawdziwy klezmer, bo czy można zapisać w pięciolinii bicie serca? Dzisiaj zagra tak, a jutro ten sam utwór zupełnie inaczej, bo wczoraj serce biło inaczej. Partyturą klezmera jest serce. **Muzyka klezmerska przechodzi z pokolenia na pokolenie. W Pana przypadku nie było inaczej.**

Mój dziadek Pejsach Brandwein miał jedenaśtu synów i wszyscy grali, w tym mój ojciec Zvi. Grali w całej Galicji: na weselach żydowskich, bar micwach, uroczystościach chanukowych, na sylwestrowych balach policyjnych i balach pocztowców. Grali też u cesarza Franciszka Józefa i u marszałka Józefa Piłsudskiego.

Prawdziwa klezmerska muzyka to modlitwa. Nie da się odtworzyć tego, co gra prawdziwy klezmer, bo czy można zapisać w pięciolinii bicie serca?

Na początku lat 20. połowa braci wyemigrowała do Ameryki. To oni zasiali tam muzykę klezmerską. Zwłaszcza legendarny klarncista Naftuli Brandwein, którego do dzisiaj nazywają „King of Jewish Music of America”. Jego kompozycje grają wszystkie liczące się zespoły klezmerskie na świecie.

Pan dostał przecież propozycję, by uczyć klezmerów w Los Angeles. Dlaczego Pan ją odrzucił?

Gdy byłem w USA, to przyjeżdżały do mnie zespoły z Ameryki, Kanady, Argentyny, które grały muzykę klezmerską. Chcieli, żebym z nimi popracował. Zaproponowano mi wtedy, że jeśli zgodzę się przyjeżdżać dwa razy w roku do Los Angeles, to stworzą Światowe Centrum Kształcenia Muzyków Klezmerskich. Odmówiłem. Zasugerowałem, żeby to oni przyjeżdżali do Krakowa i takie centrum zrobimy przy Wyższej Szkole Muzycznej.

Chcemy zapytać o epizod często pomijany w Pana biografii, a mianowicie o wątek filmowy. Jest pan przecież autorem i konsultantem muzyki do kilku filmów. Najbardziej znane z nich to *Austeria* Jerzego Kawalerowicza i *Lista Schindlera* Stevena Spielberga. Jak wyglądała współpraca z filmowcami? Kawalerowicz zaproponował mi konsulta-

Mam w Krakowie uczniów. Dzięki nim ta muzyka przetrwa.

cje muzyczne. Polegało to na tym, że miałem pilnować tego pełnego, ciepłego żydostwa w muzyce do *Austrii*. Zacząłem przygotowywać różnego rodzaju śpiewy i w ten sposób stałem się kompozytorem. W efekcie Kawalerowicz nalegał, żebym zrobił całą muzykę. Miałem ciężkie zadanie, ponieważ był to chyba jeden z pierwszych filmów, w którym nie wykorzystano ani jednego instrumentu. Pojawił się problem, kto będzie śpiewał psalmy. Przesłuchaliśmy wielu kandydatów, w końcu zapytałem reżysera: „Jurku, kto będzie śpiewał?”, a on odpowiedział: „Ty”. To był pierwszy występ solowy jako wokalisty w moim życiu, ale co miałem zrobić? Pan reżyser tak chciał, to pan kompozytor musiał zaśpiewać. Pracowałem z kilkoma reżyserami, ale tak, jak z Kawalerowiczem, to z nikim mi się nie pracowało.

A jak się pracowało ze Stevenem Spielbergiem?

Zaproponował mi małą rolę i choć ustawiał każdego aktora, to mnie powiedział tylko: „Bądź sobą”. Konsultanci na planie próbowali poprawiać mój akcent, ale Spielberg krzyknął: „Nie, Leopold, tak mów, jak mówisz, po swojemu!” Miałem przecież być nie Anglikiem, nie Amerykaninem, ale człowiekiem z getta. **A które muzyczne spotkanie utknęło Panu najbardziej w pamięci?**

Dostałem kiedyś telefon z Nowego Jorku. Rozmówca powiedział, że jest przedstawicielem Itzhaka Perlmana i zapytał, czy chciałbym się z nim spotkać. Odpowiedziałem, że z wielką przyjemnością, bo Perlman to przecież największy skrzypek świata. Okazało się, że powstaje o nim film i część zdjęć robiono w Krakowie. Spotkaliśmy się i podczas rozmowy Perlman wspominał o moim wujku Naftalim Barandweinie. W pewnym momencie powiedział: „Co będziemy gadać, chodźmy grać”. On na swoim stradivariusie, a ja na rozklekotanym pianinku.

Po tym spotkaniu pomyślałem, że muszę dać mu jakiś prezent. Napisaliśmy z Jackiem Cyganem piosenkę kiedyś *Ta jedna łąza*. Tam jest taki fragment: „Pan uskładać chce naszyjnik z naszych łąz”. Opracowałem ten utwór dla Perlmana i przy następnym spotkaniu wręczyłem mu go, nie zdradzając tytułu. Zaczęliśmy grać. W pewnym momencie zobaczyłem,

jak po jego policzku ścieka łza i opada na instrument. Ta jedna łąza. Zadzwoiłem do Jacka i pogratulowałem, że wymyślił dobry tytuł. **Kiedy klezmer gra, to układa naszyjniki z łąz?**

Tak, choć muzyka klezmerska to nie tylko smutne utwory.

To czym klezmer jeszcze się inspirował?

Przede wszystkim swoim życiem. „Wagony łąz, pociągi łąz. Czy nigdy już nie skończą się?” To jest właśnie życie.

Nasze źródła donoszą, że Leopold Kozłowski inspirował się również pięknymi kobietami. Gdybym powiedział, że nie, byłbym kłamcą (*śmiech*). Uwielbiam muzykę i kobiety. Mimo mojego wieku, wciąż mnie inspirowały. Mądra i piękna kobieta jest moją partyturą. Kobiety w moim życiu odegrały bardzo znaczącą rolę. Zacząłem muzykować, mając pięć lat, a to, co najlepsze, zacząłem brać od kobiet, mając trzynaście.

Nie był Pan zbyt młody?

Nie moja wina! Pojawiła się kobieta. Miała na imię Nastia i była praczką. Mama posłała mnie do niej, by wyprała mi koszulę. Była młoda, miała 17 lat. Zobaczyłem coś, czego do tej pory nie widziałem i bardzo mi się to spodobało.

A Pan się podobał kobietom?

Zawsze miałem wyczyszczone buty i używałem wody „Ja i Ty” za sześć złotych. Myślę, że się podobałem.

Podzieli się Pan z nami jakimiś prywatnymi historiami?

Kiedy robiłem *Skrzypka na dachu* z Jerzym Gruzą, poznałem dziewczynę. To była śliczna i bardzo inteligentna brunetka. Pamiętam, że przygotowywała się do przejścia na judaizm. Ochotnicy musieli wtedy przyjechać do Krakowa, bo we Wrocławiu nie było mykwy.

Każdy przyjechał z towarzyszem – oprócz tej dziewczyny. Była sama, ponieważ jej rodzice nie wiedzieli o tej decyzji. Wydarzyła się wtedy rzecz wyjątkowa. W głównej ceremonii następuje moment (po wyjściu z mykwy), w którym rabin pyta: jakie imię przyjmiesz? Ona nie wiedziała i wtedy popatrzyła na mnie, a ja jej podpowiedziałem: Jehudith. I takie imię przyjęła. Było to dla mnie bardzo ważne. W tym wszystkim widziałem moje Przemyślan. Pamiętam, że opowiedziałem tę historię Jackowi Cyganowi i napisaliśmy utwór *Jehudith*.

Zapewne inspirujących historii związanych z kobietami nie brakowało w Pana życiu...

Oj, było tego dużo. Moglibyśmy siedzieć do rana... Kobiety zawsze były obecne w moim życiu. Lubiałem grać pięknym dziewczynom, choć miałem w tym również swoje cele. Muszę powiedzieć, że się udawało.

Czyli muzyka klezmerska może opowiadać również o miłości i radości, mimo że grana jest w tonacji d-moll.

Ta muzyka to również żydowskie love story. Kobiety lubiły, jak im grałem, a ja lubiałem



Leopold Kozłowski-Kleinman urodził się w Przemyślanach k. Lwowa. Pochodził z żydowskiej rodziny z tradycjami muzycznymi. Cudem udało mu się przeżyć Holokaust. Jak podkreślał, wielokrotnie muzyka ratowała mu życie. Od 70 lat związany z Krakowem. Współorganizował Festiwal Kultury Żydow-

skiej, na którym występował z zespołem Leopold Kozłowski i Przyjaciele. W 2008 roku otrzymał Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, a w 2014 roku został Honorowym Obywatel Miasta Krakowa. „Ostatni klezmer Galicji” zmarł 12 marca 2019 roku.

to jeszcze bardziej. Dziewczyny, z którymi bywałem, też kochały muzykę klezmerską. **A jak poznał Pan tę jedyną kobietę swojego życia?**

Tę właściwą spotkałem na ulicy Długiej. Była piękna. Nic o niej nie wiedziałem, ale powiedziałem sobie: „Już mi nie uciekniesz”. Byłem wtedy samotny. Nie miało dla mnie znaczenia, czy jest Żydówką, jaki ma zawód, kim są jej rodzice. Wtedy nie było jeszcze tych kawiarni na Kazimierzu czy Rynku. Spotykaliśmy się u niej lub u mnie.

Pobraliśmy się po dwóch tygodniach, a przeżyliśmy razem 55 lat. Nigdy nie myślałem o rozwodzie. Koledzy artyści mieli po cztery żony, a ja zawsze wracałem do jednej. Była bardzo tolerancyjna. Wiedziała, że kobiety są w moim życiu ważne.

Czy muzyka również jest kobietą Pana życia?

Tak. Zawsze, kiedy było mi źle, to sobie grałem i od razu czułem się lepiej. Muzyka była dla mnie formą terapii. Dwie rzeczy, które najbardziej pokochałem w życiu, to muzyka i piękne kobiety.

Kobiet nie brakuje w Pana życiu zawodowym. Na scenie towarzyszą Panu wspaniałe artystki.

To niezwykle zdolne kobiety, które pokochały muzykę klezmerską. Dzięki nim robię wciąż to, co robię. „Moje dziewczyny”, bo tak mogę je nazwać – Marta Bizoń, Kasia Jamróz, Kamila Klimczak, Renata Świerczyńska i Halina Jarczyk, muzykują już po żydowsku, a przecież nie są Żydówkami. Specjalne podziękowania kieruję też pod adresem Andrzeja Roga i Jacka Cygana. Dzięki mojemu zespołowi mogę robić to, co kocham. Nie byłoby tej muzyki, gdyby nie było ich. Kłaniam się im wszystkim nisko i dziękuję.

Pamiętam zabawną historię. Podczas jednego z koncertów we Francji pewien rabin zaprosił mnie i Jacka na szabasową kolację. W którymś momencie mówi do mnie: „Leopold, skąd pan wzięł te piękne Żydówki, które mówią takim krystalicznym jidysz?”, a ja mu odpowiadam: „Rebe, to nie są Żydówki”. On się zdziwił, bo nie mógł uwierzyć, gdzie one nauczyły się tak dobrze mówić w jidysz.

Nazywają Pana „ostatnim klezmerem Galicji, Polski i świata”. Jaka przyszłość czeka klezmerów?

Mam w Krakowie uczniów. Dzięki nim ta muzyka przetrwa. Weźmy Martę Bizoń. Ona jest klezmerem nad wszystkich klezmerów! Nie ma takiego określenia jak „śpiewać po klezmersku”, ale ona dziś jest prawdziwą klezmerką. Są też inni wspaniali muzycy. Nasze koncerty zawsze są doskonale przygotowane przez Halinę Jarczyk, która od dwudziestu lat ze mną gra. Ona zresztą już połąknęła to muzyczne żydostwo.

Kiedy pan zamyka dziś oczy, co pan widzi? Moje rodzinne Przemyśłany. Tam nie miało znaczenia, czy byłeś Ukraińcem, Polakiem czy Żydem. To był cudowny sztetl, gdzie róż-

ne wyznania żyły w całkowitej zgodzie. Był to sztetl przyjaźni. Przemyśłany to były, jak ja to nazywam, miasteczko serc.

Opowiem wam historię. Proszę sobie wyobrazić miasteczko żydowskie i rozprawę sądową. Na sali sędzia, główni zainteresowani: żydowskie małżeństwo i prawie wszyscy mieszkańcy na widowni. Mówi sędzia: „Pogódźcie się, po co te nerwy?”. Na to mąż: „Wysoki sędzie, ona mi nie odpowiada seksualnie”. Sędzia mu odpowiada: „To zrób pan tak, żeby panu odpowiadała”. Ten mówi: „Nie da się, ona mi nie odpowiada seksualnie”. Nagle wstaje ktoś z widowni i mówi zdziwiony: „Ona mu nie odpowiada seksualnie? Nam wszystkim odpowiada!”.

Lubi pan opowiadać dowcipy?

Lubię opowiadać i lubię słuchać dobrych dowcipów.

To proszę opowiedzieć jeszcze jeden dobry żydowski dowcip.

Kiedyś na krakowskiej synagodze pojawił się napis: „Wchodząc tutaj bez nakrycia głowy, to tak samo jakby cudzołożyć”. Na drugi dzień ktoś dopisał: „Próbowałem jedno i drugie. Kolosalna różnica”...

Miał Pan trudne życie: najpierw przymusowa ucieczka z Przemyślan, później niemieckie obozy koncentracyjne, był Pan żołnierzem Armii Krajowej, w trakcie wojny stracił Pan najbliższą rodzinę, w PRL-u prowadził Pan wojskowy zespół muzyczny, ale tylko do pamiętnego Marca’68. Czy wobec tego wszystkiego czuje się Pan dziś spełniony w życiu?

Ja nie miałem łatwego życia, podobnie jak ludzie z mojego wojennego pokolenia. Chciałbym, żeby wszyscy ludzie w Europie, Ameryce, na całym świecie mogli żyć w wolności i pokoju.

Najważniejsze w życiu nie są pieniądze i konta bankowe, ale wierni i oddani przyjaciele, a ja ich miałem. Poza tym jestem strażnikiem oryginalnej, tradycyjnej muzyki żydowskiej. Nic więcej mi nie trzeba.

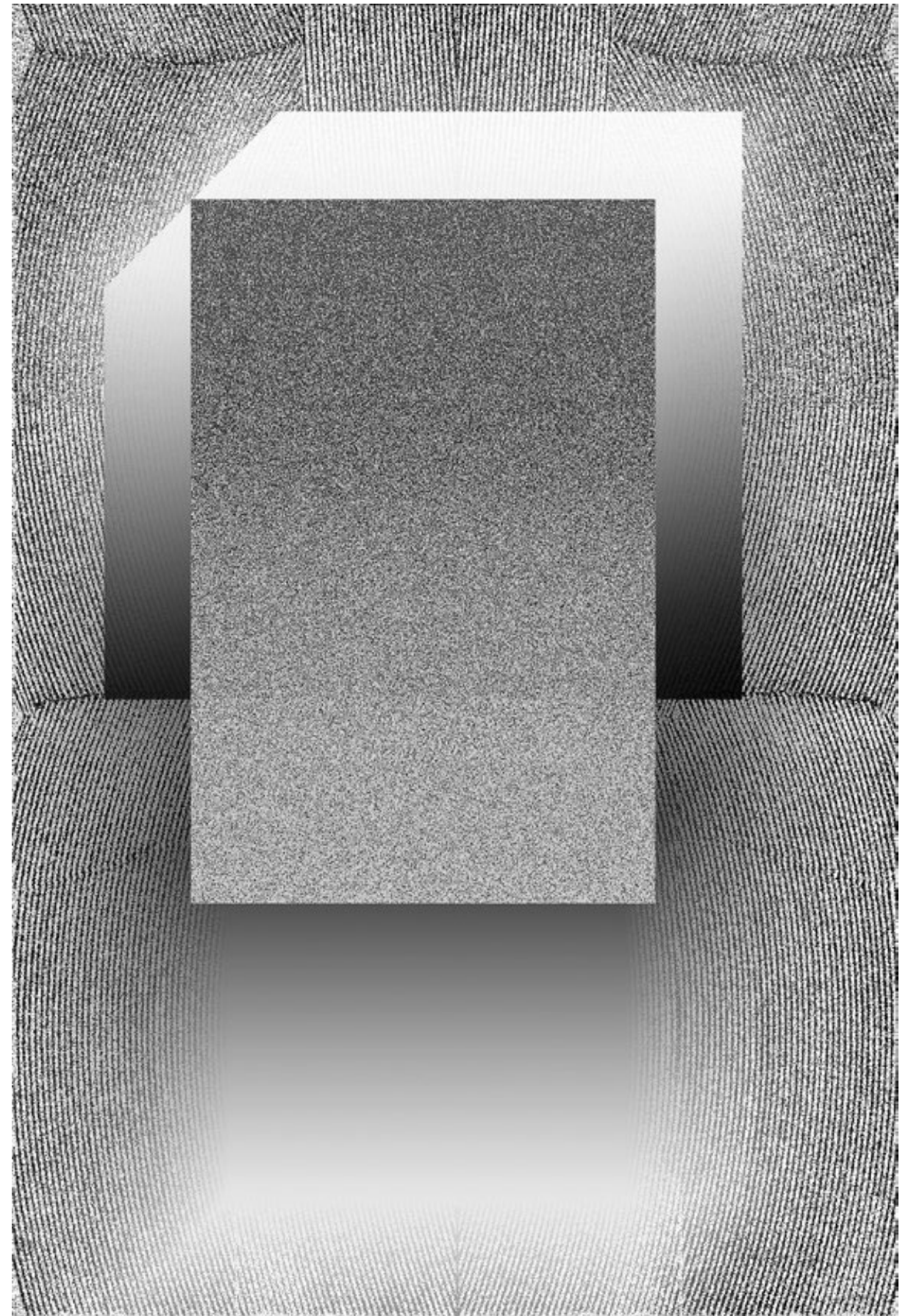
Są tylko dwie rzeczy, których jeszcze chcę: zdrowie i granie!



Katarzyna Domagała – absolwentka Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej oraz Zarządzania Kulturą i Mediami; interesuje się kulturą współczesną oraz tematami społeczno-politycznymi. Miłośniczka kina Bergmana, rocka i jazzu progresywnego. W wolnych chwilach pisze i maluje.



Szymon Piegza – publikował na portalach TVN24, Interia oraz Onet. Autor filmów krótkometrażowych i reportaży. Entuzjasta literatury klasycznej, kina moralnego niepokoju i polskiego rock&rolla.



Ryszard Otręba, *Kamufaż XIX*, druk cyfrowy, 88 x 59,4 cm, 2013

Pułapka historii

Tekst: Monika Libicka

Znalazłam ostatnio w swojej bibliotece pożółkłą książeczkę *Polska w obrazach*, wydaną przez Oficynę Literacką w Krakowie w 1990 roku. Jest tam rysunek Sławomira Mrożka, zatytułowany *Schemacik historii*.

Przedstawia ułożone na przemian, w rzędzie, dwa obrazki – domek, nad którym świeci słońko, i czarne zgłiszcza tego domku, nad którymi unosi się dym. Domek, zgłiszcza, domek, zgłiszcza, domek i... ostatni obrazek jest pusty.

Mrożek wyraził to, co w naszej historii najważniejsze i postawił pytanie o szansę na zmianę tego schematu, czyli usunięcie zgłiszczy z nadwiślańskiego kołowrotka historii.

Po Okrągłym Stole przez wiele lat wydawało się, że jesteśmy na dobrej drodze. Aż władzę przejęła formacja, która przekonała część narodu, że kraj jest w ruinie i że to ona powinna Polskę odbudować. Dzięki temu suweren może dziś podziwiać równoczesny rozkład sądownictwa, edukacji, obronności, polityki zagranicznej, a nawet stadnin koni arabskich, żeby wymienić tylko kilka z wielu rujnowanych obszarów. Odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje, zawraca nas do schemaciku Mrożka, a konkretnie do nieszczęsnych zgłiszczy.

Konsekwencje ostatniej wojny analizuje zespół psychologów z UW, pod kierunkiem profesor Lis-Turlejskiej, który sprawdzał rozpowszechnienie syndromu stresu pourazowego (tzw. PTSD) w naszej populacji. Naukowcy doszli do wniosku, że cały czas mierzymy się z traumą wojenną, „przekazywaną międzypokoleniowo zarówno w wyniku procesów psychologicznych, jak i na poziomie biologicznym”. Z badań wynika, że aż 30 proc. ludzi, którzy przetrwali wojnę w Polsce, cierpi na PTSD, podczas gdy w Europie Zachodniej jest to tylko około 5 proc. Ta różnica między Wschodem i Zachodem wynika prawdopodobnie z nasycenia naszych ziem krwią, co zostało dość gruntownie opisane w książce *Skrwawione ziemie* Timothy’ego Snydera, a co znamy z opowieści rodzinnych. Do objawów PTSD należą między innymi negatywne przekonania na temat świata, postrzeganie obcych jako zagrożenia, a siebie jako ofiary, postawy lękowe, agresja lub konieczność nieustannego „wstawania z kolan”.

O tym, że traumę dziedziczymy w genach, wiem z własnego doświadczenia. Gdy mieszkalam w Nowym Jorku, często rozmawiałam z amerykańskimi przyjaciółmi o historii naszych krajów. Oni mało wiedzieli o europejskich wojnach, bo tamtejsza edukacja historyczna zaczyna się i kończy na Ameryce. Różnice między nami najlepiej dało się opi-

sać, porównując złe sny z dzieciństwa. Gdy ich koszmary sprowadzały się do strasznych przygód w Krainie Oz, mnie ganiłi po lasach faceci w mundurach SS z psami przy nodze. Ostatnio gdy na jakimś spotkaniu wywiązała się na ten temat rozmowa, przekonałam się, że podobne doświadczenia mieli moi rówieśnicy. Choć przecież urodziliśmy się długo po wojnie.

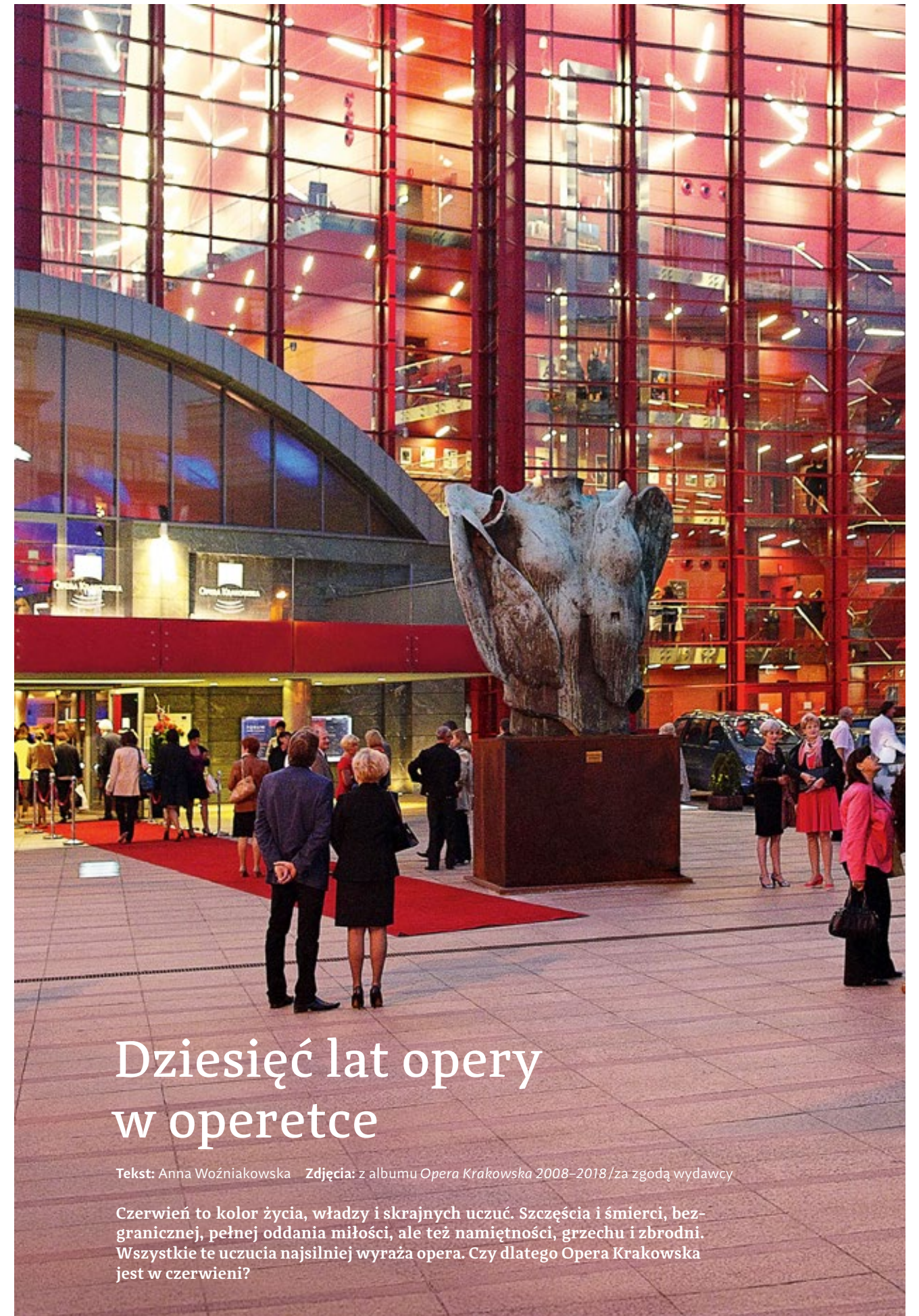
Historia zastawiła na nas pułapkę, z której możemy się wyrwać tylko przez gruntowną terapię narodowych lęków.

Nieprzepracowane traumy narastają. Nie da się ich zapomnieć ani przemilczeć. Wracają w podejmowanych decyzjach i w społecznym dyskursie – albo jego braku. To wiedzie, w dalszym etapie, do nieszczęsnego schemaciku, który jest jak błędne koło. Gdy widzę, jak często naszą politykę sterują demony z przeszłości, boję się, że wracamy do Mrożka.

Historia zastawiła na nas pułapkę, z której możemy się wyrwać tylko przez gruntowną terapię narodowych lęków. Do tego jednak potrzebna byłaby zgoda ponad podziałami i dobra edukacja, a na razie mamy rozpad naszej wspólnoty oraz edukatorów, którzy chcieliby programowo wygumkować fragmenty naszej historii.



Monika Libicka – wrocławianka, mieszkająca od lat w Warszawie i w Brazylii, a wcześniej w Nowym Jorku. Dziennikarka i felietonistka. Wielbicielka reportażu Kapuścińskiego, tokańskich pejzaży i oceanicznych medytacji. Brała udział w obronie Puszczy Białowieskiej. Właścicielka „charta żoliborskiego” Molly i autorka bloga www.monika-libicka.blox.pl



Dziesięć lat opery w operetce

Tekst: Anna Woźniakowska Zdjęcia: z albumu *Opera Krakowska 2008–2018* /za zgodą wydawcy

Czerwień to kolor życia, władzy i skrajnych uczuć. Szczęścia i śmierci, bezgranicznej, pełnej oddania miłości, ale też namiętności, grzechu i zbrodni. Wszystkie te uczucia najsilniej wyraża opera. Czy dlatego Opera Krakowska jest w czerwieni?

O kładka eleganckiego albumu przedstawia widok, który oglądamy, podążając w Krakowie na operowy spektakl... I tak: rozświetlony szklany fronton gmachu głównego pozwala dostrzec widzów przemieszczających się w jego wnętrzu, czerwony dywan prowadzący do głównego wejścia, mieszczącego się w odtworzonej dawnej operetce, zaprasza do środka. Przy stojącej na operowym placu

Nie czas tu i miejsce, by przypominać długie i wytrwałe boje o operę w Krakowie. Towarzyszyłam im przez dekady, bo bakcyła teatru muzycznego złapałam w dzieciństwie, w pamiętnym 1954 roku, gdy w tym samym co dziś miejscu, w ówczesnym Domu Żołnierza, spektaklami *Cyrulika sewilskiego* Rossiniego i *Hrabiny Maricy* Kalmana rozpoczęła stałą działalność krakowska scena muzyczna. Noszę tego



Budynek Operetki, fot. Archiwum Opery Krakowskiej

rzeźbie Igora Mitoraja zatrzymują się czekający na swoich bliskich. Panuje atmosfera odświętności, lekkiego podniecenia, obietnicy... Za chwilę zabrzmią pierwsze dźwięki muzyki.

To odczucie znane jest od wieków wszystkim bywalcom operowych i teatralnych spektakli. Ale tu, na styku ulic Lubicz i Borowickiej, ma wciąż element świeżości. Bo w tym miejscu, w takim otoczeniu, przeżywamy je dopiero od dziesięciu lat. I o tym jest wspomniany album.

13 grudnia ma w Polsce zasłużenie złe konotacje. Jest atoli jeden wyjątek. Przed dziesięcioma laty Kraków zniweczył jego ponurą sławę. W 2008 roku, właśnie tego dnia spełniło się bowiem odwieczne marzenie nie tylko krakowskich melomanów, ale wszystkich krakowian kochających swoje miasto, chcących widzieć w nim prawdziwą perłę kultury: 13 grudnia 2008 roku została oficjalnie oddana do użytku siedziba Opery Krakowskiej, pierwsza w dziejach tej gałęzi sztuki pod Wawelem.

W pamiętnym 1954 roku, w tym samym co dziś miejscu (wówczas tzw. Domu Żołnierza), spektaklami *Cyrulika sewilskiego* Rossiniego i *Hrabiny Maricy* Kalmana rozpoczęła stałą działalność krakowska scena muzyczna.

bakcyła do dziś, więc tamten grudniowy dzień był także dla mnie wielkim świętem, choć podbarwionym elementem gorczy, bo bolał wyśięk zaprzepaszczonej lat i zmarnowanych inicjatyw. Bo żywa była świadomość, że gdyby nie szalona, podjęta wbrew wszelkiej logice decyzja ówczesnego dyrektora Opery Bogusława Nowaka i jego moc przekonywania, która z obojętnego zrazu na kłopoty podległej mu instytucji marszałka województwa małopolskiego Marka Nawary uczyniła zagorzałego jej zwolennika, tej siedziby by nie było.

To oni rozpoczynając w 2002 roku generalny remont budynków przy ul. Lubicz, który wkrótce za ich staraniem przemienił się w „Przebudowę istniejącego budynku wraz z budową obiektu Opery Krakowskiej”, doprowadzili do pamiętnego 13 grudnia 2008 roku.

To wszystko przypomina wspomniany album. A atmosferę tamtego dnia najlepiej streścił Andrzej Biegun, przez lata czołowy bary-

ską i Katarzynę Sanocką, w szacie graficznej Marka Pawłowskiego. Sumuje bowiem dorobek minionych dziesięciu lat, ukazuje, jak radykalne nastąpiły zmiany, jak ważny okazał się budynek Opery dla niej samej i dla Krakowa. Bo niemal natychmiast po otwarciu stał się miejscem nie tylko spektakli muzycznych, ale licznych konferencji, gościnnych koncertów, spektakli teatralnych, wszak jest to najwięk-



Gmach Opery Krakowskiej, fot. Wiktor Siwanowicz

ton krakowskiej sceny. Pamiętał dobrze lata tułaczki zespołów operowych po Krakowie, trudną koegzystencję Opery Krakowskiej i Teatru im. J. Słowackiego w budynku przy pl. Świętego Ducha, gdy los Opery zależał każdego dnia od zdolności koncyliacyjnych dyrektorów obu placówek, a z tym różnie bywało. Dla niego więc „otwarcie Opery było wydarzeniem, w które nam wszystkim trudno było uwierzyć. To tak, jakby odebrać klucze do swojego własnego mieszkania. Ta świadomość, że jesteśmy u siebie i nic nie może tego zmienić. Właśnie to poczucie podczas prób i spektakli jest cenniejsze od jakiegokolwiek oceny samego budynku”.

Zainteresowanych historią Opery Krakowskiej i reakcjami krakowian na jej nowy gmach odsyłam do wcześniejszych wydawnictw operowych. Ciekawa to lektura. Ale może nawet ciekawsze informacje przynosi ten najnowszy album przygotowany pod redakcją Elżbiety Toszy przez Ewę Bąkowską, Beatę Ciechanow-

13 grudnia 2008 roku została oficjalnie oddana do użytku siedziba Opery Krakowskiej, pierwsza w dziejach tej gałęzi sztuki pod Wawelem.

sza sala teatralna Krakowa. Nie przypadkiem w 2009 roku Opera Krakowska została laureatem konkursu na Najlepsze Przedsięwzięcie Roku w Małopolsce, a w 2012 otrzymała certyfikat Best Place for Culture 2011 przyznany przez czytelników i redaktorów angielskiego portalu Cracow Life. Gdy w 2014 roku otwarto Międzynarodowe Centrum Kongresowe ICE, Opera straciła prymat na jego rzecz, ale nie zmniejszyła się jej atrakcyjność. To również można wyczytać z omawianego albumu.

Jak napisała we wstępie Elżbieta Tosza: „Przypomina on najistotniejsze i najpiękniejsze zdarzenia – premiery, festiwale, koncer-



Emocje, na zdjęciu Bożena Kowalska i Sebastian Kubacki, fot. Victor Korpusenko

ty w plenerze i występy wybitnych artystów, projekty edukacyjne i wyjazdy zagraniczne, wystawy, jubileusze, nagrody...”. Na co dzień o tym się nie pamięta, jedno wydarzenie ginie w blasku kolejnego, więc taki bilans złożony z zamieszczonych w albumie pięknych zdjęć oraz licznych wypowiedzi ludzi sztuki i melomanów (cytuję niektóre z nich we fragmencie) jest ze wszech miar potrzebny.

wywany dziełami innych epok, dotąd rzadko pojawiającymi się na krakowskiej scenie lub na niej wręcz nieobecny. Z jednej strony stwarza to wyzwania dla zespołów artystycznych i daje asumpt do ich rozwoju. Nie przypadkiem działalność w nowym gmachu zainaugurowano *Diablami z Loudun* Krzysztofa Pendereckiego we wspaniałej inscenizacji Laco Adamika i Barbary Kędzierskiej. Z dru-



Arie oper światła, na zdjęciu Piotr Beczała, Wawel, fot. Ryszard Kornecki

Jakie więc było to dziesięciolecie Opery Krakowskiej? Nowy gmach stworzył zupełnie inne niż dotąd możliwości inscenizacyjne. Anna Jaworska, wieloletnia inspicjentka, zwraca uwagę że „elektroniczna konsola ułatwiła sterowanie procesami scenicznymi i komunikację z zespołami. (...) Zautomatyzowana kurtyna, ruchome podesty, zapadnie sceniczne, automatyczna sznurownia i możliwość kształtowania wielkości sceny dają obecnie zupełnie nową jakość realizacji wystawianych tutaj przedstawień”. Ta nowa jakość jest widoczna w każdym z artystycznych przedsięwzięć przygotowanych przez Operę Krakowską, ale najważniejsze okazało się wspomniane przez Andrzeja Bieguna poczucie stabilizacji. Wpłynęło ono zasadniczo na politykę repertuarową tego dziesięciolecia. Trzon repertuaru to oczywiście opery romantyczne i werystyczne, głównie włoskich mistrzów, najchętniej przez melomanów oglądane i słuchane. Jest on jednak coraz znacznie obudo-

Program Opery Krakowskiej zamyka się dziś w blisko czterech stuleciach: od muzyki hiszpańskiej Złotego Wieku po dzieła Szymanowskiego, Schönberga, Góreckiego i utwory słynnych polskich jazzmanów: pianisty Piotra Orzechowskiego i basisty Krzysztofa Ścierańskiego.

giej – kształtuje gust publiczności, która darząc Operę Krakowską coraz większym zaufaniem, jest gotowa na spotkanie z dziełami na pozór trudnymi. Na pozór, bo inscenizatorzy zapraszani przez minione dziesięć lat do pracy w Operze, realizując swoje wizje artystyczne, zawsze mieli na uwadze odbiorcę, potrafili do niego trafić, dać mu wzruszenie i poczucie obcowania z wielką sztuką. I dziś repertuar Opery Krakowskiej zamyka się w blisko czte-

rech stuleciach, od muzyki hiszpańskiej Złotego Wieku po dzieła Szymanowskiego, Schönberga, Góreckiego i utwory słynnych polskich jazzmanów: pianisty Piotra Orzechowskiego i basisty Krzysztofa Ścierańskiego. Właśnie w tym dziesięcioleciu po raz pierwszy w historii krakowskiej sceny muzycznej pojawiły się na niej: *Ariadna na Naxos* Richarda Straussa w reżyserii Włodzimierza Nurkowskiego,

wej w Hiszpanii. W 2013 roku Opera Krakowska zaliczona została do grona najciekawszych scen świata (47. pozycja w rankingu portalu Operabase), a jej artyści wielokrotnie byli w tym dziesięcioleciu nagradzani.

Dzięki możliwości długofalowego planowania na krakowskiej scenie słuchaliśmy najlepszych polskich głosów, także tych, które wzbudzają zachwyt na światowych scenach,



Kopciuszek, na zdjęciu Mizuki Kurosawa, fot. Jacek Wrzeński

Mefistofeles Arriga Boito w inscenizacji Tomasza Koniny, *Tannhäuser* Richarda Wagnera, *Anna Bolena* Gaetana Donizettiego i *Manru* Ignacego Jana Paderewskiego przygotowane przez Laco Adamika, głównego reżysera Opery, a więc pozycje stawiające najwyższe wymagania wobec inscenizatorów i wykonawców. To Opera Krakowska jako pierwsza scena muzyczna w Polsce pokazała *Miłość do trzech pomarańczy* Prokofiewa w świetnej inscenizacji Michała Znanieckiego.

Stabilizacja pozwala na dalekosiężne plany, na współpracę nie tylko z polskimi teatrami muzycznymi, ale i scenami z różnych stron świata, co podnosi prestiż naszej Opery. W 2011 roku *Eugeniusz Oniegin* Czajkowskiego przygotowany przez Michała Znanieckiego w koprodukcji z Teatrem Wielkim w Poznaniu, ABAO w Bilbao i Teatro Argentino La Plata w Buenos Aires wyróżniony został Nagrodą Premios Liricos Teatro Campoamor przyznawaną najlepszej produkcji premiero-

dość wspomnieć Aleksandrę Kurzak, Małgorzatę Walewską, Agatę Zubel, Piotra Beczałę, Andrzeja Dobbera, Mariusza Kwietnia, Artura Rucińskiego, Rafała Siwka, Wojciecha Śmiłka... Podziwialiśmy też tancerzy z najpoważniejszych europejskich zespołów baletowych. Ich udział w koncertach, galach baletowych i spektaklach Opery Krakowskiej był nie tylko świętem dla melomanów, ale świetną lekcją dla partnerujących im krakowskich artystów.

Zamieszczone w albumie zdjęcia dowodzą, jak umiejętnie dyrekcja Opery Krakowskiej zdobywała przez te dziesięć lat środki europejskie, granty ministerialne i wojewódzkie, zyskiwała sponsorów. Dzięki temu jej krąg oddziaływania znacznie się poszerzył. Norwedzy w Trondheim oglądać mogli *Don Giovanniego* Mozarta w reżyserii Michała Znanieckiego i wspomnianego już *Mefistofelesa*, Węgrzy – *Cesarza Atlantydy* Ullmanna na Międzynarodowym Konkursie Operowym w Szeged, Słowacy – *Toskę* Pucciniego na zamku w Zwoleniu,

a melomani w Kuwejcie mogli podziwiać kunszt krakowskich śpiewaków i operowej orkiestry pod dyktando Tomasza Troikarczyka, kierownika muzycznego Opery Krakowskiej. Dzięki umiejętności współpracy z różnymi instytucjami i środowiskami na Dziedzińcu Arkadowym Wawelu oglądaliśmy między innymi nobliwy *Straszny dwór* Moniuszki i oszałamiające temperamentem oraz rozmachem

Krakowskiej. Nie darmo Katarzyna Oleś-Błacha, interpretatorka głównych partii sopranowych na krakowskiej scenie, stwierdza: „Dzięki własnej siedzibie mamy poczucie wspólnoty, które jest niezwykle i nie do przecenienia”.

Dyrektor Bogusław Nowak może więc bez fałszywej skromności ocenić: „Przeglądam strony tej książki i z każdą rośnie moja radość i satysfakcja. Że Nam się udało. Że jesteśmy ze-



Napój miłosny, na zdjęciu Joanna Woś i Chór Opery Krakowskiej, fot. Ryszard Kornecki

Carmina burana Orffa, w Kopalni Soli w Wieliczce poddawaliśmy się urokom liryki wokalne w cyklu „Pieśń – teatr słowa”, na rynku w Lanckoronie bawiliśmy się *Napojem miłosnym* Donizettiego, a w Muzeum Lotnictwa podziwialiśmy *Wielkie chóry wielkich oper*. Ma więc rację Jarosław Sułkowski, dyrektor Regionalnego Centrum Korporacyjnego PKO PB w Krakowie, jednego ze sponsorów Opery, gdy mówi o naszym teatrze muzycznym: „Tu spotyka się klasyczne piękno z intrygującą awangardą, co budzi zachwyt wymagających odbiorców, ale też rozbudza wrażliwość początkujących melomanów. Repertuar kusi, atmosfera sprzyja, a muzyka zachwyca”.

Ale Opera Krakowska to nie tylko spektakle i koncerty. Zadziwia mnogość działań skierowanych przez te dziesięć lat do potencjalnego widza – od dzieci po seniorów. Dni Otwarte, spotkania z artystami, programy edukacyjne, wystawy plastyczne, to wszystko buduje emocjonalną więź, tworzy rodzinę Opery

społem, który znalazł w swoim nowym miejscu sens codziennej pracy. Sens pracy twórczej, ducha teatru, którego przez długie lata, czasami bezskutecznie, poszukiwaliśmy. Ale przetrwaliśmy i wspólnie z naszymi widzami budujemy? zbudowaliśmy? własną tożsamość”.

A my za te dziesięć lat po prostu dziękujemy.

Opera Krakowska,
ul. Lubicz 48, 31-505 Kraków,
tel. 12 296 62 00



Anna Woźniakowska – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.



Tajemnica znaku

Tekst: Jakub Wydrzyński Zdjęcia: Alicja Rzepa

Ryszard Otręba, artysta, projektant i pedagog, którego prace znane są na wszystkich kontynentach, pozostaje wierny geometrycznej abstrakcji oraz prostemu pięknu minimalistycznej czarno-białej grafiki.

Mówi, że czuje się reprezentantem i kontynuatorem krakowskiej szkoły grafiki polskiej spod znaku Konrada Szrednickiego, Jerzego Panka, Stanisława Wójtowicza czy Mariana Maliny. Debiutował na I Ogólnopolskim Biennale Grafiki w Krakowie w 1960 roku. Sześć lat później na stypendium Departamentu Stanu USA w Pratt Institute w Nowym Jorku skonfrontował swoją twórczość z największymi nazwiskami minimal artu i op-artu oraz wizualistami z Anonima Group, wchodząc przebojem do światowego obiegu sztuki. W uznaniu jego warsztatu dwóch amerykańskich artystów wprowadziło wręcz do podręcznika technik graficznych termin „metoda Otręby”/„Otreba’s media”.

Pytany o pierwiastek osobisty i emocjonalny swoich prac odpowiada: „Nie próbuję stwarzać niepokoju moralnego, nie wymuszam na nikim odczytywania czegokolwiek. Szukam jedynie bezpośredniego kontaktu z odbiorcą dla wywołania bezpośredniego przeżycia. Wywołuję takie napięcia, aby patrzeć na obraz, wzbogacać twórczy impuls. Wierzę w twórczy charakter człowieka”.

Profesor krakowskiej ASP jest reprezentantem pokolenia grafików polskich, których prace święciły tryumfy za granicą i sprzedawały się na pniu, trafiając do prywatnych kolekcji na całym świecie. Dziś, gdy w nowoczesnym designie ceni się bardziej walory użytkowe niż artystyczne, wielu młodych twórców może tylko marzyć o estymie, jaką darzono twórców pokolenia Otręby.

W pracach artysty uderza energia oraz intensywność linii, mistrzowsko wykorzystany monochromatyzm, jednocześnie harmonijny i niemal medytacyjny wymiar dzieła. Symbole pojawiają się rzadko (jak gwiazda Dawida w cyklu oświęcimskim), lecz grafiki te nie przemawiają znakiem kulturowym, ale formą uproszczoną i wieloznaczną. Precyzja, rytmiczność, geometryczność, a przede wszystkim prostota oraz przemyślana oszczędność w wykorzystaniu środków są znakiem charakterystycznym tej twórczości.

Jan Pamuła pisał: „Jego grafiki w swej ascetyczności przypominają czarno-białe malarstwo zen. Istnieje duża zbieżność zarówno w sposobie traktowania sztuki, procesu kreacji, jak i charakteru samego znaku plastycznego u twórców zen i w jego twórczości. Najważniejszym czynnikiem łączącym jest jednak wymiar ontologiczny i kontemplacyjny charakter twórczości – obraz staje się podporą dla oczu w drodze do obcowania z głębszą rzeczywistością”.



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiar-nianego Stolika.

Ryszard Otręba – ur. 1932 w Suszcu, powiat Pszczyna. Grafik, rysownik, zajmuje się także wzornictwem przemysłowym. Studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w latach 1953–59 oraz nowojorskim Pratt Institute w latach 1966–1967. Profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Profesor wizytujący w Sydney College of the Arts, Australia

(1981 oraz 1984), University of Connecticut w Storrs, USA (1993). Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1993). Jego prace znalazły się w zbiorach m.in. Muzeum Guggenheima, Museum of Modern Art w Nowym Jorku, Bibliotece Kongresu USA, Biblioteki Narodowej w Paryżu, Tate Gallery, Muzeum Wiktorii i Alberta w Londynie.



**KWESTIO-
NARIUSZ
PROUSTA**
PO KRAKOWSKU

Ryszard Otręba

Kwestionariusz Prousta po krakowsku to zestaw kilkunastu pytań, które ponoć szybko pokazują osobowość ankietowanego. Proust miał taki w tym udział, że dwukrotnie odpowiadał na pytania swej znajomej. Czasami ta salonowa psychozabawa z przełomu wieku XIX i XX wraca.

Główna cecha Twojego charakteru?

Wdzięczność za pozytywne reakcje poznawanych ludzi.

Co Cię ekscytuje?

Natura (urodziłem się w lesie jako syn leśniczego).

Dar natury, który chciałbyś posiadać?

Lato – które utraciłem, wyjeżdżając dwukrotnie na Antypody.

Błędy, które najczęściej wybaczasz?

Agresję wypowiedzianych opinii o nietolerancji w stosunku do większości – na przykład wynikających z demokratycznych wyborów.

Ulubieni bohaterowie literaccy?

Mały Książę Antoine’a de Saint-Exupéry’ego. Ulubieni bohaterowie życia codziennego?

Moja małżonka, moi lojalni współpracownicy oraz moi studenci.

Jakiego XX-wiecznego artystę cenisz najbardziej?

Kazimira Malewicza za *Manifest suprematystyczny*.

Ulubione zajęcie?

Milczenie.

Ulubione miejsce?

Pracownia graficzna, którą stworzyłem dopiero w wieku dojrzałym.

Filmy o sztuce w Zakopanem

Ta jedna z najwartościowszych imprez filmowych lat 70. i 80. ubiegłego wieku narodziła się z inicjatywy znakomitego rzeźbiarza Władysława Hasióra oraz znanego z filmów poświęconych sztuce reżysera Grzegorza Dubowskiego.



Wiele mówi już to, że pierwsza edycja zakopiańskiego Przeglądu Filmów o Sztuce w 1968 roku towarzyszyła III Salonowi Marcowemu, gdzie wystawiali między innymi Tadeusz Brzozowski, Jerzy Nowosielski i Stefan Gierowski, czyli późniejsi... bohaterowie prezentowanych w jej ramach filmów. Festiwal doceniali zarówno filmowcy, jak plastycy czy muzealnicy. Konkursowym projekcjom towarzyszyły wystawy znakomitych artystów (choćby Tadeusza Brzozowskiego), występy (m.in. Ewy Demarczyk), legendarne nocne posady u Hasióra i happeningi łódzkiego Warsztatu Formy Filmowej.

W 1991 roku na scenie teatru przy Chramcówkach odbyła się jednak symboliczna stylizowana impreza.

W 2016 roku Zakopiańskie Centrum Kultury postanowiło reaktywować Przeglądy. Do konkursu tegorocznej, 22. już edycji (10–14 kwietnia) zgłoszono ponad 100 dokumentów. Prócz jednak projekcji wybranych do finału filmów festiwal to także spotkania, wystawy, koncerty oraz warsztaty filmowe dla młodzieży. Jury (z udziałem znanej z łamów „Krakowa”

Zofii Gołubiew) przyzna trzy główne nagrody (w tym Grand Prix). Swoich wybrańców uhonoruje też Stowarzyszenie Filmowców Polskich oraz Stowarzyszenie Autorów ZAIKS. Przegląd otworzy projekcja premierowego dokumentu Tomasza Drozdowicza *Maksymiuk*. Koncert na dwoje poświęconego znanemu dyrygentowi, pianiście i kompozytorowi oraz jego żonie Ewie. A z okazji 90. rocznicy śmierci Witkacego przypomniany zostanie głośny film Mariusza Trelińskiego *Pożegnanie jesieni*.

Miejska Galeria Sztuki przygotowała wystawę *Pomiędzy inspiracją a improwizacją* prezentującą twórczość sław polskiej grafiki ostatniego wieku: Józefa Gielniaka, Tadeusza Kulisiewicza i Władysława Skoczylasa. W Galerii Władysława Hasióra, filii Muzeum Tatrzańskiego, w ramach ekspozycji *Hasiór+* pokazywane są asambláže jednego z pomysłodawców Przeglądu.

Galę wręczenia nagród uświetni koncert Marka Napiórkowskiego i Artura Lesickiego, będący hołdem dla rodzimych kompozytorów muzyki filmowej. (kb)



Wielgānoc po krakowsku

Hej dziś na Emausa, gościniec nas prowadzi
Witajcie Kochani, witajcie kochani
i bądźcie nam tu radzi
Bo tu na Emausie, to jest szeroka brama,
Kto idzie, kto jedzie, kto idzie, kto jedzie
to otwiera się sama
Bo dzisiaj w dniu odpustu, piosenką Was
witamy
Będą przedstawienia i będą przyśpiewki
Które Wam zaśpiewamy
I będziemy wam grali i sztuki wystawiali
O naszej kulturze i naszej tradycji
Będziemy przedstawiali
Serdecznie was witamy, niziutko się kłania-
my
Do wspólnej zabawy, do wspólnej zabawy
Gorąco zapraszamy.

Zbigniew Grzyb

Lajkonik, obwarzanek krakowski i Emaus to bodaj najbardziej krakowskie z wielu miejskich obyczajów. Lajkonik ma swój pochód, obwarzanek można kupić właściwie na każdym rogu, a Emaus...

Emaus w tym roku będzie kolorowy, gwarny i tłumny, jak zawsze i inny niż zwykle...

22 kwietnia o godz. 16, dzięki uprzejmości księdza kanonika Stanisława Sudoła oraz zaangażowaniu wielu ludzi i instytucji, miesz-

kańcy Krakowa spotkają się na Emausie na dziedzińcu Klasztoru Sióstr Norbertanek, by wspólnie obejrzyć prapremierę przedstawienia *Wielgānoc po krakowsku*, które napisał pasjonat i znawca gādki krakowskiej, regionalnej kultury, tradycji i historii, Zbigniew S. Grzyb. Wystąpią „Gawędziarze i Śpiewacy” z Grębynic oraz uczniowie z dwóch grup teatralnych ze Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Radziemicach oraz grup teatralnych przy Centrum Kultury i Wypoczynku w Proszowicach pod opieką Katarzyny Duch i Elżbiety Zagórskiej. Po przedstawieniu artyści, pisarze, dziennikarze i historycy będą opowiadać o kulturze i tradycji świąt Wielkiej Nocy w Krakowie i na Zwierzyńcu.

To kolejny projekt, który razem z Bałem na Stawach i Zwierzynieckim Winosiadem z potańcówką, służy odradzaniu krakowskiej kultury i tradycji.

Pomysłodawcą wydarzenia na Emausie jest – razem ze Stowarzyszeniem Bene Tibi (od lat organizuje Festiwal Godki Krakowskiej) – wieloletni organizator Balu na Stawach Jarosław Sokół (związany skądinąd z Biblioteką Kraków).

Imprezę wspierają i na nią zapraszają: Urząd Miasta Krakowa, Biblioteka Kraków, miesięcznik „Kraków” i Rada VII Dzielnicy Krakowa Zwierzyńca. (red.)

Kraków w rękach krakowian

Idea budżetu obywatelskiego jest prosta: to sami mieszkańcy mają decydować, na co pójdzie część pieniędzy z gminnej kasy, a więc między innymi płaconych przez nich podatków.



Projekt dzielnicowy „Pszczoły na dachu” (edycja IV, 2017 rok): „umieszczenie kilku uli na dachu budynku gminnego w III dzielnicy (Prądnik Czerwony), blisko terenów zielonych, obfitych w miódodajne rośliny i drzewa” (koszt: 22 122 zł)/Fot: Materiały prasowe Urzędu Miasta

Trudno sobie wyobrazić lepsze narzędzie wpływania na swoje najbliższe otoczenie (i lokalne władze). Równocześnie jest to przednia szkoła demokracji i samoorganizacji. Najpierw trzeba przecież porządnie opracować projekt i zdobyć dlań wstępne poparcie (tu akurat wystarczy 15 podpisów). Potem zaś rozpropagować go na tyle, by przekonać jak największe grono sąsiadów do opowiedzenia się za nim w powszechnym już głosowaniu.

Okazuje się, że ten sprawdzony w wielu europejskich metropoliach mechanizm podejmowania decyzji w sprawach lokalnych przyjmuje się także w Krakowie.

Dość powiedzieć, że w minionym roku do krakowskiego budżetu obywatelskiego (a była to piąta już edycja akcji) zgłoszono 678 projektów. Spośród nich weryfikację formalnoprawną przeszło z powodzeniem aż 414. Najwięcej, bo 80 pomysłów dotyczyło kategorii „sport i infrastruktura sportowa”. Niewiele mniej „zieleni i ochrony środowiska”, „infrastruktury” oraz „kultury”. Coraz popularniejsza staje się też kategoria „społeczństwo”, czyli propozycje służące między innymi poprawie wiedzy i kompetencji mieszkańców

w rozmaitych dziedzinach (udzielania pierwszej pomocy, znajomości języków czy historii Krakowa).

Co najważniejsze, w mieście co rusz można napotkać wymierne już dowody skuteczności akcji: odnowione zieleńce, siłownie na wolnym powietrzu, place zabaw itd.

Na dodatek w tym roku do rozdysponowania przeznaczona będzie rekordowa kwota 30 mln złotych (ponad dwa razy więcej niż w ostatniej edycji budżetu): 10 mln pójdzie na zadania ogólnomiejskie, a aż 20 mln na przedsięwzięcia dzielnicowe.

Zgodnie z uchwalonym przez Radę Budżetu harmonogramem w kwietniu i maju potrwa kampania informacyjna – spotkania z mieszkańcami i warsztaty pisanie wniosków. Do końca maja wnioskodawcy będą mogli składać propozycje zadań. Po analizie formalnoprawnej w połowie września ogłoszona ma być lista projektów dopuszczonych do głosowania, które zaplanowano na przełom września i października – zarówno w formie elektronicznej, jak papierowej. Wyniki będą znane pod koniec października.

Szczegóły przedsięwzięcia dostępne są na www.budzet.krakow.pl. (kb)

Krakowskie brzmienia alternatywne

Tekst: Krzysztof Winiarski **Zdjęcia:** z archiwów zespołów

Bez względu na to, jak surowe wymagania stawiamy muzyce, by uznać ją za „niezależną” czy „alternatywną”, warto nadstawić ucha! Krakowska scena (a przynajmniej ta jej część, za którą nie stoją wielkie wytwórnie) ma do zaoferowania wiele wrażeń.

Wykonawcy

O tym, że nawet w znanej z konserwatyzmu branży muzycznej wszelkie ograniczenia da się pokonać, a pochodzący z Krakowa zespół może spotkać się z zainteresowaniem międzynarodowych nawet mediów, przekonaliśmy się w 2015 roku przy okazji Off Festival. To w jego ramach w katowickim Nikiszowcu koncert dał na pozór niezbyt przystępny dla odbiorcy spoza polskiego kręgu kulturowego zespół Hańba! Występ ten jednak zarejestrowała opiniotwórcza rozgłośnia KEXP z Seattle, dzięki czemu łącząca estetykę przedwojennej ulicy z energią punk rocka grupa trafiła do świadomości słuchaczy z całego świata. Trzy lata po tym wydarzeniu grupa otrzymała Paszport „Polityki” i rozgrzewała publiczność zgromadzoną w Tauron Arenie przed koncertem samego Jacka White’a. Dowodzona przez Andrzeja Zamenhofs (gracza na banjo i wokalistę, występujący również jako DJ) Hańba! to jednak w światku muzyki niezależnej ewenement i przykład sukcesu wręcz niewyobrażalnego. Trudno przecież jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego hałaśliwy miejski folklor, którego warstwę tekstową stanowią wiersze przedwojennych poetów, z chęcią prezentuje w swoich audycjach legendarny Iggy Pop.

Choć międzynarodowego sukcesu Hańby! nie zdołali do tej pory powtórzyć Rycerzyki, nie może być w ich przypadku mowy o niedocenieniu. Wydana w 2018 roku (po trzech latach od debiutu) płyta *Kalarnali* znalazła się bowiem w większości ważnych podsumowań roku wydawniczego. Muzykę zespołu określić można jako ambitny pop, a jej urok w dużej mierze opiera się na charakterystycznych, budujących baśniową atmosferę tekstach Gosi Zielińskiej (warto również zwrócić uwagę na inny jej projekt – Noc Muzeów). To twórczość bardzo uniwersalna i dość łatwa w odbiorze, ale muzycy Rycerzyków nie stronią od rytmicznych i harmonicznym eksperymentów. Tak zapewne brzmiałby radiowy pop, gdyby dyrektorami muzycznymi rozgłośni byli krytycy. Ciekawostką jest, że *Kalarnali* to jeden z niewielu projektów fonograficznych rodem z Krakowa, który sfinansowany został poprzez crowdfunding. Pozostawiając na ubo-

Ciekawych płyt i przedsięwzięć muzycznych rodem spod Wawelu w najbliższych latach z pewnością nie zabraknie. Stanie się tak nie dlatego nawet, że mieszkańcy miasta są nad wyraz twórczy, lecz głównie wskutek powszechnego zjawiska obniżania się kosztów produkcji nagrań muzycznych.

czu kontrowersje dotyczące organizowania zbiorów przeznaczonych na taki cel, trzeba przyznać, że uzyskane środki zostały wydane roztropnie. Tym jednak, czego nie kupią żadne pieniądze świata, jest szczery optymizm, który bije z każdego utworu Rycerzyków.

W innych zakątkach emocjonalności poruszają się Kacper Szpyrka i Jakub Wiśniewski, którzy od jakiegoś czasu występują pod nazwą Kirszenbaum. Wykorzystując narzędzia charakterystyczne dla folku i post-rocka (co za mieszanka!) tworzą swoją muzyką aurę nieco niepokojącą, choć niepozbawioną lekkości i poczucia humoru. Wiśniewski to poeta z krwi i kości, nie powinny więc dziwić liczne literackie nawiązania i wycucie słowa, z jakim pisane są piosenki. Po wydaniu serii singli, w 2018 roku Kirszenbaum uraczył słuchaczy epką *Golem XV*. Na długogrający album słuchaczom pozostaje poczekać. Do tego czasu warto skorzystać z tego, że duet prowadzi intensywną działalność koncertową.

Nie zawiedzie się ten, kto szuka w Krakowie wykonawców wysmakowanego popu, czy to z elektronicznym czy bardziej folkowym zacięciem. Przedstawicielkami tego pierwszego wariantu niech będą dziewczyny z osiagającego coraz większe sukcesy Loru, drugi podgatunek reprezentować może SALK. Także fani brzmień zdecydowanie mniej radiowych i wysoce hałaśliwych znajdą w mieście coś dla siebie: grupa Katie Caulfield na płycie *Mutual Dreaming* atakuje momentami jazgotliwym awangardowym rockiem, a przecież zawsze można wrócić do bezpretensjonalnych nagrań należącego do Stajni Sobieski zespołu Bezczeszczę Bęben (najlepiej na kasie magnetofonowej).

Wytwórnice

Stajnia Sobieski, która sama siebie nazywa nie wytwórnią, a „kolektywem muzycznym”, wraz z innymi niezależnymi wydawcami pojawiła się na zorganizowanych w grudniu w Klubie RE Targach Małych Wydawców – nieregularnej imprezie, która najczęściej gości w stołecznym Pogłosie. Mogłoby się wy-

kiewiczza i Arkadiusza Młyńca label ambicję zawartą w nazwie realizuje poprzez coroczne dostarczanie na rynek co najmniej jednej płyty, która spotyka się z podziwem wielu recenzentów – także zagranicznych. W roku ubiegłym takim albumem był *One Eye Sees Red* psychodelicznych improwizatorów z Lonker See. W latach ubiegłych zaś:



Rycerzyki, fot. Mateusz Hajdo

dawać, że w ubiegłym roku harmonia działań Stajni została zachwiana przez to, że większą część jej aktywności promocyjnej i koncertowej przejęły Rycerzyki. Nic dziwnego – repertuar grupy wydaje się być najbardziej przystępny dla tak zwanego masowego odbiorcy. Może dlatego niepostrzeżenie pod nosami krytyków i dziennikarzy muzycznych przeszedł formalny debiut Melty, czyli zespołu będącego reinkarnacją doskonale znanego fanom garażowego rocka Kaseciarza. Trio Maciek Nowacki, Szymon Keler i Aleksander Margasiński (realizujący tę płytę – jak i wiele innych „stajniowych” wydawnictw – od strony technicznej) gra obecnie w stylu, który można określić jako połączenie powerpopu i shoegaze’u. Gitarowe ściany dźwięku spotykają się tu z trafionymi wokalnymi melodiami. Dzięki temu, że oba te elementy świetnie ze sobą współgrają, możemy cieszyć się materiałem wartym wielokrotnego odtwarzania.

Wytwórnią, która w znacznym stopniu stanowi o sile nie tylko krakowskiej, ale też polskiej muzyki alternatywnej, improwizowanej i awangardowej, jest Instant Classic. Założony w 2011 roku przez Macieja Stan-

Elite Feline Lotto, *Lines* Wacława Zimpela czy longplaye Alameda Organisation i Starej Rzeki. W katalogu Instant Classic znajdziemy jednak również nagrania, które określimy raczej jako alternatywno-rockowe czy garażowe, jak *Not Much War* warszawskiego Guiding Lights, *Let’s Die* nieistniejącego już The Stubs lub albumy Wild Books. Niezależnie od tego, do jakiego gatunku przynależy wydawana przez Stankiewiczza i Młyńca muzyka, ogromne wrażenie robi jej opakowanie. Okładki płyt i znajdujące się wewnątrz książeczki są zazwyczaj małymi dziełami sztuki. Szacunek budzi również każdy aspekt promocji. Instant Classic wypracowało idealny dla muzyków model biznesowy, w którym decyzje zależą nie od przewidywanych zysków, a jakości twórczości i woli wykonawców.

Pisząc o niezależnych wytwórniach, trudno nie wspomnieć o tym, jak różną od wydawnictw nastawionych czysto komercyjnie. Te pierwsze stanowią raczej markę, mają budzić wśród słuchaczy pozytywne skojarzenie lub dawać wyobrażenie o gatunku, z jakim zetknijemy się w trakcie odsłuchu. To rola przez wielu postrzegana dziś jako marginalna, a na-

wet zbędna. Dlatego obecnie, gdy internet daje każdemu możliwość zostania swoim własnym wydawcą, wielu muzyków rezygnuje z przywiązywania się do organizacji. Jeśli dodamy, że każdy, najbardziej nawet szanujący autonomię twórcy label ma wobec promowanych przez siebie artystów wymagania, dla wielu

scenom koncertowym. Pełne zadowolenie z obecnej sytuacji wykazywał jedynie Jan Majski, przedstawiciel dużego pod względem powierzchni, a więc prezentującego raczej muzykę masową i popularną klubu Forty Kleparz. I choć wszyscy goście zgodzili się, że w Krakowie jest gdzie grać, to z wypowie-



Kirszenbaum, fot. Hubert i Urszula Szpyrkowie

wyбір stanie się oczywisty. By dowiedzieć się, jak wiele tworzonej w Krakowie elektroniki czy black metalu pojawia się jedynie pod szyldem zespołu lub tworzonej doraźnie marki wydawniczej, wystarczy przejrzeć listę nagrań pod tagiem „Kraków” w popularnym serwisie streamingowym i dystrybucyjnym Bandcamp.

Miejsca

Podczas organizowanej przez Krakowską Scenę Muzyczną konferencji Tak Brzmi Miasto, jedną z dyskusji poświęcono lokalnym

dzi panelistów przebiegała potrzeba większego wyboru i zróżnicowania miejsc, gdzie można byłoby organizować występy. Nie wystarczy bowiem, by miały gdzie grać gwiazdy największego formatu – ważne jest, aby swoje miejsce znaleźli również artyści niszowi oraz chcący zbierać pierwsze doświadczenia nowicjusze.

Jak sytuacja ma się dzisiaj? Od zawsze ciekawe koncerty organizowane są w Alchemii. Na dodatek odbywają się na tyle często, że klub w ciągu tylko miesiąca może zaprosić za-

padku wszystko jest na swoim miejscu. Płytę można znaleźć na stronie zespołu w serwisie Bandcamp.

Kirszenbaum Golem XV

Na epkę składają się piosenki na wskroś poetyckie, które nie wpisują się jednak w żaden stereotyp. Tworzący zespół Kacper Szpyrka i Jakub Wiśniewski stawiają bowiem na gęstą atmosferę, a muzyka nie odgrywa tu wobec tekstów roli służebnej. Miejmy nadzieję, że to zapowiedź pełnoprawnego albumu.

równy fanów rapu, publiczność lubiącą różne odmiany bluesa (Fertile Hump i Cheap Tobacco w październiku zeszłego roku), jak i zwolenników jazzu czy muzyki klezmerskiej. Co prawda Alchemia co roku gości jeden z koncertów w ramach promującego krakowskich wykonawców festiwalu Tak Brzmi Miasto (w roku 2018 wystąpili tam Edyta Górecka, Hyper Son i Rycerzyki), jednak wciąż jest to miejsce służące raczej poznawaniu interesującej muzyki z zagranicy niż scena dostępna dla lokalnych twórców.

Obie role bardzo zręcznie łączy za to Klub RE. Najlepszym dowodem były zeszłoroczne, wspólne koncerty niemieckiego White Wine Music z Nealem Cassady, zespołu ŁOTRY z irlandzkim Girls Names czy amerykańskiego Omni ze wspomnianym Katie Caulfield (ten ostatni odbył się w ramach festiwalu Green ZOO, który również świetnie realizuje filozofię zestawiania muzyków krakowskiej alternatywy z rewelacjami z zagranicy). Od niedawna w RE odbywają się również imprezy z cyklu Laboratorium Stereo, które są połączeniem koncertów wciąż niszowych artystów (w styczniu Ogdens’ i Radosław Kurzeja) z zabawą polegającą na wykonywaniu coverów przez tworzone *ad hoc* zespoły składające się z osób związanych ze sceną niezależną Krakowa. Dobór interpretowanych piosenek może zaskakiwać, ale w tym wypadku chodzi bardziej o rozrywkę niż realizację artystyczną.

Innym ważnym punktem dla krakowskiej muzyki niezależnej jest Warsztat na Zabłociu. To centrum muzyki punkowej, ale odbywają się tam również koncerty zespołów z kręgu indie rocka i rocka alternatywnego, a także imprezy z muzyką elektroniczną. Kryterium doboru muzyków nie jest prezentowana stylistyka, a raczej zgodność z promowanymi przez ekipę Warsztatu wartościami. Zarządzane opierając się na spółdzielczych zasadach „niezależne centrum kulturalno-społeczne” to oaza tolerancji i miejsce spotkań społecznych aktywistów. W zagospodarowanym przez Fundację Bruk pustostanie odbywają się dyskusje i pokazy filmów. Często ich tematem są historyczne przykłady różnych form samoorganizacji. Granie muzyki i przygotowywanie koncertów jest w Warsztacie traktowane jako jedna z nich. Lokal przez kilka lat zdążył już pozyskać sporą grupę stałych bywalców, którym bliskie scen muzycznych do kultury i jej tworzenia.

*

Powyższy przegląd niezależnej sceny muzycznej Krakowa jest oczywiście niepełny i stanowi jedynie zaproszenie do samodzielnego jej odkrywania. Ciekawych płyt i przedsięwzięć muzycznych rodem spod Wawelu w najbliższych latach z pewnością nie zabraknie. Stanie się tak nie dlatego nawet, że mieszkańcy miasta są nad wyraz twórczy, lecz głównie wskutek powszechnego zjawiska obniżania się kosztów produkcji nagrań

Może i Kraków nie stanie się nigdy źródłem muzycznej rewolucji jak Seattle, ale przy odrobinie szczęścia może stać się polskim Austin, gdzie liczba scen muzycznych jest największa w USA, a alternatywne i bardziej klasyczne style z powodzeniem ze sobą współegzystują.

muzycznych. Mniej optymistycznie wygląda zaś kwestia organizacji koncertów – te niezmiennie wymagają dość dużego wysiłku organizacyjnego, posiadania sprzętu nagłośnieniowego, transportu instrumentów i pracy akustyka. Nic dziwnego, że właścicielom barów zapewnianie klientom atrakcji w postaci muzyki „na żywo” jawi się zazwyczaj jako zupełnie nieopłacalne. Wciąż istnieć więc będzie deficyt scen, na których mogliby pojawiać się absolutni debiutanci. Czy to znaczy, że dla rozwoju muzycznego off-u niezbędna jest interwencja magistratu lub zorganizowany system dotacji? Na pewno nie. Oczywiście, tak promotorzy, jak i zespoły z chęcią skorzystają z możliwości dodatkowego finansowania. Nikomu nie pozwoli ono jednak na ciągłe funkcjonowanie. Żaden z muzyków sceny niezależnej nie ma pretensji o to, że jego utwory nie są grane w dużych stacjach radiowych lub prezentowane w telewizji. Powszechna jest świadomość operowania w niszy i nikt się za ten status nie obraża. Najwłaściwszą dla rozwoju muzyki popularnych nurtów muzycznych strategią – zarówno w Krakowie, jak i w innych polskich miastach – może być natomiast promowanie u słuchaczy zachowań podobnych do tych, które od lat funkcjonują w światku hip-hopu (który z niszy wyszedł przecież już dawno). Chodzi przede wszystkim o traktowanie zakupu płyty i biletu na koncert jako priorytetowej formy wyrażania sympatii do artysty. Tylko zaangażowanie publiczności może wpłynąć na większe zainteresowanie ze strony organizatorów i tradycyjnych mediów.

*

Być może Kraków nie stanie się nigdy źródłem muzycznej rewolucji jak Seattle, ale przy odrobinie szczęścia może stać się polskim Austin, gdzie liczba scen muzycznych jest największa w USA, a alternatywne i bardziej klasyczne style z powodzeniem ze sobą współegzystują.



Krzysztof Winiarski – wokalista i gitarzysta należący do kolektywu Wynik Współpracy zespołu It's July Already. Esteta i entuzjasta kiczu w jednej osobie.

Grzegorz Stec w retrospektywie

Mistrz światła – taki tytuł nieformalnie przyznali Grzegorzowi Stecowi krytycy i tytuł ten służy za pryzmat, dzięki któremu można dotrzeć do sedna prac krakowskiego malarza. Kontrast między obiektami wydobywanymi do światła a pogrążonymi w mroku prowokuje pytania: jakie jest miejsce człowieka w świecie? Jak zachować odrębność w tłumie, kiedy wszelka indywidualność rozmywa się i deformuje? Te motywy powracają w pracach artysty, których przegląd od 17 kwietnia można oglądać w Nowohuckim Centrum Kultury.



Grzegorz Stec, *Drzewo, Ciągła jesień II*, olej na płótnie, 100 x 140 cm, 2000

Stec to wychowanek Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dyplom przygotowywał pod kierownictwem prof. Włodzimierza Kunza na Wydziale Grafiki, by po studiach skupić się na malarstwie. W trwającej 40 lat karierze (pierwszy raz swoje prace pokazał publicznie w 1979 roku) przygotował ponad 60 wystaw indywidualnych w Polsce i za granicą, między innymi w USA, Szwecji i Niemczech. Kuratorka ekspozycji w NCK Joanna Gościej-Lewińska tak do niej zachęca: „Obrazy Steca są perfekcyjne namalowane, porywają rozmachem i klarowną kompozycją, zarazem mistyczne, pełne tajemniczych znaków, kipiące podskórnymi emocja-

mi. Wizje, które unoszą, uskrzydlać naszą wyobraźnię”.

Grzegorz Stec – wystawa retrospektywna to szansa, aby zobaczyć przekrój dzieł artysty: od juveniliów po prace dojrzałe, między innymi *Czarne obrazy*, czyli dzieła z serii *Melancholia*, oraz *Narada*, uznawane za najbardziej oryginalną część jego dorobku ze względu na autorską technikę malowania olejnego zbliżoną do mezzotinty – techniki druku wklęsłego. (pk)

Grzegorz Stec – wystawa retrospektywna, 17 kwietnia – 20 maja, Nowohuckie Centrum Kultury, wstęp wolny.

Kwiecień 1919

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1 kwietnia.** „Nowa Reforma” opisała znaczne zniszczenia gmachu Starego Teatru, zajętego w czasie wojny przez władze austriackie na szpital wojskowy.

✂ **3 kwietnia.** Z kroniki „Czasu”: „Dwa ostatnie poranki literackie odbędą się w pierwszej połowie kwietnia. Jeden z nich poświęcony będzie twórczości Juliana Tuwima, poety, którego talent zwrócił już powszechną uwagę. Wykład o nim wygłosi red. Emil Haecker”.

✂ **3 kwietnia.** „Głos Narodu” donosił o wielkim łupie włamywaczy: „Do sklepu jubilerskiego Józefa Antoniego Neuberga włamali się wczoraj w południe w porze obiadowej nieznani sprawcy, mimo że sklep zamknięty był spuszczoneymi żaluzjami żelaznymi. Włamywacze skradli biżuterię i zegarki o wartości ok. pół miliona koron, nie zadawając się tym, bo wykręcali nawet srebrne gałki od lasek”.

✂ **3 kwietnia.** Wszystkie dzienniki pisały z satysfakcją o pobycie w Krakowie międzynarodowej misji koalicyjnej. Po wystawnym raucie w salach Muzeum Narodowego w Sukiennicach jej członkowie odjechali specjalnym pociągiem do Paryża. Premier Paderewski, który podróżował wraz z misją, z powodu niedyspozycji nie opuścił wagonu.

✂ **3 kwietnia.** Z działu ogłoszeń „Nowej Reformy”: „Alfred Daun, artysta rzeźbiarz, profesor Szkoły Przemysłowej Wyższej, zawiadamia, że aresztowani w sprawie tytoniowej Daunowie nie należą do jego rodziny ani nie są mu znani”.

✂ **4 kwietnia.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Aresztowano Aleksandra Bereżyńskiego z Kołomyi, który od dłuższego czasu dopuszczał się kradzieży strychowych. Między innymi okazało się, że skradł wiceprezydentowi Saremu bieliznę wartości kilku tysięcy koron”.

✂ **4 kwietnia.** O rozruchach związanych z fatalną aprowizacją, donosiła „Nowa Reforma”: „Wczoraj Podgórze było widownią zaburzeń na tle aprowizacyjnym. Rano tłum czekający przed sklepem miejskim na chleb, po oświadczeniu urzędnika magistratu, że chleba nie będzie, ruszył wzburzony pod filię magistratu. Zwłaszcza kobiety, które już od dwóch dni czekały na chleb, nie chciały ustąpić, usiłowano także zdemolować sklep. Wzburzenie trwało do wieczora”.

✂ **5 kwietnia.** „Nowości Ilustrowane” zamieściły fotoreportaż z obchodów kościuszkowskich, związanych z rocznicą insurekcji 1794 roku (uroczystości takie odbyły się w wielu miastach).

✂ **5 kwietnia.** Z powyższą wiadomością koresponduje zamieszczony w „Czasie” apel Komitetu Obchodu Kościuszkowskiego: „Komitet prosi o zwrot puszek, odznak, niesprzedanych wydawnictw i zebranych pieniędzy od osób, które dotąd tego nie uczyniły. Komitet urządza codziennie w lokalu TSL przy ul. św. Anny 5”.

✂ **5 kwietnia.** Wszystkie dzienniki informowały o decyzji Senatu UJ, o wznowieniu zajęć w semestrze letnim. Przyjęcie chętnych uzależniono od „dostarczenia dowodu, że wypełnili obowiązek narodowej służby”.

✂ **6 kwietnia.** Jak podały dzienniki, zakwestionowano u masarza Teodora Kopczyńskiego na Zwierzynicy 35 skrzyń zawierających 1200 kg wędlin. Na policji masarz tłumaczył, że na wywóz ma pozwolenie wydziału aprowizacyjnego. Ponadto twierdził, że wywozem zajmowała się spółka, w skład której wchodziło kilku krakowskich rzeźników. Spółce tej skonfiskowano wcześniej na dworcu pół wagonu wędlin wieprzowych, przeznaczonych na wywóz do Wiednia, a opisanych jako „końskie”.

„IKC” przypominał: „Wobec wprowadzenia czasu letniego dyrekcja policji zarządza, że bramy domów maja być zamykane o godz. 10 wieczór”.

✂ **6 kwietnia.** „Onegdaj wywołał wielką awanturę na ul. Długiej żołnierz Leon Bigosz, który stanął w obronie aresztowanego przez policjanta Gandere bandyty Kaczmarzkiego. Gandera zmuszony był strzelić do Kaczmarzkiego, trafiając go w łokieć, mimo to bandyta zbiegł. Bigosza aresztowano” – relacjonował reporter „Czasu”.

✂ **7 kwietnia.** O tragicznym zdarzeniu w jednym z kin donosił „Czas”: „Żołnierz Bronisław Małachowski, który świeżo wyszedł ze szpitala, otrzymał od swego stryja rotmistrza składany amerykański rewolwer i udał się z nim do kina Zachęta, gdzie pokazywał go kolegom. Rewolwer znalazł się też w ręku kasjerki i wskutek nieostrożności wypalił. Kula ugodziła Małachowskiego, kładąc go trupem na miejscu”.

Kino Zachęta (wcześniej Teatr Świetlny „Żłuda”) działało w latach 1909–1924 w oficynach Pałacu Spiskiego (strona lewa), przy Rynku Gł. 34.

✂ **7 kwietnia.** „Rekolekcje dla panów z inteligencji rozpoczną się w kościele św. Barbary 7 bm., o godzinie 7 wieczorem” – przypominał „Czas”.

✂ **9 kwietnia.** Z kroniki „IKC”: „Od pewnego czasu ulicznicy krakowscy kładą pod wozy tramwajowe naboje, które następnie wybuchają, szersząc popłoch wśród przechodniów. Wczoraj udało się policji aresztować jednego z uliczników, niejakiego Rudolfa Kluskę, lat 12, który pod pocztą przy ul. Starowiślniej podłożył pod tramwaj podobny nabój, powodując eksplozję”.

✂ **9 kwietnia.** Jak podała „Nowa Reforma”: „Prezydium miasta poleciło administracji akcyzy przyśpieszenie prac około rozszerzenia linii akcyzowej, tj. budowy 7 urzędów akcyzowych po prawej stronie Wisły”.



Publiczność zgromadzona na Rynku Głównym podczas obchodów kościuszkowskich (po lewej wylot ul. Szewskiej), fot. 1919, „Nowości Ilustrowane”



W mieszczącym się w oficynach Pałacu Spiskiego kinie Zachęta, w kwietniu 1919 roku doszło do tragedii..., fot. ok. 1920, „Nowości Ilustrowane”

Pierwsza siedziba krakowskiej Giełdy Pieniężnej mieściła się w gmachu Izby Przemysłowo-Handlowej, widokówka, 1924, archiwum autora

Rzeczywiście, jeszcze w tym samym roku stanęło kilka nowych budynków akcyzy, zwanych popularnie rogatkami. Między innymi na granicy Dębnik i Pychowic, przy ul. Tynieckiej oraz przy ul. Kobierzyńskiej (na granicy Zakrzówka i Kobierzyna). Linia akcyzy, sankcjonująca pobór tzw. myta, przetrwała do grudnia 1935 roku.

✂ **12 kwietnia.** Prasa odnotowała przeniesienie dowodzącego Okręgiem Generalnym Krakowskim gen. Emila Gołogórskiego na stanowisko dowódcy frontu lwowskiego, w miejsce gen. Wacława Iwaszkiewicza. Obowiązki Gołogórskiego objął gen Antoni Symon, brat zmarłego kilka miesięcy wcześniej arcybiskupa Albina Symona, archiprezbitera bazyliki Mariackiej.

✂ **12 kwietnia.** „IKC” przypominał: „Wobec wprowadzenia czasu letniego dyrekcja policji zarządza, że bramy domów mają być zamykane o godz. 10 wieczór”.

✂ **12 kwietnia.** „56-letnia Julia Zygmuntowa w czasie kupna marmolady w sklepie Maksa Weinricha przy ul. Warszawskiej 8 pokłóciła się wczoraj z właścicielem, bo towar był zepsuty i gorzki. Popędliwy i brutalny żyd porwał kij i biedną kobietę zbił, raniąc w głowę. Opatrzyło ją Pogotowie Ratunkowe. Wypadek ten jest żywą ilustracją bezczelności niektórych kupców żydowskich. Należy z tego wyciągnąć naukę i nic u żydów nie kupować – pouczał „Głos Narodu”.

✂ **12 kwietnia.** „Nowa Reforma”, podała inną bułwersującą wiadomość: „U pewnego rzeźnika na Prądniku Czerwonym kupowała wczoraj Helena Głogownicka mięso. W czasie sprzedaży doszło do ostrej sprzeczki, która zakończyła się tym, że rozjuszony rzeźnik odrąbał tasakiem kupującej jeden z palców u lewej ręki”.

✂ **12 kwietnia.** „Wydzierżawienie folwarku dębnickiego żydowi Scheinowitzowi jest skandalem, który nie powinien być tolerowany, bo uwłacza godności Rady Miejskiej. Pompatycznie ogłasza się, że gmina prowadzić będzie gospodarkę we własnym zarządzie, oferenci wycofują oferty, a gdy to się stało, pachciarz podniósłszy tenutę, pozostaje dalej na folwarku gminnym – grzmiał reporter „Głosu Narodu”. Wyjaśnić należy, że ówczesny folwark obejmował pałac Lasockich i obszar wykraczający poza dzisiejszy park Dębnicki. Tereny te (wraz ze znaczną częścią Dębnik) rodzina Lasockich sprzedała miastu w 1910 roku za milion koron. Odpowiadało to 660 miesięcznym pensjom ówczesnego prezydenta miasta Juliusza Lea.

✂ **14 kwietnia.** „Wczoraj w nocy przeprowadziła policja w lokalach publicznych rewizję za karciarzami. W kawiarni Secesja skonfiskowano pulę, w której było kilkanaście tys. koron. Graczy pociągnięto do odpowiedzialności. W kawiarni Malca przy Rynku Głównym po wkroczeniu policji zapanował popłoch wśród graczy, którzy porzuciwszy karty, ratowali się ucieczką” – relacjonował „IKC”.

✂ **15 kwietnia.** Dzienniki przyniosły wiadomość o śmierci Ludwika Halskiego, radnego miejskiego, właściciela znanego sklepu z towarami żelaznymi w podcieniach Sukiennic.

✂ **16 kwietnia.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Wczoraj strzelił sobie w skroń z rewolweru 50-letni woźny magistratu Marcin Mądry. Pogotowie Ratunkowe

przewiozło go z stanie beznadziejnym do szpitala św. Łazarza. Przyczyną rozpaczliwego kroku był silny rozstrój nerwowy, spowodowany jednomiesięczną

Dzienniki pisały o strajku kucharzy restauracji największych krakowskich hoteli. Kluczowym postulatem był 8-godzinny dzień pracy.

bezsensownością. Desperat cierpiał bowiem od dłuższego czasu na czyraki na karku, które z powodu swej bolesności odbierały mu sen”.

✂ **16 kwietnia.** „Mur forteczny otaczający zamek królewski, pozbawiają robotnicy koronki austriackiej, która zasłaniała piękny widok, zmuszając do patrzenia jedynie wylotami strzelnic na pejzaż miasta i wstęgę Wisły. W ub. roku przeprowadzono obniżenie i ujednolnienie muru na przestrzeni od gmachu dawnego szpitala, aż do bramy wejściowej” – donosił „IKC”.

✂ **17 kwietnia.** Dzienniki pisały o strajku kucharzy restauracji największych krakowskich hoteli. Kluczowym postulatem był 8-godzinny dzień pracy.

✂ **18 kwietnia.** Z wolna rozkręcała się powołana w styczniu 1919 roku Giełda Pieniężna. Jak pisał „IKC”: „Wydział Giełdy postanowił ogłaszać ceduły kursowe drukiem i rozsyłać je instytucjom i osobom prywatnym, za zwrotem kosztów. Zgłoszenia na prenumeratę przyjmuje sekretariat Giełdy (gmach Izby handlowej, tel. 3582)”.

✂ **18 kwietnia.** W prasie pojawiła się wiadomość o przybyciu do Krakowa gen. Paula Henrysa, wojskowego przedstawiciela misji francuskiej w Warszawie.

✂ **28 kwietnia.** Prasa podała wiadomość o śmierci Napoleona Cybulskiego, prof. filozofii UJ.

✂ **29 kwietnia.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Wczoraj przez ul. Sokolą w Podgórzu Ewa Kostyna prowadziła ociemniałego ojca inwalidę. Naraz rozległ się huk. Dziewczyna stanęła na porzucony na ulicy nabój, który eksplodował, skutkiem czego odniosła ranę ręki”.

✂ **30 kwietnia.** „Wczoraj przez cały dzień od wczesnego rana przejeżdżały przez Kraków wojska gen. Józefa Hallera. Każdy transport był witany przez delegację Dowództwa Okręgu i kompanię honorową 13 pp. z muzyką” – relacjonował „Głosu Narodu”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, działacz samorządowy, miłośnik i popularyzator historii miasta. Od lat działa w Obywatelskim Komitecie Ratowania Zabytków Krakowa, jest też członkiem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Napisał m.in. *Przy stoliku – czyli o najstarszych krakowskich kawiarniach*.

Lenin znowu w Nowej Hucie?

Tekst: Anna Grochowska Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Zbliża się 70-lecie Nowej Huty. Nowohucianie dyskutują o formie obchodów. Nie brakło między innymi głosów, by przywrócić dzielnicy pomnik Lenina: wykupić monument od szwedzkiego kolekcjonera i na powrót umieścić w alei Róż. Tyle że w taki sposób, by nikt nie miał wątpliwości, że został on – wraz z systemem – obalony.

W PRL Włodzimierz Iljicz patronował Nowej Hucie na rozmaite sposoby. Miał swą aleję (obecnie nosi miano Solidarności); jego imieniem został też nazwany kombinat metalurgiczny (późniejsza Huta im. T. Sendzimiry, dziś: ArcelorMittal Poland). Postawiono mu słynny pomnik w alei Róż – miejscu, w którym fetowano komunistyczne święta. Dlaczego tam? Bo w Hucie brakowało przestrzeni, gdzie można było składać kwiaty i wieńce podczas wizyt zagranicznych oficjeli. Wcześniej robiono to przed bramą Centrum Administracyjnego kombinatu. Tyle tylko, że mieszkańcy coraz częściej nazywali te budynki „Watykanami”, a w efekcie – z ideologicznego punktu widzenia – ceremonie zaczęły nabierać dwuznacznego wydźwięku. W końcu zatem na miejsce oficjalnych uroczystości i składania kwiatów w najmłodszej dzielnicy wybrano *nomen omen* aleję Róż. By wzmocnić efekt, potrzebny był stosowny monument, więc ówczesny I sekretarz partii komunistycznej Władysław Gomułka podjął decyzję o budowie pomnika. W setną rocznicę urodzin Lenina, 20 kwietnia 1970 roku, władze wmurowały w alei Róż kamień węgielny i ogłosiły konkurs na projekt monumentu. Wzięło w nim udział siedemdziesięciu dwóch rzeźbiarzy.

„Lenin nie należał do moich arcydzieł”

Konkurs wygrał ówczesny rektor krakowskiej ASP Marian Konieczny (zmarł w 2017 roku). Znany jest głównie z takich dzieł, jak krakowskie pomniki Grunwaldzki (1976) i Stanisława Wyspiańskiego (1982), warszawska Nike (1964) czy też rzeszowski pomnik Czynu Rewolucyjnego (1974), powszechnie uważany za jeden z symboli miasta, między innymi dzięki awangardowej formie (wielu przypomina on kobiecie genitalia, przez co towarzyszy monumentowi przydomek, którego nie wypada tu przytaczać).

Wróćmy jednak do Lenina. Po latach Konieczny w rozmowie z Katarzyną Kobylarczyk, dziennikarką i nowohucianką, przyznał: „Lenin nie należał do moich arcydzieł. (...) Miałem zdjęcia i pośmiertną maskę Lenina, którą przywiozłem z Leningradu. Robiłem tam studia doktoranckie, któryś kolega rzeźbiarz

mi ją podarował. Najpierw wymyśliłem banał: Lenin przemawiający z trybuny. Ale chciałem, żeby nie był taki sztywny, pomnikowy. Żeby nie był stojący, tylko kroczący”.

Największy pomnik Lenina w Polsce W kwietniu 1973 roku w alei Róż stanął na cokole olbrzymi posąg wyobrażający Włodzimierza Iljicza. Sama figura ważyła 7 ton, całość zaś aż 174 tony! Wokół niej utworzono klomby z czerwonymi różami.

Wysoki na 6,5 metra Lenin został przywitywany przez władze w Nowej Hucie 28 kwietnia 1973 roku. Tego dnia w dzielnicy obowiązywała prohibicja, uczestników uroczystości zwożono autobusami, robotnikom nakazywano czytanie leninowskich dzieł.

Mieszkańcy Huty nie zaakceptowali jednak monumentu. I to wcale nie przede wszystkim

W kwietniu 1973 roku w alei Róż stanął na cokole olbrzymi posąg wyobrażający Włodzimierza Iljicza. Sama figura ważyła 7 ton, całość zaś aż 174 tony! Wokół niej utworzono klomby z czerwonymi różami.

czy też jedynie z pobudek ideologiczno-politycznych. Było to wszak przedsięwzięcie kosztowne. Zdaniem Macieja Mieziana, aby pokryć te koszty, zabrano wszystkim pracownikom kombinatu pensje trzynastki i trzymiesięczne premie, ogłaszając, że podarowali je dobrowolnie na cel budowy pomnika wodza i patrona Nowej Huty. Figura szybko doczekała się takich przydomków, jak „King Kong” czy „Gigant”.

Kotlet, rower, stare buty

Pomnikowi dokuczano na rozmaite sposoby. Bywalcy kawiarni Stylowa po kilku „głębszych” zamawiali kotleta w imieniu wodza, które to danie zanoszono pod pomnik. Jeden z mieszkańców tak wytresował swojego jamnika, że za każdym razem na widok Lenina





pies ujadł wniebogłosy. Chciano oblać pomnik walerianą, by nie rozstawały się z nim pogrążone w amorach nowohuckie koty. Ktoś wykonał instalację: umieścił pod pomnikiem rower oraz kartkę z propozycją: „Masz tu rower, stare buty – wypierdalaj z Nowej Huty!”.

W nocy 18 kwietnia 1979 roku aleją Róż wstrząsnął wybuch. Z okien okolicznych budynków powypadały szyby. Mieszkańcy zerwali się: niektórzy myśleli, że to wojna, inni – że trzęsienie ziemi czy wybuch w kombinacie. Pięć osób odniosło obrażenia. W rzeczywistości była to próba obalenia pomnika – u stóp monumentu umieszczono dwa ładunki wybuchowe. Okazało się jednak, że jeden z nich podczas wybuchu zdmuchnął drugi i siła eksplozji okazała się niewystarczająca. Pomnik stał nadal, choć nie był już tak niewzruszony – urwało mu piętę.

„Marian – do nogi!”

Milicja w środku nocy zadzwoniła do Koniecznego, by czym prędzej zreperować swoje dzieło. Konieczny odpowiedział, że będzie tam z samego rana. W odpowiedzi usłyszał jednak, że już po niego jadą. W Hucie krąży wiele anegdot na ten temat. Wedle jednej z nich, gdy profesor odmówił przyjazdu w nocy, miał usłyszeć: „Marian, do nogi!”. Ponoć zawieziono rzeźbiarza pod pomnik, dostarczono mu beton i kielnię. Artysta zatkał dziurę siatką, zakleił betonem i uformował buta. Następnego dnia jako fachowca wezwano Aleksandra Pogroszewskiego, niepartyjnego mistrza budowlanego, by dokończył dzieła. Pracę jednak trzeba było kolejnego dnia wykonać od nowa, bo – choć pomnik był teraz jeszcze pilniej strzeżony przez milicję – na cokole ktoś wyrył w świeżym betonie napis: „Buc, buc, buc”.

Służba Bezpieczeństwa podjęła działania w celu znalezienia sprawcy zamachu. Jak pisała Katarzyna Kobylarczyk, „podczas trwającego trzy lata śledztwa przesłuchano 664 świadków, dokonano 24 oględzin i 108 przeszukań, przeprowadzono cztery eksperymenty. Powołano 18 biegłych. Pod kątem sprawdzenia alibi odbyto 3036 rozmów. Straty oszacowano na 514 326 zł. Sprawę umorzono z powodu niewykrycia sprawcy”. Jednym z podejrzanych był Andrzej Szewczuwaniec, potem, w 1988 roku, jeden z liderów strajku w HiL. Formalnie jednak autorzy zamachu wciąż pozostają nieznani.

Obalenie giganta i fantom Nowej Huty

Wraz z upadkiem PRL-u, 10 grudnia 1989 roku nowohucianom udało się obalić pomnik Lenina. Figura spędziła kolejne dwa lata w forcie Wróblówce, po czym w 1992 roku kupił ją szwedzki milioner Big Bendt Erlandsson. Pomnik można podziwiać w miasteczku osobliwości pod Sztokholmem. W Hucie jednak okazał się on trwalszy niż ze spiżu (*nomen omen*, gdyż wykonano go właśnie z tego ma-

teriału). Tradycję jego istnienia podtrzymują nowohucianie. Wiele osób nadal umawia się choćby „pod Leninem”. Ten fantomowy zabytek odwiedzić możemy zainspirowani lekturą dzieł pisarzy, którzy – tworząc z Huty scenografię czy bohatera kreowanych przez siebie światów – nie zapominali o Włodzimierzu Iljiczu. Jerzy Pilch ustanawia go w *Spisie cudzołóżnic* jedną z najważniejszych atrakcji Krakowa; główny bohater Gustaw zabiera swego szwedzkiego gościa do Huty, by „pod mrocznym jak dzieje rewolucji obeliskiem” wytłumaczyć mu, iż „a few years ago, under this monument to Włodzimierz Lenin, some people made an explosion but they were not so good in their work and finally only one Lenin’s leg was partly destroyed”. Zainspirował on też artystów, między innymi Małgorzatę i Bartosza Sztylowskich, którzy podczas Festiwalu Sztuk Wizualnych Grolsch Art Boom w 2014 roku przywrócili Lenina Hucie z pomocą palimpsestowego projektu *Fontanna Przyszłości*. Mogliśmy obejrzeć w alei Róż pomalowaną na jaskrawożółty kolor miniaturę rzeźby Mariana Koniecznego z tą jednak różnicą, że ten Lenin nie był pomnikiem, lecz –

W nocy 18 kwietnia 1979 roku aleją Róż wstrząsnął wybuch. Z okien okolicznych budynków powypadały szyby. Mieszkańcy zerwali się: niektórzy myśleli, że to wojna, inni – że trzęsienie ziemi czy wybuch w kombinacie. W rzeczywistości była to próba obalenia pomnika – u stóp monumentu umieszczono dwa ładunki wybuchowe.

jak nazwa wskazywała – fontanną. Woda przepływała przez cokol, na zewnątrz zaś wydostawała się zgodnie z ludzką anatomią.

Jeśli więc pomnik powróci do Huty, to – jak się zdaje – tylko w takiej odsłonie.



Anna Grochowska – nowohucianka urodzona w Szpitalu im. Stefana Żeromskiego, badaczka życia literackiego Krakowa i Nowej Huty, autorka m.in. książki o Domu Literatów *Wszystkie drogi prowadzą na Krupniczą*, zapewne nie bez powodu została doktorantką Katedry Historii Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski Wydziału Polonistyki UJ.

Wizyta innych opowieści

Tekst: Paweł Głowacki **Zdjęcia:** Andrzej Kramarz (za zgodą Materia Prima)

Czwartek

Gdyby tylko chcieli – czyż nie mogliby się schować? W naszej epoce finezyjnych technik teatralnych byłby to dla nich problem śmieszny, dziecinny, bułka z masłem. Zresztą, po co strategie aż finezyjne. Mogli zwyczajnie zasłonić boki sceny kurtynami. Albo – niczym Szekspir Poloniusza za arrasem – mogli siebie i pojazd swój ukryć za zmotoryzowanym parawanem. Mogli też pojazd i całe elektroniczne instrumentarium przykryć płachtami czarnego sukna, siebie zaś wcisnąć w czarne szaty i smoliste kaptury aktorów omszałego teatru Bunraku, jak ongiś, w legendarnych *Biesach*, Andrzej Wajda wcisnął w nie człokształtne, nieme demony, które rządziły całym na scenie przedstawionym światem, a w finale seansu, z infernalną czułością pomogły Stawroginowi zawisnąć na amen. Owszem, tak lub na tysiąc innych sposobów mogli udawać, że ich nie ma, tym samym dając do zrozumienia, iż ta na scenie widoczna polana w iglastym lesie, otoczona drewnianymi domkami,

Teatr do tego służy, by w nim teatr był, nie coś innego. By była finezyjna teatralność, nie toporna kalka ulicy; metafory pozwalające snuć domysły o prawdzie rzeczywistości, a nie podana do wierzenia, bo nie do przemyślenia lub odczucia, goła interpretacja spraw światowych.

a także to, co się w domkach i na polanie dziać będzie, jest kawałkiem litej prawdy, wprost z realnego życia wziętym. Lecz oni się nie schowali.

Sobota

Na scenie więc – domki na kolistej polanie iglastego lasu. Ale wokół polany coś jakby wąziutkie tory, a raczej – prowadnica. Nad nią, okrakiem – dreźyna na gumowych kołach. Na niej, obok niej – fachowcy od filmowej iluzji, więc i kamery, kable, słuchawki, profesjonalny zydel dla kamerzysty, niewielkie reflektory. A wszystko to podane widzom jak na dłoni. W ostatni wieczór teatralnego festiwalu Materia Prima, przez cały seans 300el x 50el x 30el belgijskiej trupy Toneelhuis/FC Bergman ten wehikuł fikcji wiele razy okrąży polanę, ukazując na wiszącym nad sceną ekranie marne życie marnych ludzi w domkach, a także, z innej niż nasza perspektywy, z perspektywy czającego się w lesie złodziejaszka – kroki, gesty lub bezruch marnych ludzi na polanie przed domkami. Bez kolistej, wędrującej pieczy fachowców od iluzji, bez czarodziejskich talentów tych sunących dreżyną narratorów

sztuczności – nie byłoby opowieści. Nie ukrywając się – ukazują fikcyjność. Przebywając wciąż w jasnym świetle na patelni sceny, nie są obcym ciałem w świecie zmyślonym, są częścią zmyślonego świata. Uparcie przypominają, że to, co się na scenie dzieje, nie jest kawałkiem prawdziwego życia, lecz kawałkiem prawdziwej iluzji. Przypominają

oczywistość, że teatr do tego służy, by w nim teatr był, nie coś innego. By była finezyjna teatralność, nie toporna kalka ulicy; metafory pozwalające snuć domysły o prawdzie rzeczywistości, a nie podana do wierzenia, bo nie do przemyślenia lub odczucia, goła interpretacja spraw światowych.

snute przez ludzi, którym w teatrze wystarcza finezyjna sztuczności. Słowo „deziluzja” okrasilem słowkiem „niebezpiecznie”, gdyż, rzecz jasna, nie jest tak, iż w każdym seansie ukazywane są szwy, ścięgi i inne wnętrzności iluzji. Natomiast zawsze opowieść jest samoistna, samowystarczalna. Zawsze niczego jej nie



Compagnia Finzi Pasca, *Donka – list do Czechowa*, fot. Andrzej Kramarz

Niedziela

W tym, by tak niebezpiecznie rzec, deziluzyjnym pięknym geście trupy Toneelhuis/FC Bergman tkwi niezamierzone sedno festiwalu Materia Prima. I nie tylko tej, piątej już, edycji. Od lat dziesięciu, co drugi rok, dyrektor Teatru Bagatela Adolf Weltschek sprowadza ze świata całego teatralne opowieści

brakuje w czterech ścianach sceny, trzech twardych i jednej niewidzialnej. Aby być – żadna z opowieści nie potrzebuje kontekstów świata prawdziwego. Nie mówię o jakichś na Materię Primę sprowadzanych marzeniach pięknoduchów, o teatralnych wieźczkach z kości słoniowej, pretensjonalnie odciętych od szarej rzeczywistości. Mówię o prawdziwej sztuce teatru,

czyli o kojącym braku ołowianej publicystyki. Mówię o specjalnym języku tej obcej cywilizacji teatralnej, o falowaniu znaków scenicznych, o poetyce, która nie wstydzi się swej iluzyjności, ba, która z iluzyjności czyni walor potężny. Czyli o tym mówię, co nad Wisłą, w krainie teatralnej siekierzady publicystycznej, już jest, a jeśli jeszcze nie, to niebawem będzie – trupem. Goście Weltschka wyglądają tutaj tak, jakby każdy z nich był – zielonkawym.

Wtorek

O czym to wszystko było? Choćby hiszpańska *Katedra*, opowieść, którą Patricia Guerrero utkała z flamenco. O czym tańczyła? Przecież nikt normalny tak się w życiu codziennym nie porusza! Więc? Niepojętym piśmem nóg i dłoni snuła nieuchwytną tęsknotę skóry, ciemną tęsknotę, która była tylko pytaniem, nie odpowiedzią. Pytaniem, które każdego z osobna na widowni lekko popychało w stronę własnych jego ciemnych rojeń. Żadnych tedy jasnych nauk nie było, żadnych idei, żadnych przesłań, żadnych pocieszeń. Było tylko pytanie, a tuż za nim taktowna rada, by patrzący sam sobie zaczął opowiadać siebie. Gdyż nie będzie innej odpowiedzi, innego rozwiązania zagadki opowieści, rozwiązania dobrego dla wszystkich.

Środa

Pytali więc dyskretnie, przez dni osiem, na sześciu scenach Krakowa. Lalki, na kijkach i pajęczynach linek. Lalki *Cyrku na sznurkach* Rosjanina Viktora Antonowa, te w seansie *Circus Funestus* teatru Sofie

Od lat dziesięciu, co drugi rok, dyrektor Teatru Bagatela Adolf Weltschek sprowadza na festiwal Materia Prima ze świata całego teatralne opowieści snute przez ludzi, którym w teatrze wystarcza finezja sztuczności.

Krog z Danii, i te z *Domu klaunów* niemiecko-greckiego teatryku Merlin Puppet. Jak ci smakowała zabawa, ten powrót do stareńkiej sztuki ulicznych kuglarzy? A co z zawsze niejasnymi labiryntami miłości?, pytała francuska legenda Marie-Claude Pietragalla, tańcząc z Julienem Derouaultem opowieść *Spotkanie z tobą było moim przeznaczeniem. W Odejściu*, na pół pantomimicznym, na pół tanecznym seansie teatru WHS z Finlandii – kiedy tylko kobieta pomyślała o mężczyźnie, który był daleko, suknia czarodziejsko sama się z niej zsuwała, zaś kiedy mężczyzna wdział ogromny płaszcz, aby się ogrzać w samotności, z ramion płaszcz wysuwały się naraz kobiece dłonie i uspokajały dotykiem żyłę na szyi mężczyzny. Znasz chwile, kiedy wyobraźnia lepi nad opuszczonym krzesłem obrazy aż tak sensualne? Pytanie 100 minut seansu *Requiem pour L.* międzynarodowej trupy Alaina Platela – strach wypowiedzieć. Seans? To był obrządek czuwania przy twarzy kobiety, której prawdziwe umieranie sfilmowano i wyświetlano na gigantycznym ekranie. To było czuwanie wedle intonacji Mozartowskiego *Requiem*, w strzępach granego, śpiewanego i tańzonego pod ekranem aż

do chwili, gdy twarz pani L. była już jak śnieg i bezpowrotnie nieruchoma. A pytanie seansu *Donka – list do Czechowa* Kompanii Finzi Pasca ze Szwajcarii skapuje z tej Czechowa frazy, co ją białe postacie przywołują w prologu, i którą można by przywoływać przed każdą opowieścią tej i wszystkich dawnych edycji

Materii Primy. „Życia nie powinno się pokazywać takim, jakie jest, ani takim, jakie powinno być, ale takim, jakie pojawia się w snach”.

Sobota

I coś jeszcze zostaje po festiwalu, po tygodniu metafor wymykających się jakiegokolwiek jednoznaczno-

ści. Niepokój dziwny bardzo, jakaś niecodzienna niepewność. Kiedy w fantastycznym śnie kończącym Materię Primę dreżyna kamerzystów iluzji zatrzymuje się na okręgu z tyłu sceny – na wiszącym nad sceną ekranie widać nie tylko polanę i zjawy na polanie, ale też nas na widowni, nieruchomych w bez-

czego niepokoją nas te inwersje?”. Jego odpowiedź nie uspokaja, jak nie uspokajają pytania wszystkich snów festiwalu Materia Prima. „Skoro bohaterowie jakiejś fikcji mogą być jej czytelnikami czy widzami, to my, jej czytelnicy czy widzowie, możemy równie dobrze być fikcją”.



Merlin Puppet Theatre, *Dom klaunów*, fot. Andrzej Kramarz

piecznych fotelach, nas, przyglądających się polanie i zjawom. Iluzja się urealniła? Realność nabrała konsystencji snu? W *Don Kichocie* Cervantesa Don Kichot, bodaj dwa razy, czyta *Don Kichota* Cervantesa. W *Hamlecie*, w scenie zwanej „Pułapką na myszy”, Hamlet ogląda skróconą wersję *Hamleta*. Wiele lat później Jorge Luis Borges zapytał: „Właściwie dla-



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Wiele twarzy poety

Wysłuchała: Elżbieta Wojnarowska **Zdjęcie:** Tomasz Stokoski

Michał Zabłocki: Wciąż dziwię się życiu... Cisza musi zaistnieć, aby mogło nastąpić poważne pisanie.

Elżbieta Wojnarowska: Podobno wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Skąd więc wziąłeś się w Krakowie?

Michał Zabłocki: Z Warszawy było mi bliżej do Krakowa niż do Rzymu (śmiech), a zjechałem tu w związku z podjęciem współpracy z Piwnicą Pod Baranami. Piotr Skrzynecki zaprosił mnie na wieczór autorski, a było to w 1984 roku.

Ale w końcu zostałeś w Krakowie definitywnie.

W 1998 roku. Postanowiłem wtedy zerwać z reklamą, a kręciłem filmy reklamowe i miałem tego dość. Zarabiałem na tym bardzo duże pieniądze, ale ta praca mnie wyjąławiła. Czułem że się wypalam, bo nie było możliwości łączenia tego z pracą twórczą, nie tylko z pisaniem, ale też reżyserowaniem czegoś innego niż teledyski. Wyklikałem się stamtąd, szok w Warszawie był duży, ale moja satysfakcja długoterminowa. Szybko wszedłem we współpracę z Piwnicą, Janem Kantym Pawluśkiewiczem, Grzegorzem Turnaurem i Agnieszką Chrzanowską.

Przyjechałeś tu z przylepioną „gębą prześmiewcy”, szokującego, niekonwencjonalnego.

Ja tu przyjechałem właściwie z gębą nijaką. Prześmiewcą stałem się dopiero w Piwnicy. Tam stwierdziłem, że kabaret wymaga ode mnie bardzo mocnej elektryczności, a moja twórczość nie do końca przystaje do tego miejsca. I zacząłem pisać takie rzeczy, które pewnie trochę dziwnie wyglądają potem w książkach, bo są mocno prowokujące.

Obcy na murach, tak szeptano o Tobie i o wierszach poetów tam wyświetlanych. Mimo to nie poddałeś się. Teraz czytanie ich, nie tylko przez turystów, to już tradycja. Nikt nie wyobraża sobie Brackiej bez wierszy na murach...

Początki były trudne. Na początku faktycznie nie miałem zbyt wielu kibiców. Na szczęście nie potrzebuję specjalnego wsparcia środowiska, żeby coś robić, więc w ogóle się tym nie przejmowałem. I trwa to już piętnaście lat! A odbywa się to z dużym moim wysiłkiem, wyświetlam wiersze osób nie tylko z Polski, ale i ze świata, także w tłumaczeniu na angielski.

Jeździsz po Krakowie rowerem. Chcesz coś zamanifestować, na przykład zdrowy tryb życia?

Tak, tak! (śmiech)... Czy jeżdżenie po Krakowie rowerem nie jest czymś normalnym?

Nie mieszkasz jednak w centrum Krakowa. Wyrzucił Cię smog?

Mieszkam na Zwierzyńcu, a rowerem jeżdżę ze względów praktycznych. Bo jeżdżenie samochodem po Krakowie nie ma sensu. Korzystam też oczywiście ze środków komunikacji miejskiej, i bardzo to lubię, bo wtedy mogę się przyglądać ludziom, co mnie frapuje, a podczas jazdy rowerem się nie da, trzeba się wtedy gapić przed siebie i tyle. Dodatkowo stworzyliśmy wiejski dom wspólnie z teściami poza miastem, ale w miarę niedaleko, i to się bardzo dobrze sprawdziło.

Jak ważny jest dla Ciebie sport?

U nas w domu był bardzo ważny. Sam ostatnio wróciłem do szermierki. Niestety, w Krakowie nie ma sekcji szablowej. Więc na treningi muszę jeździć do Sosnowca, gdzie jest duża grupa weteranów. Mam zresztą plan, żeby zorganizować u nas Centrum Szabli, które pełniłoby funkcję historyczno-edukacyjną, ale też gdzie można by uprawiać różne rodzaje szermierki, wyczynową, sportową czy hobbistyczną. W młodości zdobyłem mistrzostwo Polski, byłem też finalistą mistrzostw świata, niestety z powodu urazu kręgosłupa musiałem zaprzestać wyczynowych treningów. Poza tym studiowałem wtedy w Filmówce i to już było nie do pogodzenia czasowo.

Zszokowałeś Kraków wierszami chodnikowymi czy pisanymi na zamówienie. A tu nagle Blogostan. Objawiasz się w nim jako czuły obserwator. Skąd w Tobie tyle empatycznej uważności? Pozostałeś przecież mimo wszystko sceptyczny?

Są przecież różne aspekty rzeczywistości, działamy w różnych okolicznościach. Scena, kabaret, przestrzeń literacka, czyli metaforyczno-zabawowa, to jedno, a druga rzecz, to poważna refleksja na temat życia, coś, co wynika z ciszy. Cisza musi zaistnieć, aby mogło nastąpić w ogóle jakieś poważne pisanie. Teraz pociąga mnie tom poezji jako konstrukcja zwarta, pomyślana od począt-

ku do końca, mająca własną koncepcję. Udało mi się napisać jeden taki tom, jest nim *Janowska*, gdzie z góry wiedziałem, co będzie na jakim miejscu i dlaczego. Nie ma tu niczego chaotycznego. To nie jest zbiór wierszy. To całość.

O tekściarzach mówi się ironicznie jako o niezbyt poważnych twórcach. Tymczasem Twoje teksty śpiewają znakomici artyści, że wspomnę tylko Grzegorza Turnaua czy Czesława Mozila.

Współpraca z Czesławem jest dla mnie ciekawa, gdyż on wiele proponuje, ma dużo własnych pomysłów, wydaliśmy wspólnych płyt już cztery: *Debiut*, dwie *Księgi Emigrantów*, a teraz *Kalendarz Adwentowy*, czyli piosenki okołobożonarodzeniowe. Ci artyści, których wymieniałś, są to artyści, dla których najpierw piszę teksty. Ale są też artyści, którym piszę teksty do muzyki, na przykład w ten sposób napisałem dla Golców czy dla Anny Jurksztowicz, cały album wydany w ubiegłym roku. Dobranie tematu dla artysty i jego muzyki jest szczególnie podniecające.

Twój blog e-multipoetry osiągnął niebywały, międzynarodowy sukces.

Można tak powiedzieć. Piszę tam też od lat osiemnastu wiersze na czacie. Spotykam się tam z różnymi ludźmi nie po to, żeby pogadać o niczym, tylko żeby napisać razem wiersz. Na zadany temat. Z tych wierszy powstała najlepiej sprzedająca się płyta w Polsce w 2008 roku, czyli *Czesław Śpiewa, Debiut*. Układałem te wiersze z propozycji wersów przysyłanych do mnie przez internautów. Czasem coś zmieniam, coś dopisuję. Każdy z nich, indywidualnie, może nie ma idealnego poczucia formy czy sam takiego wiersza by nie napisał. Ja sam bym czegoś takiego nie napisał. Ale oni mają różną wyobraźnię i suma ich pomysłów daje często bardzo ciekawy efekt, niespodziewany rezultat. Jest to propozycja wyjątkowa w obrazie literackim, ponieważ są to wiersze absurdu, bardzo u nas rzadkie.

Czyli nadajesz temu ostateczny kształt, głębszy sens.

Ja temu nadaję formę, na wiele sposobów. Piszemy tam wiersze w ten sposób, że najpierw nadajemy tytuł, co jest już samo w sobie nie-

słychane, bo przecież tak się nie pisze. Zwykle wiersz albo nie ma tytułu albo się go nadaje na końcu, żeby było wiadomo, o czym jest. Tu zaczynamy od tytułu, bo tak się czyta wiersz, od tytułu, czyli jak się dobrze zastanowić, to strategia czytelnicza jest tu lepiej realizowana niż w klasycznym procesie tworczym. Może wydamy książkę, aby najlepsze wiersze tam umieścić, na wieczność? (śmiech). **Chcesz, aby Twoje dzieci były krakusami? Uczysz je Krakowa?**

Na razie moje dzieci nie mają innego wyjścia, są bardzo wtopione w Kraków. Wiedzą, co to smok, znają baśnie, Wawel, zaliczają chodzenie po Rynku, to wszystko wchodzi w krew. Kraków to głównie centrum. Mówiąc o centrum, pojmuję go też duchowo. Jest to na pewno duchowa stolica kraju. Jeżeli nie do końca literacka, to na pewno poetycka. Ta duchowość się tu, w poezji, najmocniej odciska. Chciałbym, aby coś z tego aspektu duchowego w moich dzieciach zostało.

Czy czas dla Ciebie tyka zbyt wolno czy stanowczo zbyt szybko? I czy to tykanie Cię nie przeraża?

Myślę, że czas jest dla mnie łaskawy. Ja już przeżyłem tyle, że dziwię się, iż wciąż mam jakieś pomysły, że wciąż mi się czegoś chce. Małe dzieci, nowe projekty, nowa wiosna będzie za chwilę. Wykorzystuję dany mi czas, ale z drugiej strony wciąż się dziwię życiu, że to nie ma końca, wciąż jeszcze i jeszcze.

Jak określiłbyś swoje życie?

Mam wiele twarzy, jak każdy. I staram się ich nie pozbywać. Nie upraszczać się, nie dać się wepchnąć w szufladkę Poeta albo szufladkę Reżyser czy Szablista. Wierzę w kontrasty. W zaskakujące zestawienia.



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

Michał Zabłocki

Jeśli chodzi o literaturę
najbardziej lubię noblistów
bo mają niski przyrost naturalny
i raczej zmierzają do mety
Nie wiem tylko po co im milion dolarów
całe życie pracowali
żeby obywać się czystą sztuką
a całkiem na odchodnym
ktoś im ją zapaskudził

Trzeba być człowiekiem o gołębim sercu
i mieć miłość dla wszystkich
A i to kończy się śmiercią
bo prawda jest zawsze zbyt trudna
Dodaj do tego tylko
że błąd utrwała się z czasem
a opór zwiększa siłę nacisku
i nie licz na nawrócenie
Żaden argument nie przekonał jeszcze nikogo
kto słucha tylko myślących tak samo
Jeśli masz rację
wypowiedz ją
ale nie prowadź sporu
i jak najszybciej daj się pokonać
Ludzie zmieniają zdanie
dopiero gdy cię zabiją
i robi im się żal

Anty Jude Front na ścianie
chciałbym go zobaczyć na własne oczy
żeby ten front się ustawił
frontem do kamer
z obnażonym mieczem spreju
z podniesioną przyłbicą kaptura
i wypowiedział swoje
nie tyle credo, co farbo:
Dlaczego Anty Jude
a nie Anty Nazi
albo Anty Disco Polo?
Ale z tego nici, bo front się ukrywa
w pełnej konspiracji
u mamusi w domu

Za kim jesteś
za Pudzianowskim
czy za Lewandowskim?
Kto za tobą stoi
Moskwa czy Ankara?
W 2004 o co ci chodziło?
Kiedy wszyscy siedzieli
po której stronie stałeś?
Wszystko jest w twojej teczce
i będzie poczytane

Co ja poradzę?
takie czasy
nie da się pisać wierszy o ptaszkach i rybkach
kiedy ulicami płyną ławice niezgody
pod czujnym okiem medialnych drapieżców
a w zakładach pracy
wojownicze czarne wrony
gotowe są zadziobać
białe gołąbki moralnego niepokoju
i odwrotnie
O kurczę
a jednak się da



Michał Zabłocki (rocznik 1964) – poeta, autor tekstów piosenek, scenarzysta, twórca teledysków. Jest synem architekta Wojciecha Zabłockiego i aktorki Aliny Janowskiej. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim oraz reżyserię w Łodzi. Od 1987 roku współpracował z Piwnicą pod Baranami, m.in. z Grzegorzem Turnauem, Anną Szałapak, Beatą Rybotycką, Agnieszką Chrzanowską, Jackiem Wójcickim. Zadebiutował poetycko w 1982 roku na łamach „Radaru”.

Wydał kilkanaście tomików wierszy – począwszy od debiutanckiego *Natężenia świadomości* (1996) po *Janowską* (2017 – nagrodzona nagrodą Krakowska Książka Miesiąca).

Laureat plebiscytu Muzycznej Jedyńki w kategorii najlepszy tekst roku 1993 za piosenki *Cichosza* Grzegorza Turnaua i *Zaklinalnie czarowanie* Jana Kantego Pawluśkiewicza w wykonaniu Anny Szałapak.

Przy okazji szermierz – wielokrotny mistrz i wicemistrz Polski juniorów.

Uff, ale OFF

Tekst: Maria Malatyńska **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Kilka razy w roku zwrócenie „Kamery” właśnie na Kraków ma pełne uzasadnienie. Bo ze świata przyjeżdża mnóstwo gości i wszyscy mają ten sam cel: zobaczyć w naszym mieście najciekawsze filmy polskie i mało znane, albo wręcz premierowe, filmy z różnych stron świata. A niektórzy przyjeżdżają po to, by właśnie tu, na tle starych murów, przyjąć różne ważne nagrody.

Festiwal OFF Camera jest właśnie jednym z takich wydarzeń, którego nie wolno przegapić. Zresztą i tak byłoby to niemożliwe: festiwal jest głośny, dynamiczny, zagarnia na projekcje konkursowe niemal wszystkie sale kinowe w mieście, jego uczestnicy dyskutują o kinie także na prawie wszystkich wolnych placach starego Krakowa, a jeszcze festiwal organizuje im dodatkowe projekcje na dachach budynków!

*

Międzynarodowy Festiwal Kina Niezależnego OFF Camera, bo taka jest pełna nazwa tego imprezowego szaleństwa (które nas czeka również w tym roku od 24 kwietnia do 5 maja – i to już po raz dwunasty), ma swoją historię i swoją legendę. Ta legenda jest ważniejsza, bo niesie ten festiwal już od załążka jego pomysłu, który powstał w głowie szefa TVN Edwarda Miszczaka: by stworzyć u nas festiwal, jakiego jeszcze nie było i nie ma. I szybko ten pomysł zawojował różne wyobraźnie. Ale może dlatego, że sprytnie i prowokacyjnie, od samego początku wymyślono wysokie nagrody w festiwalowych konkursach? Tak wysokich nagród, które mają promować kino niezależne, nie ma nigdzie na świecie! Czy to więc „money, money” stały się tak mocną inspiracją, że szybko pojawili się organizatorzy, pomocnicy, a nade wszystko sponsorzy? Festiwal ma swoją Fundację, organizatorem jest też Krakowskie Biuro Festiwalowe, a sponsorzy są i będą – dowodem nawet zmiany nazwy Festiwalu: przez długi czas nazywał się „OFF Plus Camera”, potem „PKO OFF Camera”, wreszcie „Netia OFF Camera”.

Ach, ci sponsorzy! Oni są tu pewnie najważniejsi, bo wysokość sfinansowania jest imponująca: Krakowska Nagroda Filmowa dla zwycięzcy w międzynarodowym konkursie debiutów i drugich filmów (pod nazwą „Wytaczanie drogi”) – to 100 tysięcy dolarów. Tę nagrodę przyznaje najważniejsze, międzynarodowe jury. Ale autor takiego zwycięskiego filmu otrzymuje jeszcze jedną nagrodę – w wysokości miliona złotych! Pochodzi ona od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej z zastrzeżeniem, że następny film nagrodzonego ma być zrealizowany w Polsce. Taka nagroda OFF Camera idzie na ogół w ręce obcego twórcy, którego w ten sposób wiąże się z Polską. Kilka razy zdarzyło się

wprawdzie, że nagroda trafiła do rodzimego twórcy, ale cóż zrobić, gdy film był doskonały? Tak było choćby przed kilku laty, gdy zwyciężyła *Oblawa* Marcina Krzyształowicza.

A jest jeszcze nagroda (300 tysięcy złotych) dla najciekawszego dzieła w Konkursie Filmów Polskich, tych z ostatniego sezonu. Ten laur ma w tytule dodatkowo nazwę swojego głównego sponsora, dlatego w tym roku nosi miano Nagrody Kulczyk Foundation.

*

I tak oto, niemal nie wiadomo kiedy, OFF Camera stała się jedną z największych tego typu imprez w tej części Europy. Festiwal szybko się rozrósł i działa z rozmachem: zaprasza tłumy gości zagranicznych, prezentuje w każdej edycji po kilkaset filmów – i to w wielu salach, więc i minimum 30 tysięcy widzów to nic niezwykłego. Wszyscy festiwal chwalą, bo jest przepyszny. O nic nie musi walczyć, bo wszystko „samo” wpada mu w ręce. I jeszcze



Weronika Rosati na Off kamera

nazywa się „niezależny”! Od czego, kogo? Od oficjalnych, czytaj: państwowych, instytucji – może. Od jakiegokolwiek kryzysu – na pewno. Od samej sztuki? Nie, to akurat nie wchodzi w rachubę. Na sztukę jest wręcz uwrażliwiony, potrafi ją wyłowić, ocenić i docenić w niej to, co istotne! To zasługa głównego, międzynarodowego jury pod wodzą sprawdzonego artysty (na ogół z naszego kraju) oraz pozostałych ciał jurorskich, bo przecież konkursów jest kilka.

Najważniejszy, wspomniane „Wytyczanie drogi”, ma docenić wszelkie nowatorstwo. Nie tylko tematu, ale i formy. Na czele jurorów tego konkursu stoją zawsze najwięksi. Była tu przed laty Agnieszka Holland, był Krzysztof Zanussi, był zawsze niezależny Lech Majewski i im podobni.

Co roku krakowscy widzowie mogą oglądać również filmy pogrupowane w specjalnych sekcjach tematycznych, filmy podejmujące trudne, aktualne problemy. Są też produkcje pochodzące z konkretnych regionów geograficznych. Są filmy już znane, które otrzymały na festiwalu specjalną nazwę: „Uzupełnianie zaległości”. To superpomysł, bo tam można niemal wszystko znaleźć!

Festiwal organizuje również mnóstwo warsztatów branżowych, wykładów, dyskusji, na ogół związanych z pokazywanymi filmami i z konkretnymi sekcjami, ale także z wizytami artystów z kraju i ze świata. Niektórzy przywożą najnowsze filmy, nawet takie, które jeszcze nie miały premiery. Plotka głosi, że w tym roku przyjedzie Krystyna Janda z nowym filmem Jacka Borcucha *Słodki koniec dnia*, za który otrzymała w lutym wielką nagrodę aktorską na światowym, niezależnym festiwalu w amerykańskim Sundance.

A niektórzy z gości odbierają na naszym festiwalu ważną nagrodę „Pod prąd”.

Co znaczy owo „Pod prąd”? Dokładnie nie wiadomo! Płynąć? Postępować? Istnieć? Czy to znaczy „wbrew porządkowi”, niezgodnie z zasadami, wbrew uładowanym normom? Wbrew regułom?

Co roku ktoś o to pyta, zwłaszcza że tę nagrodę dostają na ogół artyści mocno osadzeni w porządku produkcyjnym, świetnie dający sobie radę wśród wszystkich meandrów ograniczeń i nakazów producentów oraz dystrybutorów? Bo co to znaczy w przypadku gwiazdora być artystycznie niezależnym i umieć podejmować ryzyko?

Pamiętam, gdy pewnego roku osobą dzielnie idącą „pod prąd” okazała się cudowna gwiazda włoskiego kina Claudia Cardinale! Tak, to nie pomyłka! Zapytana została wtedy, czy interesuje się filmami niezależnymi. I potwierdziła, potrząsając piękną, mocno wyrażoną głową i głośno dzwoniącą biżuterią. „W niezależne filmy inwestuję najwięcej” – stwierdziła, bo, jak wyjaśniła, „inwestuje w siebie”, jako że gra w nich za darmo! Na dowód promowała wtedy w Krakowie ostatni swój wówczas

Międzynarodowy Festiwal Kina Niezależnego OFF Camera ma swoją historię i swoją legendę. Ta legenda jest ważniejsza, bo niesie ten festiwal już od załóżki jego pomysłu, który powstał w głowie szefa TVN Edwarda Miszczaka: by stworzyć w Krakowie festiwal, jakiego jeszcze nie było i nie ma.

film – debiutancki *Ultima Fermata* Giambattisty Assantiego. Dobrze się czuła w Krakowie, chwaliła nasze miasto jako otwarte dla kultury i świetnie nadające się na plan filmowy ze swoją atmosferą i zabytkami. Wszyscy przekonali się wówczas, jak cudownie jest spotkać taką legendę kina. I jak to dobrze, że na tyle zmieniły się obyczaje, że nie jest ona taka jak Greta Garbo, która już w wieku 40 lat ukrywała się za wielkimi, ciemnymi okularami i pod czarnym kapeluszem, albo jak Marlena Dietrich, która w pewnym wieku rozmawiała z ludźmi przez zamknięte drzwi. Claudia była pełna radości, życia i świadomości. I choć starsze filmy pokazują jej niebywałą urodę i *charme* sprzed lat, to teraz była w niej radość spełnienia! Pamiętamy, że wielki Luchino Visconti zachwycał się w życiu tylko dwiema kobietami. Jedną to Romy Schneider, a druga – właśnie Claudia Cardinale. W jego *Lamparcie* Claudia wkracza na ekran jako absolutne piękno z „nowego świata”... Teraz jesteśmy oczywiście w innej epoce, bo w ogóle nie zauważyliśmy, kiedy „nowy świat” stał się „starym”. Lecz dzięki temu wciąż zwiększa się nam obszar wspomnień. I to też może nam zapewnić od czasu do czasu młody OFF Camera.

*

Ale jest ktoś, kto zawsze jest niezależny i zawsze jest nasz. To Roman Polański. OFF Camera traktuje go zawsze jak gościa specjalnego. Zjawia się tu często. Był choćby w zeszłym roku. A teraz tym bardziej powinien przyjechać, bo rok, który nadszedł, powinien być rokiem Polańskiego. I nawet nie tylko dlatego, że na ekrany wchodzi obraz Tarantino o zabójstwie Sharon Tate przez bandę Mansona, ale i dlatego, że wreszcie i sam Polański zrealizował swój film o Dreyfussie. Nazywa się *Oskarżam!* – tak jak zatytułowany był głośny artykuł Emila Zoli. Chyba nietrudno wyobrazić sobie to, co z takiego materiału potrafił zrobić Polański. OFF Camera na pewno czuwa już nad tym, aby nam ten film sprowadzić! Czy uda się to już w tym roku?



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.


Kraków

Fot. Krzysztof Lis


**Krakowska
Książka
Miesiąca**

NAGRODA KRAKOWSKA KSIĄŻKA MIESIĄCA

Nagrodę otrzymują książki krakowskich autorów lub książki o Krakowie, wyróżnione przez Jury.

W kwietniu Laureatem Nagrody został muzykolog Mateusz Borkowski, autor wywiadu-rzeki z wirtuozem muzyki organowej Markiem Stefańskim, pt. „Organy na krańcach świata”.

Wręczenie Nagrody i spotkanie:
25 kwietnia, godz. 18.00,
Klub Dziennikarzy „Pod Gruszką”
Kraków, ul. Szczepańska 1.



**Biblioteka
Kraków**

Salon Literacki Biblioteki Kraków

Miłośników książki zapraszamy na spotkania z pisarzami, poetami i publicystami w Salonie Literackim Biblioteki Kraków, ulokowanym w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”, ul. Szczepańska 1. Spotkania odbywają się w każdy czwartek, w unikalnej barokowej Sali Fontany.

W kwietniu gośćmi Salonu będą:
Krzysztof Płomiński (4.04), Marcin Wilk (11.04) i Mateusz Borkowski (25.04).



**Biblioteka
Kraków**



WWW.BIBLIOTEKA.KRAKOW.PL

W Gołębniku (2)

Tekst: Jan Pieszczachowicz

Gołębnik. Instytut Filologii Polskiej UJ. Lubiliśmy mniej lub bardziej tych naszych belfrów, także ich dziwactwa i anegdoty o nich.

Na przykład wiadomo było, że dwaj wybitni językoznawcy prof. Witold Taszycki („jaśnie hrabia” – mówiono o nim z przekąsem, bo przysługiwał mu arystokratyczny tytuł) oraz prof. Kazimierz Nitsch niezbyt się lubią. Stary Nitsch podrzemywał czasami na posiedzeniach PAN. Pewnego razu Taszycki na jego widok syknął: – Nitsch zasnął w PAN-u...

Wśród profesorów wyróżniał się Stanisław Pigoń, wybitny polonista o masywnej postawie chłopca. To chłopskie szlachectwo dodawało mu godności, bardzo cenił swój rodowód i przez wiele lat jeździł na wieś, by pomagać rodzinie przy żniwach. Jego wykłady były „z głowy”, pamięć miał znakomitą, cenił szczegóły. Kiedyś przepytывał mnie na egzaminie z pewnego staropolskiego dramatu. Szło o ustalenie, jakiego koloru buty miała jedna z postaci. Przypomniałem sobie, że żółte, ale profesor uzupełnił: – Koloru jajecznicy. To niby to samo, ale odcień różny.

Profesor Maria Dłuska przez cały pierwszy rok przerabiała z nami *Kwiatki świętego Franciszka*. Z początku wydawało mi się to przesadą, potem zrozumiałem, że poznawaliśmy istotny rys średniowiecza i aspekt europejskiego humanizmu. Panią profesor polubiłem, była to złożona osobowość. Wybitna specjalistka w dziedzinie wersologii, skromna, pod powierzchnią profesorskiej surowości lirycznie nastawiona do życia. Czasami prosiła, abym jej towarzyszył do kina. Na *Tam, gdzie rosną poziomki* Bergmana byliśmy dwa albo trzy razy. Oglądając film, pani profesor płakała... Zdaje się, że była osobą samotną, zagubioną w życiu. Opowiadano, że w pewnym momencie przerwała karierę naukową i wstą-

Profesor Maria Dłuska przez cały pierwszy rok przerabiała z nami *Kwiatki świętego Franciszka*. Z początku wydawało mi się to przesadą, potem zrozumiałem, że poznawaliśmy istotny rys średniowiecza i aspekt europejskiego humanizmu.

piła do zakonu, rozdając swój dobytek, ale po jakimś czasie wystąpiła i aby wrócić do zwykłego życia, musiała zbierać rozdane skromne dobro. Po latach odwiedzałem ją w Krynicy, w domu opieki prowadzonym chyba przez szarytki. Nie poznała mnie.

Moja przyjaźń z Henrykiem Markiewiczem miała osobliwy początek. Chodziłem na seminarium magisterskie profesora. Pewnego razu zadzwonił do mnie do akademika kolega Michał Sprusiński. Był dokładnie skacowany. „Tygodnik Powszechny” zamówił u niego artykuł z okazji kolejnej rocznicy Bolesława Prusa, ale tupot białych mew udaremniał pisanie. Zadzwonił zatem do redakcji z wiadomością,

że go w roli autora zastąpię. – Oni to odrzucają, ale ja będę czysty – tłumaczył. Cóż było robić, udałem się do Jagiellonki i zacząłem kartkować dzieła zebrane autora *Lalki*, na szczęście z grubsza mi znane. Następnie na arkuszu tak zwanego papieru kancelaryjnego sporządziłem tekst, w którym zamieściłem dość bezczelne uwagi o prusologach, do których Markiewicz należał. Poszedłem do redakcji po raz pierwszy w życiu i zapytałem o kierującego działem literackim... redaktora Gamonia. – Mamoń jestem – przedstawił mi się Bronek. Rzuciłem na biurko kancelaryjny papier i uciekłem. A za tydzień Markiewicz odczytywał listę obecności na seminarium. Przy moim nazwisku zatrzymał się i powiedział: – Widzę, że mam konkurencję. Spojrzałem na katedrę i osłupiałem: leżał na niej „Tygodnik” z moim artykułem o Prusie. Po zajęciach zawstydzony podszedłem do profesora i zaproponowałem, że przeniosę się na inne seminarium. Ale on się roześmiał i powiedział, że teraz dopiero pogadamy. Kiedy skończyłem studia, w „Żywociku Literackim”, plotkarskiej rubryce „Życia Literackiego”, ukazała się notatka, że prof. Markiewicz i mgr Pieszczachowicz przeszli na „ty”. A mój artykuł został przedrukowany w antologii tekstów dotyczących twórczości Prusa.

Tak oto dzięki zatem kacowi Michała zadebiutowałem, i to w samym „Tygodniku Powszechnym”. Z profesorem przyjaźniłem się do końca jego życia. A u Bronka Mamonia po studiach jakiś czas mieszkalem.

W trakcie studiów rozpoczęła się moja działalność społeczna. Zostałem wiceprzewodniczącym Koła Naukowego Polonistów i wraz z przewodniczącym Wojtkiem Wierzewskim zorganizowaliśmy X, jubileuszowy, zjazd młodych polonistów. Łapałem, co się dało: chodziłem dodatkowo na lektorat włoskiego, skończyłem kurs filmoznawstwa pod dowództwem dr. Zbigniewa Wyszyńskiego, wpadałem na wykłady z historii sztuki prof. Karola Estreichera, który zwykł był rozpoczynać swoje wystąpienia słowami: „Posłuchajcie, co stary truje”.

A potem było życie.



Jan Pieszczachowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student” i miesięcznik „Pismo”, był w redakcji miesięcznika „Literatura” i tygodnika „Przekrój”, twórca miesięcznika „Kraków” i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.

Prof. Mieczysław Tomaszewski: muzykolog wybitny, człowiek wspaniały

Tekst: Anna Woźniakowska Zdjęcie: Jan Zych

7 kwietnia w Warszawie rozpocznie się 23. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena. Jak w minionych latach odbędzie się cykl koncertów obejmujących różne polskie miasta, w tym Kraków, gdzie niegdyś z inicjatywy Elżbiety Pendereckiej impreza się narodziła. Tradycyjnie w Bibliotece Jagiellońskiej oglądać będziemy rękopisy i pierwodruki dzieł wykonywanych na festiwalu, tradycyjnie też w Warszawie odbędzie się międzynarodowe sympozjum poświęcone w tym roku Beethovenowi i pieśni romantycznej. Ten temat był niesłychanie bliski jego pomysłodawcy, od początku festiwalu przewodniczącemu jego rady programowej prof. Mieczysławowi Tomaszewskiemu. Niestety, Profesora już nie będzie pośród uczestników sympozjum. Zmarł 14 stycznia bieżącego roku, w dziewięćdziesiątym ósmym roku życia.

Poznaniak osiadły w Krakowie, honorowy obywatel naszego miasta, Kawaler Orderu Orła Białego, był jedną z najważniejszych postaci nie tylko polskiej muzykologii, twórcą koncepcji interpretacji integralnej dzieła muzycznego. O jego działalności naukowej, wydawniczej, pedagogicznej, popularyzatorskiej można pisać tomy. Ale Profesor był przede wszystkim wspaniałym człowiekiem, zawsze ciekawym świata i innych ludzi. Potrafił pięknie i jasno tłumaczyć najbardziej zawiłe zagadnienia nie tylko z dziedziny muzyki. Był perfekcjonistą w każdym z rozlicznych swych zainteresowań. Mierzył siły na zamiary, wydawało się, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. To dlatego Polskie Wydawnictwo Muzyczne pod jego egidą stało się jedną z najważniejszych europejskich oficyn muzycznych. Jego liczni wychowankowie w pracach naukowych przejęli po nim rzetelność i szerokość widzenia zarazem.

Mimo nienajlepszego zdrowia niemal do ostatka był czynny. Zapytany, jak walczył z licznymi słabościami, mówił: „Jakoś je zwalczałem, a w tym zwalczaniu istnieje pewien imperatyw kategoriyczny do przewyższania tego wszystkiego, co przeszkadza w zrealizowaniu siebie”.



Niestety, tę walkę musiał w końcu przegrać.

Życzliwość dla świata nie przesłaniała Mu jego braków. Twierdził choćby: „W Krakowie potrzebne jest ustawiczne pobudzanie wyobraźni, pobudzanie działania, inaczej wszystko tu stoi w miejscu”.

Powinniśmy te słowa traktować jako testament Profesora.



Anna Woźniakowska – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.

Krystyna Podleska

Wysłuchał Jacek Balcewicz Zdjęcie: Jacek Balcewicz



Urodziłam się w Londynie w środowisku polskiej emigracji. I tam mieszkałam na stałe przez niemal pół wieku. Mój ojciec był żołnierzem generała Stanisława Maczka. Ja natomiast na jednej scenie w Londynie występowałam między innymi razem z Renatą Bogdańską, czyli... Ireną Andersową, w sztukach reżyserowanych także przez Mariana Hemara. Do Polski zaczęłam przyjeżdżać na wakacje do dziadków jako nastolatka. W zasadzie kręciłam się w Warszawie. Grałam też w polskich filmach, z reguły cudzoziemki.

Do Polski, i do Krakowa, na stałe przyjechałam 20 lat temu. Za mężem, reżyserem i aktorem Januszem Sztylowskim, który zdecydował się na powrót z emigracji. Początkowo bardzo się obawiałam Krakowa. W zasadzie nikogo tu nie znałam. Ale okazało się, że ludzie mnie znają. Uśmiechają się do mnie na ulicy, zaczepiają, zagadują... Nie mogłam uwierzyć,

że pamiętają mnie jeszcze z *Misia* Stanisława Barei, gdzie grałam u boku Stanisława Tyma. Najpierw zamieszkaliśmy na Kazimierzu, na placu Bawół. Ale był to inny Kazimierz od dzisiejszego. Taki bardziej prawdziwy. Zapamiętałam moje samotne wędrówki do Rynku i uczenie się miasta, które mnie pokochało z wzajemnością. Z moim poprzednim mężem dyrygentem Jackiem Kaspszykiem zjeżdżałam właściwie cały świat i mogę powiedzieć, że nie ma nigdzie na świecie drugiego takiego miasta jak Kraków. Nigdzie nie ma takiego klimatu, atmosfery, która bardzo mi odpowiada. I hejnału granego przez żywego człowieka, co godzinę... Odkąd wybudowaliśmy dom pod Krakowem, zupełnie nie ciągnie mnie do Londynu. Nie wyobrażam sobie już tam życia. Tu mam wspólnych przyjaciół i bezpośredni kontakt z naturą. To podczas długich spacerów z moim czarnym labradorem Hebanem uczę się tekstów do kolejnych ról...

Krystyna Podleska znana także jako **Christine Paul**. Początkowo uczęszczała do Królewskiej Szkoły Baletowej Royal Ballet „White Lodge”, której nie ukończyła, co nie przeszkodziło jej tańczyć w duecie z Gerardem Wilkiem, późniejszym solistą baletu Béjarta. W 1969 roku ukończyła Webber Douglas Academy of Dramatic Art w Londynie. Przez 15 lat występowała na deskach Teatru Nowego Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie, a także w Polskim Teatrze Dramatycznym w Londynie, Royal Court Theatre, Richmond Theatre, Phoenix Theatre Leicester, The Almost Free Theatre i Lyric Theatre. Przed kamerą debiutowała w *Na samym dnie* Jerzego Skolimowskiego. W Polsce zapamiętana została przede wszystkim

z roli Aleksandry Kozel, kochanki prezesa Ryszarda Ochódzkiego w filmie *Miś* Stanisława Barei. Wcześniej jednak pojawiła się w filmach Krzysztofa Zanussiego *Barwy ochronne* i *Kontrakt*. Główną rolę ofiarował jej Stanisław Lenartowicz w filmie *Za rok, za dzień, za chwilę...* Przez 13 lat występowała na scenie Teatru Ludowego „Pod Ratuszem” w monodramie *Mój boski rozwód*. Okazjonalnie gra w serialach. Z racji dwujęzyczności zajmuje się również tłumaczeniami na polski sztuk dramatycznych. Pracuje z reguły w tandemie z Anną Wołek (*Bez seksu proszę*, *Pan Inspektor przyszedł*, *Mój boski rozwód*, *Kamienie w kieszeniach*, *Przyjęcie*, *Dziewczyna z plakatu*, *Przerażony na śmierć* oraz musicale: *Mały lord* i *Tajemniczy ogród*).

Przez Kraków na Parnas

Tekst: Mieczysław Czuma

Nieskromnie pozwolę sobie zauważyć, że najprawdopodobniej udało mi się dociec, do czego nawiązywać muszą twórcy, aby ich dzieła mogły zyskać nieśmiertelność.

Na wysokim Parnasie od niepamiętnych czasów ciżba. Niewyobrażalna. A przecież są i tacy, którzy w tej wyświęconej już przez starożytnych mitycznej krainie arcymistrzów sztuk wszelakich zdołali zająć miejsca premiowane najwyżej. Którzy jednym tylko pociągnięciem pióra – fantazyjnie i z rozmachem – potrafili zapewnić swoim dziełom nieustające globalne powodzenie, raz na zawsze wyposażyć je w światowy sznyt.

No, taki choćby Jarosław Haszек, sąsiad z pobliskiego czeskiego podwórka. Stworzył postać niby-idioty, safandudy, poszturhańca, a tak po prawdzie wyrafinowanego kpiarza, filozoficznego przewodnika na wszelkie podłe i garbate czasy. Ordynans 11. kompanii marszowej 91. pułku piechoty z Czeskich Budziejowic to nie byle kto. To najsławniejszy wojak całej wielkiej wojny z początków XX stulecia. Haszек wiedział, jak zmotywować swojego bohatera, aby ten wyprawił się na front. Przesłanie całej powieści, wyjaśnienie, o co tak naprawdę toczy się ta cała wojna, przedstawił autor zaraz na początku w fundamentalnym wyznaniu Szwejka: „Walczyć będę... U góry włączą nam już do Krakowa...”. I to właśnie o potrzebie ratowania tego miasta czyta teraz świat (przygody Szwejka przetłumaczono na ponad 50 języków) i podziwia trafne wizje literackie autora. Kraków wprowadził Haszeka na Parnas.

Sto lat samotności to wyhodowana na poletku iberoamerykańskim Biblia realizmu magicznego. W tym pisarskim laboratorium sny przenikają się z rzeczywistością, marzenia przybierają kształty realne, czas daje się cofać w dowolną przeszłość. Gabriel García Márquez akcją swojego arcydzieła (ponad 50 milionów sprzedanych na całym świecie egzemplarzy) umieścił w nieistniejącym miasteczku Macondo. Ale ten bystry Kolumbijczyk zdawał sobie sprawę, że dla urealnienia preparowanej przez siebie magii, dla jeszcze większego pobudzenia wyobraźni, na karty tej powieści wprowadzić musi jeszcze jakieś inne, godne uwiecznienia miejsce. Jedną z bohaterek swój mroczny i poplątany żywot kończy więc tam, gdzie najlepiej przypasowało to autorowi („...zmarła ze starości w ponurym przytułku w Krakowie...”). I to był strzał w dziesiątkę. Nobel w roku 1982, szczyty Parnasu.

A w czym tkwi tajemnica oszałamiających sukcesów *Skrzypka na dachu*, najpopularniejszego musicalu wszechczasów? Od nowojorskiej prapremiery na Broadwayu (rok 1964) spektakl nie schodzi z repertuaru najsławniejszych scen świata. Amerykańscy twórcy widowiska znaleźli sposób nie tylko na to, aby pocieszyć w utrapieniach Tewje Mleczarza, bohatera, który wobec spadających na niego nieszczęść

zawzięcie wadzi się z Jahwe („Wiem, wiem, jesteśmy narodem wybranym. Ale mógłbyś Panie od czasu do czasu wybrać sobie jakiś inny naród...”). Arcymistrzowie tego gatunku w kluczowym momencie akcji zadbali jeszcze i o to, aby życiowa decyzja jednej z najważniejszych postaci całego dzieła godna była najwyższego szacunku. Po pogromie w Anietewce rodzina Tewjego rozprasza się po świecie. Jed-

Haszек wiedział, jak zmotywować Szwejka, aby ten poszedł na wojnę. Twórcy *Skrzypka na dachu* znaleźli sposób na to, aby ich dzieło stało się najpopularniejszym musicalem wszechczasów. Gabriel García Márquez uznał, że nie ma realizmu magicznego bez Krakowa.

ni jadą do Ziemi Świętej, inni do Warszawy, jeszcze inni do Chicago. A najukochańsza córka głównego bohatera, najmłodsza Chawa, dokonuje wyboru najtrafniejszego. Na deskach oper wszystkich kontynentów zdobywa serca widzów, kiedy oznajmia ojcu, że jedzie gdzie? Do Krakowa.

Jeszcze o swoich. Sienkiewicz na przykład zadbał o to, aby już najmłodszym nazwa miasta kojarzyła się megapozytywnie. Staś i Nell, bohaterowie *W pustyni i w puszczy*, uciekając przed porywaczami schronili się w potężnym baobabie i tę bezpieczną siedzibę nazwali Krakowem. Mistrz takiej narracji musiał doczekać Nobla.

I na koniec już całkiem skromnie wyznaję, że przytoczone tu przykłady to sam początek długiej, ale i urzekającej drogi. Warto zaprezentować światu podobne owoce światłych twórców, którzy wiedzieli, gdzie szukać natchnienia zapewniającego sukces. Przed polonistami, miłośnikami dobrej literatury, otwierają się perspektywy fascynujących poszukiwań. Zachęcam.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Ostatni taki klezmer

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Odszedł Leopold Kozłowski. Był tą częścią Krakowa, którą nie tylko zabrałam ze sobą do Warszawy, ale zabiorę wszędzie, i chcę ją pielęgnować, jak on pielęgnował świat, którego już dawno nie ma, a którego iluzję podtrzymywał tak pięknie.

Moja pierwsza dorosła wyprawa do Krakowa zaczęła się na Kazimierzu i nic innego mnie w ogóle wtedy nie interesowało. Później dobry los chciał, że nie tylko bywałam tam prywatnie, ale i służbowo. Miałam też zaszczyt dosiadać się do pana Leopolda przy jego stoliku w Klezmer Hois, rozmawiać i śmiać się, a nawet przyjmować jego oświadczenia, bo oświadczał się często i chętnie, nie tylko mnie oczywiście. I zawsze był przyjmowany.

Leopold Kozłowski-Kleinman. Wspaniały artysta, potem autorytet, dobry duch i wreszcie legenda muzycznego Krakowa, z którym związany był

dzień o nich więcej. I zrozumieć, dlaczego właśnie Jackowi Cyganowi dał się pan Leopold namówić, aby opowieść o swoim niełatwym życiu zapisać w książce. Ta książka nosi tytuł *Klezmer* i wyjaśnia, że można zatrzymać czas.

Tym, co łączyło Kozłowskiego i Cygana, była oczywiście muzyka. Ale był też humor. Szmonces, żart, improwizacja oraz samo życie, które komentowali w sposób fantastyczny i cudownie politycznie niepoprawny. Wiele z tych z życia wziętych anegdot Jacka zapisał w *Klezmerze*. Humor stanowił nieodłączny element ich wielu, wielu wspólnych koncertów, które nie tylko w Krakowie gromadziły tłumy, a na scenie najlepsze krakowskie głosy, nauczono przez pana Leopolda każdego niuansu muzyki żydowskiej. „Nie dość, że goj, to jeszcze Cygan!” – przedstawiał zawsze Leopold Kozłowski Jacka Cygana i dodawał żartobliwie: „I z kim ja muszę pracować...”.

Zadzwoiłam do Jacka Cygana w poniedziałek, zapytał, czy nie chciałby porozmawiać ze mną do mojego krakowsko-warszawskiego felietonu. Powiedział, że jestem spóźnialska, bo oczywiście „Kraków” już go zaprosił. I powiedział mi też, że pan Leopold jest w szpitalu. We wtorek przyjechałam z Warszawy i chciałam pójść się pożegnać. Nie zdążyłam. Tego samego dnia pan Leopold odszedł.

Dzwonił raz na kilka tygodni i pytał o muzykę, która zainteresowała go w radiu, zawsze prosił o pomoc w rozszyfrowaniu, co to. Nagrywałam mu płyty z ulubionymi utworami. Sam o muzyce mówił w taki sposób, że stawała się dostępna dla każdego. Bez barier. Powiedział mi też kiedyś, że klezmerzy, jak górale, powinni trzymać skrzypce daleko od głowy, ale niżej, blisko serca.

Miał 100 lat. Nawet sobie nie wyobrażaliśmy, jak będzie bez niego.



Magdalena Miśka-Jackowska – kierownica z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjer związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pół roku w Warszawie.

Uważał, że muzyka żydowska to muzyka niuansów i nie da się wszystkiego zapisać w nutach. Bo jak zapisać, gdzie trzeba załkać?

od zakończenia wojny. Kiedy przyjechał tu po raz pierwszy jako młody żołnierz, zobaczył okaleczone miasto. Muzyką postanowił te rany choć trochę zaleczyć. Dyrygent, pianista, kompozytor. Zawodowo wskrzeszający czasy żydowskiego miasta i żydowskiego szteti. Wiele o tym rozmawialiśmy, bo był przecież także kompozytorem muzyki filmowej, a dla Stevena Spielberga konsultował w *Liście Schindlera* muzykę getta i sam zagrał w tym ważnym dla całego świata filmie. Na jakiś czas związał się z Teatrem Żydowskim w Warszawie, opracował również co najmniej sześć inscenizacji *Skrzypka na dachu*. Nic dziwnego, że przyjeżdżali do niego na Kazimierz klezmerzy z wielu krajów.

Kucharz. I to znakomity! Zapraszał na gęsi pipek albo gicz indyczą receptury swojej mamy. Jednak ze wszystkich rodzinnych receptur najważniejsza była sztuka. Urodził się w Przemyślanach, niedaleko Lwowa. Rodzina miała znakomite muzyczne tradycje, a wszyscy synowie jego dziadka, w sumie jedenastu, zostali muzykami. Nawet Mozartowi potrafilo dołożyć chasydzki zaśpiew. Mówił, że klezmerem trzeba się urodzić, ale... Mówił też, że jeśli się to bardzo pokocha, można być świetnym artystą muzyki klezmerskiej. Wychował kolejne pokolenia solistów, w których nie było już żydowskiej krwi, ale wielkie serce do tradycji. Uważał, że muzyka żydowska to muzyka niuansów i nie da się wszystkiego zapisać w nutach. Bo jak zapisać, gdzie trzeba załkać?

Niedługo po tych wszystkich cudownych, muzycznych rozmowach poznałam pana Leopolda trochę na nowo, w oczami, wrażliwością i przyjaźnią Jacka Cygana. Przez wiele lat byli pięknym duetem przyjaciół na scenie i w życiu. Trzeba było usłyszeć to „Poldeczku” i „Jaceńku” na własne uszy, żeby wie-

Błysk i łemkowski sen

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Bywają takie chwile, że i Kraków się człowiekowi znudzi – ile można pić i palić, rozmawiać o polityce, roztrząsać kolejne romanse i jeszcze częstsze rozstania wśród krakowskiej bohemy?

Choć trudno w to uwierzyć, bo przecież skandale towarzyskie i awantury światopoglądowe to tętno Krakowa, czasem chce się od tego wszystkiego solidnie odpocząć i przestać zadawać sobie rozpaczliwe pytania „kim jestem?” (a padają one zazwyczaj pod koniec weekendu). Można zamknąć się w domu i nie odbierać telefonów, nie włączyć na fejsa, można oglądać serial *Z biegiem lat, z biegiem dni*, żeby z przekazem stwierdzić, że krakusy to się jednak nie zmieniają. Można też wyjechać i na jakiś czas rozpuścić się we mgle.

I tak na przykład Irek Dańko, wokalista krakowskiego zespołu Kremłowskie Kuranety, ucieka z Krakowa na wieś łemkowską do pięknego Uhrynia, gdzie strumyk cicho szmerze i dziecielina pała. Dwie godziny samochodem, z przerwą na pierogi z pokrzywą i ogórecznikiem w Starym Sączu, i człowiek niknie w łemkowskiej głuszy, zapomniany osuwa się w zieleń tak, jakby nasz gatunek nigdy nie istniał, i stoi jak wryty, zawstydzony pięknem natury – cisza wlewa się do uszu, aż boli, nie ma zasięgu (choć dziennikarz Rafał Romanowski uparcie szukał go, biegając wte i wewte z dwoma telefonami trzymanymi wysoko nad głową, natura pokazała mu środkowy palec), zjeść można wspaniały bundz od sąsiada, przed którego domem stoi wbity na pal dumny i prawdziwy barani łeb, a na ognisku można sobie podsmażyć świeżutkiego pstrąga. Łemkowski sen jest niepodobny do czegokolwiek innego – kto zna ból bezsennych nocy i choć raz wziął tabletkę o działaniu szybko spuszczonej kurtyny, ten wie, jakim luksusem jest spokojnie zasnąć i obudzić się szczęśliwym. Ale tu dzieje się jeszcze coś innego, pierwotnego, jakby wziętego ze wspomnień schowanych gdzieś na długo przed naszymi narodzinami. Łemkowski sen to nie zwykłe spanie, a wepchnięcie w przyjazną ciemność. I to wszystko bez alkoholu i innych wspomagaczy!

Na drugi dzień człowiek wstaje, rozpała stary piec w łemkowskiej chacie, wyciąga świeży chleb, miód i masło, i myśli o tym, że mógłby tu tak po prostu umrzeć. Na dodatek miałyby piękne widoki, jak pochowany na urokliwym cmentarzu w Leszczynach młody pisarz Mirosław Nahacz (to rodzinna wieś jego matki), którego imię i nazwisko wyryto w języku polskim i cyrylicą. Stare cerkwie w Leszczynach, Kunkowej czy Bodakach

od razu wzbudzają wyrzuty sumienia u tych, co nieobdarzeni łaską wiary, a u tych, co wierzą, natychmiastową chęć wypowiedziania się ze wszystkich grzechów życia nie tylko własnego, ale i całego narodu. Jak człowiek choć jeden raz to wszystko zobaczy, dotknie żeliwnych, pokrytych ornamentami winorośli bram do starego świata, to wróci do Krakowa całkiem inny. Z efektem tak zwanego psychologicznego błysku.

Błysk, jak sama nazwa wskazuje, nachodzi człowieka nagle i niespodziewanie, jak biblijny Paweł naszedł Szawła. Po błysku człowiek

Czasem wystarczy dotknąć trochę natury, pobyc z przyjaciółmi i wyściubić nos poza Kraków, by poczuć, że świat się jeszcze nie kończy, a my jesteśmy coś warci.

doznaje całkowitego przebudowania osobowości, a splątane dotąd myśli nagle robią się gładkie jak mozzarella na pizzy, wszystko wydaje się aż nazbyt oczywiste i nabiera innego wymiaru. Wszelkiej maści terapeuci, psychologowie, eksperci od dobrego samopoczucia po prostu nas oszukują, że człowiek osiągnie spokój po latach zwierzeń w gabinetach i treningach wybaczenia rodzicom, mężowi i teściowej. Czasem wystarczy dotknąć trochę natury, pobyc z przyjaciółmi i wyściubić nos poza Kraków, by poczuć, że świat się jeszcze nie kończy, a my jesteśmy coś warci. A potem rzucić się miastu na szyję.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskaliami”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą” i portalem publicystyczno-społecznym Polska Ma Sens. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień marketingowiec i dziennikarka „Codziennika Feministycznego”.



Krakowska Książka Miesiąca

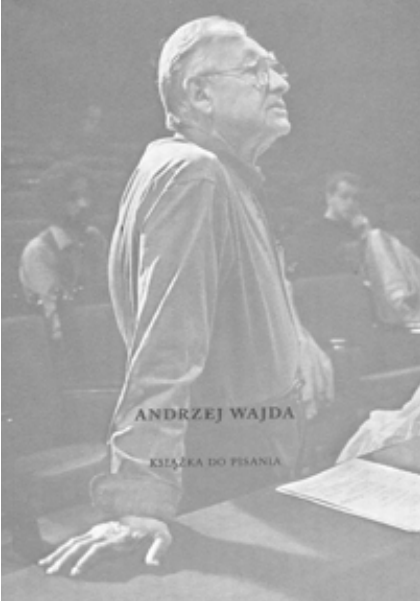
Krakowski muzykolog Mateusz Borkowski wydał *Organy na krańcach świata* – zapis rozmów ze znanym organistą prof. Markiem Stefańskim, który podróżuje po świecie, uprawiając „turystykę organową”, zarezerwowaną dla wirtuozów tego instrumentu. Koncertował w Ameryce Południowej i Korei, Stanach Zjednoczonych, Europie... Współczesność i egzotyka... Dostojność koncertów i często pracowite noce podczas prób – sam na sam z potężnym instrumentem, w przestroni olbrzymich świątyń i niewielkich kościołków. Spotkania z kościelnymi hierarchami, muzykami i pasjonatami organów. To codzienność prof. Stefańskiego podczas podróży do organów. Największe wrażenie wywarły na nim wyjazdy do Rosji i Białorusi. Z jednej strony egzotyka tych miejsc, z drugiej – muzykalność społeczeństwa i dziesięciolecia prześladowań wiary oraz dewastacji świątyń. Najmniej ucierpiały te posiadające pięknie brzmiące organy, dzięki którym zamieniane były na *koncertne zały*. Dość wspomnieć kościół Marii Magdaleny we Lwowie czy neogotycką świątynię wybudowaną w XIX wieku przez Polaków w Irkucku.

Po lekturze tej książki organy zabrzmiały dla nas innym dźwiękiem...

PS Z autorem będzie się można spotkać 28 kwietnia o godz. 18.00 w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”.

Janusz M. Paluch

Mateusz Borkowski, *Organy na krańcach świata*, Wydawnictwo Petrus, Kraków 2019.



Andrzej Wajda wielokrotnie filmami, przedstawieniami, wypowiedziami dawał powody do refleksji, wzruszeń, przemyśleń, oburzenia, radości. Tym razem zachęcał do uprawiania z sobą tak zwanej twórczości równoległej. Czytamy między innymi takie oto zdania Artysty: „Moim filmom można zarzucić wszystko, tylko nie to, że są dydaktyczne” lub „Jeszcze niedawno wydawało mi się, że jestem ostatnim, który posługuje się wiecznym piórem” albo „Wesele Stanisława Wyspiańskiego należy do najwspanialszych arcydzieł teatralnych polskiej literatury”, i mamy dwie wolne strony na wyrażenie własnej refleksji. Te niezapisane karty prowokują, zadają pytanie: a jakie ty, czytelniku, masz na ten temat zdanie? Możemy złapać za wieczne pióro, długopis czy ołówek i zapisać swoje skojarzenia, reminiscencje, coś narysować lub wkleić obrazek. Książkę ozdabiają zdjęcia Wojciecha Plewińskiego, ale możemy też ozdobić ją własnymi. Słowem: tworzyć książkę wspólnie z Andrzejem Wajdą. Dano nam taką szansę, więc trzeba korzystać!

(as)

Andrzej Wajda, *Książka do pisania*, Wydawnictwo Austeria, Kraków– Buda-
peszt–Syrakuzy 2018.



Trafiasz do szpitala. Pal diabli, dlaczego. Na pewno nie może to być tak poważna sprawa, byś ruszyć palcem nie mógł. Co wtedy robisz? Telewizor losowany na żetony? Czytelnia? W tej nieoczywistości? Chyba że ze słuchawkami na uszach i mocnym rockiem w odtwarzaczu.

Ale już w szpitalu pisać? Tworzyć? Nie, to coś więcej niż wyzwanie. To katusze. Widowisko samo w sobie warte celebracji i opisania.

Mikołajewski postanawia opisać te chwile, gdy wyciągasz, naiwny twórco, laptop, rozkładasz go na kółdrze (siedzisz, kucasz, półsiedzisz?) i mniej lub bardziej rytmicznie stukasz w klawiaturę.

A tu rozmowy o wujku i serial *Rancho* puszczały na okrągło, bo właściciel, który pilota wygrał, ma bez liku żetonów.

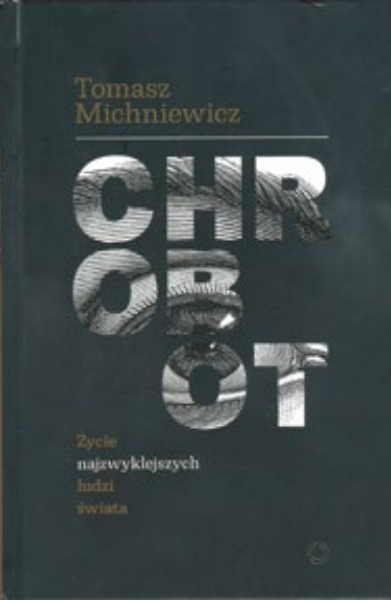
Więc może jednak czytać? Ale jaki tytuł znieś utyskiwania wokół nad babcią, która musi coś pilnie podpisać w związku ze swym zdrowiem? Albo z księdzem, który namawia na komunię? Albo z policjantami, którzy niemo siedzą przed jedną z sal, pilnując przestępcy, więźnia, świadka koronnego.

I wspomnienia z dzieciństwa, tłumaczące co to kirkut. I zapach ojca, który odszedł. I wiersz naszkicowany, choć wystukany na laptopie.

Ta miniatura miniatury (stron bez mała 40) pióra Mikołajewskiego to jeden z najmocniejszych zapisów choroby w wieku późno-średnim.

Czyta się. (wb)

Jarosław Mikołajewski, *Szpitalne*, Austeria, Kraków 2018.



Skoro już próbuje opisywać współczesny świat, to mógłby to robić poprzez reporterskie portrety znanych jego osobistości bądź opisy spektakularnych wydarzeń. Jako dziennikarz z siłą przebicia miałby przecież takie możliwości – zresztą swego czasu relacjonował wybory Obama kontra McCain i operacje sił specjalnych w Afganistanie oraz przekazywał sprawozdania z obozu nepalskich maoistów i legendarnego więzienia dla najgroźniejszych przestępców San Quentin.

Ale on postanowił pokazać rzeczywistość przez losy siedmiorga dzieci z różnych miejsc globu: Miki z Finlandii i Juanity z Kolumbii, Kanae z Japonii i Madhuri z Indii, Reilly’ego z Zimbabwe na południu Afryki i Marggie z Ugandy w samym środku Czarnego Łądu, a wreszcie Casey’ego ze Springfield w Missourii, w tak zwanym Pasie Biblijnym Stanów Zjednoczonych. Taka jednostkowa i lokalna perspektywa pozwala wskazać na globalne problemy – ale przecież i radości! – naszych czasów tyleż precyzyjnie, co przejmująco. I choć polityka dociera wszędzie, to okazuje się też, że nie wszystko musi od niej zależeć. Równie ciekawe są ludzkie obyczaje czy psychika.

PS Tak się składa, że Tomasz Michniewicz podróżuje po najdalszych zakątkach świata, zawodowo udziela się zwykle w Warszawie (m.in. w radiowej Trójce i radiu Zet), lecz swoje często nagradzane książki wydaje w Krakowie.

(kb)

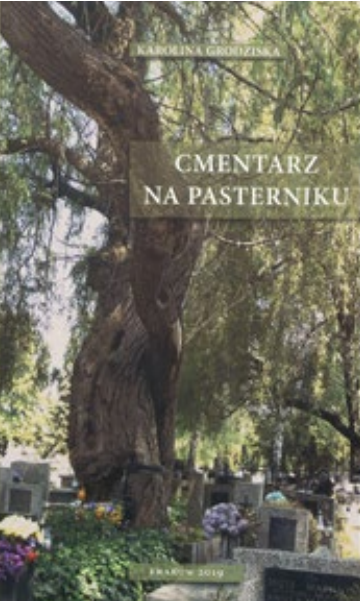
Tomasz Michniewicz, *Chrobot. Życie najzwyklejszych ludzi świata*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2018.



Dzieje, zabytki i kultura Krakowa są niewyczerpanym źródłem do badań dla polskich historyków. Potwierdza to zbiór tekstów poświęconych sylwetkom kolejnych krakowskich dziejopisów, poczynając od Jana Długosza i Macieja z Miechowa, po żyjących w XX wieku, na przykład Henryka Batowskiego, Ludwika Piotrowicza czy Janinę Bieniarzównę. Związani z Krakowem dojrzewali w jego intelektualnym klimacie, by potem przekazywać wiedzę swym wychowankom. Uformowało się wielopokoleniowe środowisko, niezapominające o dokonaniach poprzedników. Kraków stanowił i stanowi atrakcyjny cel badań – dawniej i teraz – jako ośrodek kultury i stolica polskiej pamięci. Niniejsze opracowanie daje świadectwo ciągłości dziejów historyków pod Wawel – tu pracujących i też o tym mieście przekazujących wiadomości. Jest też przykładem, że historycy pracowali i pracują nie tylko nad ukazaniem przeszłości, ale i oni sami stanowią ciekawy temat.

(ed)

Krakowskie środowisko historyczne XV-XX w. Ludzie – idee – dzieła, pod red. T. Gąsowskiego i J. Smołuchy, Polska Akademia Nauk i Wydawnictwo Naukowe Akademii Ignatianum, Kraków 2018.



Cmentarz w Bronowicach, położony na łagodnym wzgórzu przy ul. Pasternik, istnieje już ponad 100 lat. Jego dzieje, specyfikę i sylwetki wielu pochowanych tam osób opisała Karolina Grodziska, autorka monografii kilku innych krakowskich nekropoli. Na bronowickim cmentarzu swoje grobowce mają choćby przedstawiciele chłopskich bohaterów *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego – Mikołajczykwie, Czepcowie, Klimowie, a także Rydlowie. Na Pasterniku spoczywa również Włodzimierz Tetmajer, jego żona Anna oraz syn Jan Kazimierz (zginął w 1920 roku na Wołyniu, walcząc jako ułan). Inskrypcje na grobach przywołują losy ludzi, którzy na bronowickim cmentarzu znaleźli miejsce wiecznego spoczynku: są wśród nich powstańcy, żołnierze, zesłańcy syberyjscy, więźniowie hitlerowskich obozów i ofiary systemu komunistycznego, a także znani artyści i uczeni. Książka zawiera ich skrupulatny wykaz (wraz z notkami przypominającymi życiorysy i zasługi).

Konieczne należy zwrócić uwagę na piękne fotografie cmentarza, oddające jego klimat i urok niektórych nagrobnych rzeźb, dekoracji i inskrypcji.

Czyta się znakomicie – i jako opowieść o miejscu, i historiach ludzi tam pochowanych.

(ed)

Karolina Grodziska, *Cmentarz na Pasterniku*, fotografie: Zbigniew Kos, wyd. nakładem własnym, Kraków 2019.



Tennessee Williams
**SZKLANA
MENAJERIA**
reż. Filip Gieldon

9–12 maja
godz. 19.00

STREFA
K-805

rezerwacja
tel. 12 422 66 77
www.bagatela.pl
www.teatr.pl

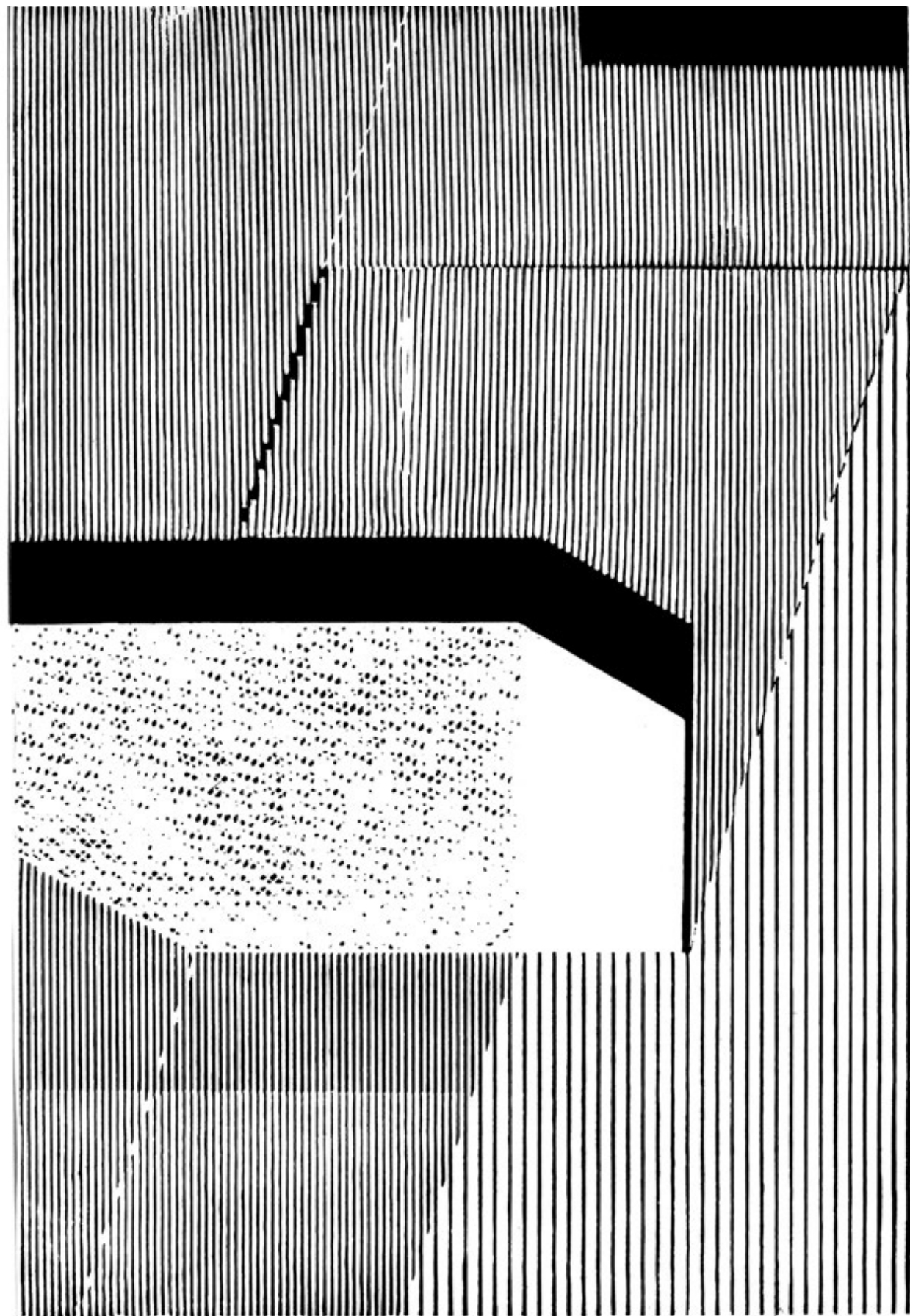
Szymanowskiemu grajmy

Zdjęcie: Jakub Ociepa. Za zgodą Filharmonii Krakowskiej



„Muzyka nasza musi odzyskać odwieczne swe prawa: bezwzględnej wolności, zupełnego wyzwolenia z jarzma stworzonych »wczoraj« norm i nakazów” – pisał Karol Szymanowski w roku 1920. Koncerty sygnowane hasłem Szymanowski/Polska/Swiat są okazją do przypomnienia trzech żywiołów obecnych w muzyce patrona Filharmonii Krakowskiej: pieśni, muzyki kameralnej oraz symfoniki. Prócz ważkich koncertów wizytówką przedsięwzięcia jest trwająca niemal do końca kwietnia wystawa poświęcona życiu i twórczości Karola Szymanowskiego. Powstała głównie na podstawie materia-

łów znajdujących się w Archiwum Kompozytorów Polskich Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, w którym przechowywana jest spuścizna kompozytora. Wykorzystane zostały stare fotografie z albumu rodzinnego Szymanowskich, listy, dokumenty i autografy jego dzieł. Tylko w kilku przypadkach ilustracje zaczerpnięte zostały z innych źródeł – dostępnych publikacji oraz internetu. Ekspozycja była już między innymi w Warszawie, Toruniu, Bydgoszczy, Katowicach, Zakopanem, miała też edycje zagraniczne: w Pradze, Wiedniu, Brukseli, Düsseldorfie i Pekinie.
jw, kb

Ryszard Otręba, *Upamiętnienie I*, gipsoryt, 76 x 52 cm, 1999

■ Nowe/stare kino na placu Nowym

Kazimierz staje się przystanią dla wędrującego kina Ars. Przeprowadzka z ulicy św. Tomasza ma finał w samym centrum placu Nowego, czyli na pięterku Okrągłaka. Kto pamięta czasy, kiedy w obecnym klubie Cocon mieściło się kino, ten wie, że seanse filmowe w historycznej dzielnicy żydowskiej to nie nowość, a kontynuacja kinofilskiej tradycji. Prowadzone są prace związane z przystosowaniem Okrągłaka dla potrzeb kina – przyznaje Stanisław Wiśniowski, prezes spółki Kazimierz, która zarządza targowiskiem na placu Nowym. Po wykończeniu wszystkich instalacji będzie to pierwsza w mieście okrągła sala kinowa wyłożona kafelkami, które stanowią pozostałość po funkcjonującej kiedyś w budynku rzeźni. Czy można przypuszczać, że działalność kina pod nowym adresem rozpocznie seans *Rzeźni numer pięć* lub kolejnej części filmu *Piła*?

■ Conradowe niedole

Czy Festiwal Conrada, organizowany od 10 lat przez Fundację „Tygodnika Powszechnego”, Miasto Kraków i Krakowskie Biuro Festiwalowe podzieli los wrocławskiego Dialogu i poznańskiej Mały? W tym roku Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego odmówiło festiwalowi dotacji, uznając, że nie jest on strategicznie ważny dla polskiej kultury (festiwal uzyskał zaledwie 19 na 30 punktów według ekspertów ministerstwa). Wygląda na to, że kultura polska w ministerialnej wizji nie potrzebuje spotkań z najwybitniejszymi współczesnymi pisarzami (laureatami Nobla: Hertą Müller, Swietłaną Aleksijewicz czy Orhanem Pamukiem, a także między innymi Arundhati Roy, Paulem Austerem, Jonathanem Franzenem) ani warsztatów literackich dla młodzieży szkolnej. I że powinna rozwijać się na własnym poletku, odgradzona od reszty świata zasiekami. Możemy mieć jednak powody do zadowolenia, bo właśnie powstaje Instytut Literatury, który niebawem podniesie wskaźniki czytelnictwa w kraju co najmniej o 500 proc.

■ MOCAK – Bunkier, dwa bratanki?

Od kilku lat pojawiają się głosy o połączeniu MOCAK-u i Bunkra Sztuki w jedną instytucję poświęconą sztuce współczesnej. Wobec impasu dyrektorskiego w Bunkrze pojawiła się już idea uczynienia galerii częścią MOCAK-u. Pomysł wywołał sprzeciw zarówno pracowników miejskiego BWA, jak i środowiska ar-

tystycznego. Problemem jest nie tylko konflikt interesów galerii, która – wedle wielu – utraciłaby podmiotowość i niezależność, ale model funkcjonowania i odmienne przeznaczenie obu instytucji. W dyskusji o fuzji muzeum i galerii pojawiają się jednak także głosy o oszczędności takiego rozwiązania. Szefowa MOCAK-a Maria Anna Potocka, dyrektorka Bunkra Sztuki w latach 2002–2010, została ponownie powołana na to stanowisko. Artyści i miłośnicy są znów podzieleni. Dyrektorkę czeka intensywny rok zarówno merytorycznie, jak i administracyjnie. W Bunkrze już niedługo rozpocznie się generalny remont oraz przebudowa budynku. Czy remont dotyczyć będzie też wizji przyszłej działalności?

■ Odszedł król piwnicznego jazz-lifestyle'u

Kto pamięta starszego zawadiackiego pana, legendę piwnic muzycznych naszego miasta? Gdy w klubie Awaria kilku długowłosych metalowców w skórach, ćwiekach i tatuażach znosiło po stromych schodach wózek inwalidzki, można się było spodziewać, że za chwilę przy fortepianie zasiądzie Jerzy Bożyk. Czym byłoby nasze życie nocne bez legendy Starego Miasta, nieśmiertelnego piśsudczyka, który w pełnym umundurowaniu wywijał jazzowe standardy oraz autorskie kabaretowo-wywrotowe przeboje? Krzysztof Burnetko do dziś wspomina Jerzego Bożyka, grającego w latach 80. ubiegłego wieku w piwnicy Dworku Białoprądnickiego porywający *Blues alkoholika*. Czy pamiętacie jego kampanie wyborcze do parlamentu, równie barwne jak koncerty? Nikt z podobnym wdziękiem nadwiślańskiego Louisa Armstronga nie grał na najbardziej rozstrojonych instrumentach. Urodził się 7 maja 1941 roku we Lwowie, w roku 1959 ukończył liceum muzyczne w Łodzi, gdzie odkrył dla świata muzyki szkolnego kolegę Michała Urbaniaka. Wykształcony wokalista i teatrolog, interpretator i promotor piosenki turystycznej, studenckiej, kabaretowej, słowackiej i niepodległościowej, jedna z twarzy Letniego Festiwalu Jazzowego w Piwnicy pod Baranami (obecnie Summer Jazz Festival Kraków) zmarł 16 lutego 2019 roku w Krakowie. Będzie go nam brakowało, tak jak wielu niebieskich ptaków Krakowa. Niech pozostanie legendą świata sztuki i człowiekiem wolności w naszych sercach.

Opracował Jakub Wydrzyński

KONKURS

Drodzy Czytelnicy!

Zdarza wam się czytać „wiersze na murze” przy ulicy Brackiej? Oto szansa, aby zabrać je ze sobą do domu! Mamy do rozdania po egzemplarzu trzech tomików poezji Michała Zabłockiego: *Błogostan*, *Janowska* oraz *Koleżanka mojej żony*, czyli *błogostan*. Wszystkie oczywiście podpisane przez Autora.

Zainteresowanych prosimy o wymienienie trzech artystów estrady, dla których teksty pisał lub pisze poeta. Odpowiedzi prosimy o wysyłanie na adres e-mail redakcja@biblioteka.krakow.pl.

krakow.pl. Jeżeli interesuje was konkretny tytuł, napiszcie to w wiadomości. Książki powędrują do pierwszych trzech osób, które wyślą wiadomość o wskazanej treści.

Zamiast czytać poezję, wolicie obejrzeć dobry film? Mamy dla was zaproszenie na jeden z pokazów specjalnych festiwalu Off Camera! Szczegóły konkursu pojawią się na naszym facebookowym fanpage’u 1 kwietnia: polub nas i wybierz się z „Krakowem” do kina!



Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!
Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznikkrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Małatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski.
Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.
Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń
Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.
Kontakt: Aneta Mastela-Książek aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl, tel.12/61 89 120
Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)
Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).
W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.
Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.
Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

W następnym numerze:



Kraków w Europie, Europa w Krakowie

Muzyka i kino – związek na zawsze

Jakub Ciećkiewicz: Grzech sprayowy na murach miast

Teatr Łaźnia Nowa i Teatr Variété – ciekawa twarz kultury



Uznanie z samego Wawelu płynące? Jesteśmy zaszczyceni!

Podobnie, jak jesteśmy dumni z faktu bycia patronem medialnym naszego Zamku Królewskiego.

Bezpiecznie, czyli pod obserwacją?

Twarde dane wskazują, że w Krakowie systematycznie spada liczba przestępstw. Ale czy krakowianie też to odczuwają?



Poczucie bezpieczeństwa to w końcu doznanie subiektywne, a w przypadku dużych miast – liczy się również doznanie zbiorowe. Ale i tu nie jest źle. Otóż według badań prowadzonych od 2014 roku poczucie bezpieczeństwa mieszkańców Krakowa rośnie. W 2014 wynosiło 56 proc., w 2018 zbliża się do 90 proc. W niektórych dzielnicach, na przykład na Prądniku Czerwonym, przekracza 95 proc.

Jednak Łukasz Wantuch, radny tej dzielnicy, ma inne poczucie. Zaproponował (i zarezerwował w budżecie miasta na 2019 rok pieniądze) program „System Pomocy 112”. Przewiduje on instalację 3 tysięcy kamer za 3 miliony złotych, który pilotażowo ma zostać przeprowadzony... na Prądniku Czerwonym. A że w przyszłości ma objąć kolejne dzielnice, szacowany koszt całego przedsięwzięcia wyniesie minimum 100 milionów! I to bez uwzględnienia kosztów operacyjnych (w tym choćby osobowych).

Stąd w ramach cyklicznych projektów „Miasto Pomysłów” i „Pustostan” 22 lutego w Pawilonie Wyspiańskiego odbyła się debata na temat systemu monitoringu miejskiego: „Czy w Krakowie czujemy się bezpiecznie?”, prowadzona przez Tomasza Janowskiego z udziałem oponentów – radnego Łukasz Wantucha i Katarzyny Szymielewicz z Fundacji „Panoptykon”, a także ekspertów.

Przebieg dyskusji wskazywał na krytyczny stosunek do właściwie każdego elementu propozycji radnego. Poza tym, że kierują nim dobre intencje i rzeczywista troska o sąsiadów.

Dyskutanci jednak zgodzili się co do jednego: przed monitoringiem nie da się uciec, trzeba jednak oszacować jego koszt oraz starać się zapobiec nadużyciom i wynaturzeniom

Było ciekawie. (red.)

Fot. „Pustostan”

Redakcja „Krakowa”

*Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy*

Opracował Paweł Kopeć

Kropka pod Mi

– Kropka musi zniknąć! – oświadczył prezes fundacji Zawsze Warto Marek Wasiak. Na poparcie swojego roszczenia powołał się na autorytet Rady Języka Polskiego i językoznawcy prof. Jana Miodka, który *nota bene* sprowokował całe zamieszanie.

Chodzi o kropkę w inskrypcji „Adamowi Mickiewiczowi Narod.”, która znajduje się na pomniku wieszczu na Rynku. Napis w takiej formie istnieje przynajmniej od 1955, kiedy to zburzony w czasie wojny pomnik został odbudowany. Teraz jednak Rada Języka Polskiego wskazała, że „jednozdaniowa inskrypcja na pomniku, gmachu itp. nie powinna być wieńczona kropką”.

Do uroczystego usunięcia jednak nie doszło – pełniąca obowiązki wojewódzkiej konserwator zabytków Dominika Długosz cofnęła wydaną pierwotnie zgodę, powołując się na względy historyczne: kiedy pomnik został postawiony, inskrypcja – jak teraz – kończyła się kropką.

Las wraca do Krakowa

8 proc. zalesienia Krakowa do 2040 roku – deklarują krakowscy radni. Choć dyskusje wokół Powiatowego Programu Zwiększania Lesistości trwają przynajmniej od 2016 roku, to dopiero teraz radni podjęli uchwałę, regulującą wdrożenie programu w życie. Sprawa jest pilna, ponieważ w tej chwili lasy pokrywają zaledwie 4,3 proc. powierzchni miasta. Nie możemy się więc nawet równać z rzekomo bardziej zindustrializowanym sąsiadem: w Katowicach lasy stanowią aż 39 proc. powierzchni miasta.

Przed trzema laty prognozowano, że docelowe 8 proc. uda się osiągnąć już w 2023 roku. Dlatego więc teraz mowa jest dopiero o 2040? Realizacja PPZL-u ma wiązać się z dużymi wykupami gruntu, na co miasto ma ograniczone środki. Na prawdziwie zielony Kraków przyjdzie nam jeszcze poczekać. Ale lepiej późno niż wcale.

Rys. Małgorzata Tabaka

Niepodległość pod chińskim patronatem

Co ma wspólnego Józef Piłsudski i Konfucjusz? Takie pytanie zadaje sobie z pewnością każdy, kto w trakcie spaceru minie dom marszałka przy ulicy Oleandry. Właśnie na skwerze nieopodal miejsca, z którego niegdyś wyruszała Kompania Kadrowa, stanął pomnik chińskiego myśliciela. Jego kuriozalne położenie wykpiła na Facebooku Fundacja Instytut Architektury. „Pomijając

jedyną w swoim rodzaju urodę tego dzieła, zachodzimy w głowę, dlaczego figura upamiętniająca chińskiego filozofa sprzed dwa i pół tysiąca lat nie trzyma pionu? Czy to jest jakiś sekretny znak, komentarz, podpowiedź?” – piszą przedstawiciele fundacji.

Właścicielem pomnika okazał się Uniwersytet Jagielloński, a konkretnie – Instytut Konfucjusza UJ,

który jest właśnie w trakcie przeprowadzki do nowego budynku przy ulicy Oleandry 2. Dlatego Adrianna Ochalińska, rzeczniczka UJ, zapewnia, że pomnik zniknie ze skweru już w maju, razem z otwarciem nowej siedziby Instytutu. Tam ustawiony zostanie w Ogrodzie Chińskim, zachęcając studentów kierunków dalekowschodnich do refleksji nad tajemnicą bytu.



Rys. Piotr Błachut

Rysowanie GPS-em

„100 AGH” – taki napis pojawił się na Morzu Śródziemnym. Stał się widoczny dla każdego, kto śledził sygnał GPS wysyłany przez żagłowiec STS Pogoria. Statek ten płynął w „Rejsie 100-lecia AGH”, który odbył się w ramach obchodów jubileuszowych krakowskiej uczelni.

Już w trakcie rejsu jego uczestnicy – pracownicy, studenci i absolwenci AGH zaproponowali pani kapitan wykonanie wspomnianego „napisu”. Aby go utworzyć, żagłowiec musiał przepłynąć trasę ponad dziesięć mil morskich, wykonując precyzyjne manewry, by napis był czytelny i wyraźny dla każdego, kto śledził trasę Pogorii poprzez GPS.

Iście inżynierski sposób na uczczenie urodzin!

Sukiennice pękają w szwach!

Choć określenie to mogłoby wskazywać na mnogość turystów, którzy każdego dnia odwiedzają najstarszą w Polsce galerię handlową – czy to kupując pamiątki, zwiedzając podziemia Rynku czy zażywając kultury wysokiej w Galerii Sztuki Polskiej XIX wieku – to niestety Sukiennice pękają dosłownie. Pierwsze z pęknięć zaobserwowano od strony ul. Brackiej, drugie na sklepieniu wewnątrz głównej hali. – Wygląda, jakby narożnik odsuwał się od reszty budynku – opowiada Maciej Wilamowski ze Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

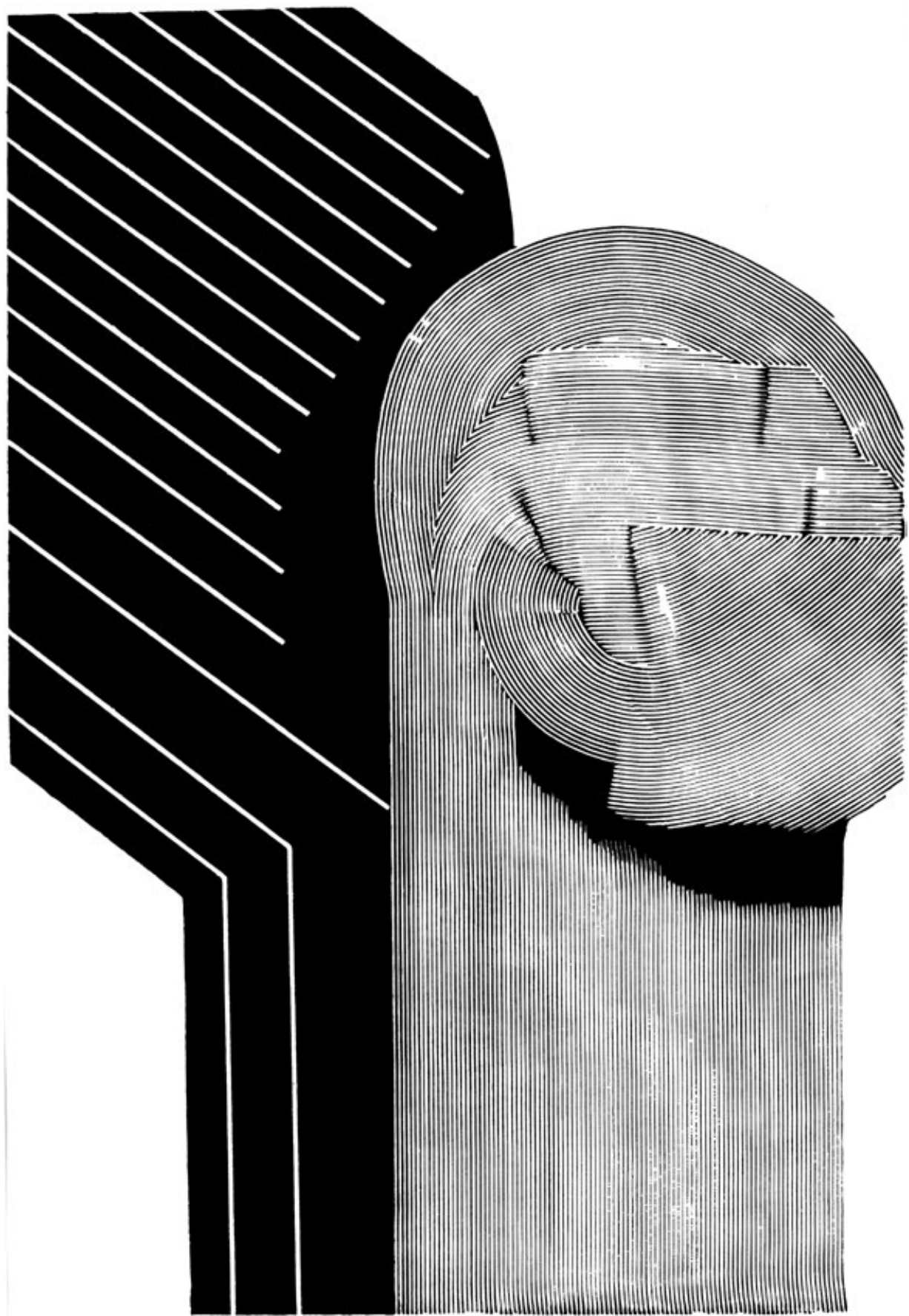
Zaniepokojonych mieszkańców uspokaja prezydent Jacek Majchrowski, zapewniając, że sprawę monitoruje Zarząd Budynków Komunalnych, a uszkodzenia nie zagrażają budynkowi. – Jeszcze w tym roku wykonany zostanie projekt remontu sklepienia Sukiennic – deklaruje prezydent.

Tymczasem trwają spekulacje, co mogło spowodować pęknięcia. Sam SKOZK sugeruje, że winowajcą mogą być nieszczelności kanałów pod Starym Miastem. Handlujący pamiątkami wskazują natomiast na koncerty odbywające się na Rynku: głośna muzyka wprawia w drgania cały budynek!

Kraków w rozmiarze XXS

Czy da się mieszkać na 2,5 metra kwadratowego? Da się – przekonuje krakowska firma YourPlace Apartments. To właśnie oni zaprojektowali lokal przy ulicy Garncarskiej, który nosi dumny tytuł najmniejszego apartamentu świata. – To żart, który ma zmusić ludzi do refleksji nad wykorzystywaniem przestrzeni – tłumaczy Paweł Sitarz, jeden z pomysłodawców.

Na powierzchni, którą da się pokonać dwoma krokami, udało się pomieścić kabinę prysznicową, aneks kuchenny i łóżko. Jest to możliwe, ponieważ mieszkanie ciągnie się wzdłuż: sypialnia znajduje się na antresoli. Noc w apartamencie może spędzić każdy zainteresowany, jednodniowy pobyt kosztuje 80 zł i – jak zapewniają twórcy – cieszy się wielką popularnością.



Klub przyjaciół miesięcznika KRAKÓW



Zofia Katarzyna Morstin Kraków	Piotr Maciukiewicz Kraków	Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk Kraków	Grzegorz Szymański Warszawa	Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś Kraków	Aleksander Skotnicki Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie Kraków	Beata i Wojciech Starowieyscy Kraków	Andrzej X. Kraków	Stanisław Dudzik Kraków	Adam Michnik Warszawa	Marek Borkowski Kraków
Janusz Szerla Kraków	Grzegorz Kogut Kraków	Robert Barański Kraków	Józef Palinka Warszawa	Krzysztof Kołtun Chełm	Marek Braun Kraków
Krystyna Zachwatowicz Kraków	Kazimierz Sumera Zawoja	Aleksander Herzog Warszawa	Jacek Purchla Kraków	Gwidon Dziwoki Kraków	Artur Wolski kino Atlantic Warszawa
Wanda Chmielowska Kancelaria Radcy Prawnego Kraków	Lidia Hanusiak Kraków Andrzej Gaworski Warszawa	Marta i Grzegorz Kondrasiuk Lublin			

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „KraKów” to program dla przyjaciół kultury.
WPŁAĆ 140, 500 lub 1000 złotych – w zamian w naszym miesięczniku zamieścimy logo Twojej firmy lub instytucji, a w przypadku osób będzie to po prostu ich imię i nazwisko (im więcej wpłacisz, tym częściej będziemy je pokazywali!:-))

Będziesz też dostawał upominki i pamiątki związane z miesięcznikiem i jego ludźmi oraz zaproszenia na redakcyjne spotkania i imprezy okolicznościowe, wręczenia nagród itp. Oczywiście wszyscy członkowie Klubu Przyjaciół będą przez cały rok otrzymywali miesięcznik w wersji papierowej lub elektronicznej.

Wpłaty:
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
- nie zapomnij podać adresu, na jaki
mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania
tytułu Złotego Mecenasa Promocji
„Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Optymizm kontrolowany

Tekst: Jerzy Pilch

Patrzysz na swoją drużynę, której złota passa nigdy nie była tak złota, i która – prawdę powiedziawszy – takiej passy nigdy nie zaznała.

Jak w futbol wkracza historia – sześć wygranych z rzędu ostatnio było po wojnie – to jest bez znaczenia, czy była to wojna perska czy światowa. Tak czy owak – znalazłeś się w krainie szczęśliwości.

Cracovia wymienia podania, Cracovia rozgrywa akcje w polu przeciwnika, Cracovia ma pomysł na grę, Cracovia – że użyję żargonu Canal+ Sport – kreuje. Cracovia – gra??? Ludzie, trzymajcie mnie, bo oddam ducha Panu! Może to wiosna – której w Warszawie jeszcze nie widać, chyba że komuś idzie o nową partię, którą też widać słabo – może chwilowy optymizm, może zabobonne oglądanie spotkań na stojąco. Tak czy tak, wszystko wskazuje na to, że plan Probiezja zaczyna działać.

Wdowiak rośnie – sukces dodał mu pół metra, koło dziewięćdziesiątej minuty pełen sił przebiega całe boisko – gdyby mógł, okrążyłby stadion więcej niż truchtem.

Cabrera – niegdyś wzbudzający swą nadwagą niepokój poznawczy – dziś przysadzisty napastnik o przedwojennej urodzie, którego masa – jak w Układzie Słonecznym – przyciąga do siebie piłki.

Gol – solidny stelaż drużyny ściągnięty z Uralu. Tak jest, gracz wielce przydatny drużynie, która skromnie możliwości oceniając, na dobre się w ekstraklasie zadomowi.

Peškovič – pełen poświęcenia i ochoty na własne poświęcenie, czego dowodem przedłużony kontrakt.

Hernández – gdyby mógł, wbiłby na Łazienkowskiej jeszcze ze dwa gole. Inna rzecz – jak na Hiszpana strzelający dziwnie, gdyby nie opinia bramkarzy, że „strzelających dziwnie” obronić niepodobna, dalej miałbym wątpliwości.

Swoją drogą ostatni raz na meczu Cracovii byłem rok temu w Warszawie – powiedzieć, że nie pamiętam takich temperatur, jak tegoroczne, to nic nie powiedzieć. Legia pod wodzą Jacka Magiery zmachała jedną bramkę, co tu dużo mówić, mecz odbył się na połowie gospodarzy. Bardziej niż gra na boisku imponowała mi gra percepcji Janusza Drzewuckiego, który siedząc tuż obok, nie tylko mecz na żywo śledził, ale przez aplikację na smartfonie wszystkie odbywające się w tamtej chwili spotkania w Europie.

Jednym słowem orkiestra gra i to jak, nawet drobna przewaga płoczan w zeszłym tygodniu nie zepsuła tego idealnego obrazu,

walczyliśmy godnie, przegraliśmy w ostatniej chwili. Wisła Płock spada, co wzmoгло tylko jej apetyt na utrzymanie. Co więcej, moja żona twierdzi, że bramka z karnego to nie bramka, zwłaszcza kiedy jedenastka jest po-

**Optymizm jest kontrolowany
wieloletnim ćwiczeniem roli ofiary.**

dyktowana drużynie przeciwnej. Na dziś jesteśmy na siódmym miejscu z imponującym wynikiem – 36 punktów, można powiedzieć, że 3 punkty dzielą nas od Lecha Poznań, 4 od Jagielloni. Górna ósemka czuje już na swych plecach oddech Cracovii.

Co ciekawe, wzlot Cracovii ściśle łączy się ze spadkiem formy Korony – rozpędzona, wielokulturowa drużyna pod wodzą Napoleona z Niemiec o włoskich korzeniach imponowała taktyką, umiejętnością zmiany ustawienia w czasie meczu, siłą uosabianą przez dwumetrowego obrońcę i kapitana Koroniarzy Rymaniaka.

Nie od dziś wiadomo, że Ekstraklasa jest nieprzewidywalna, różnice między drużynami nie są duże etc., etc. Zdarzają się perły – zeszłoroczny Górnik Zabrze złożony niemal z samych młodych, polskich herosów dziś szoruje po dnie tabeli; zeszłoroczny Piast bliiski upadku – dziś z tym samym trenerem zaszczytne czwarte miejsce obejmuje. Tak jest, Ekstraklasa jest zadziwiająca, zaskakująca, wszyscy walczą o górną ósemkę, potem o tytuł Mistrza, a co roku Mistrzem zostaje Legia, o której stylu nie sposób powiedzieć – ale przyjebali.

I tak wracamy do punktu wyjścia: optymizm jest kontrolowany wieloletnim ćwiczeniem roli ofiary. Derby tuż, tuż, kurwa. No, ale jak mawiał Lettieri do Rymaniaka: „Nein, Rymaniak, nein!”.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

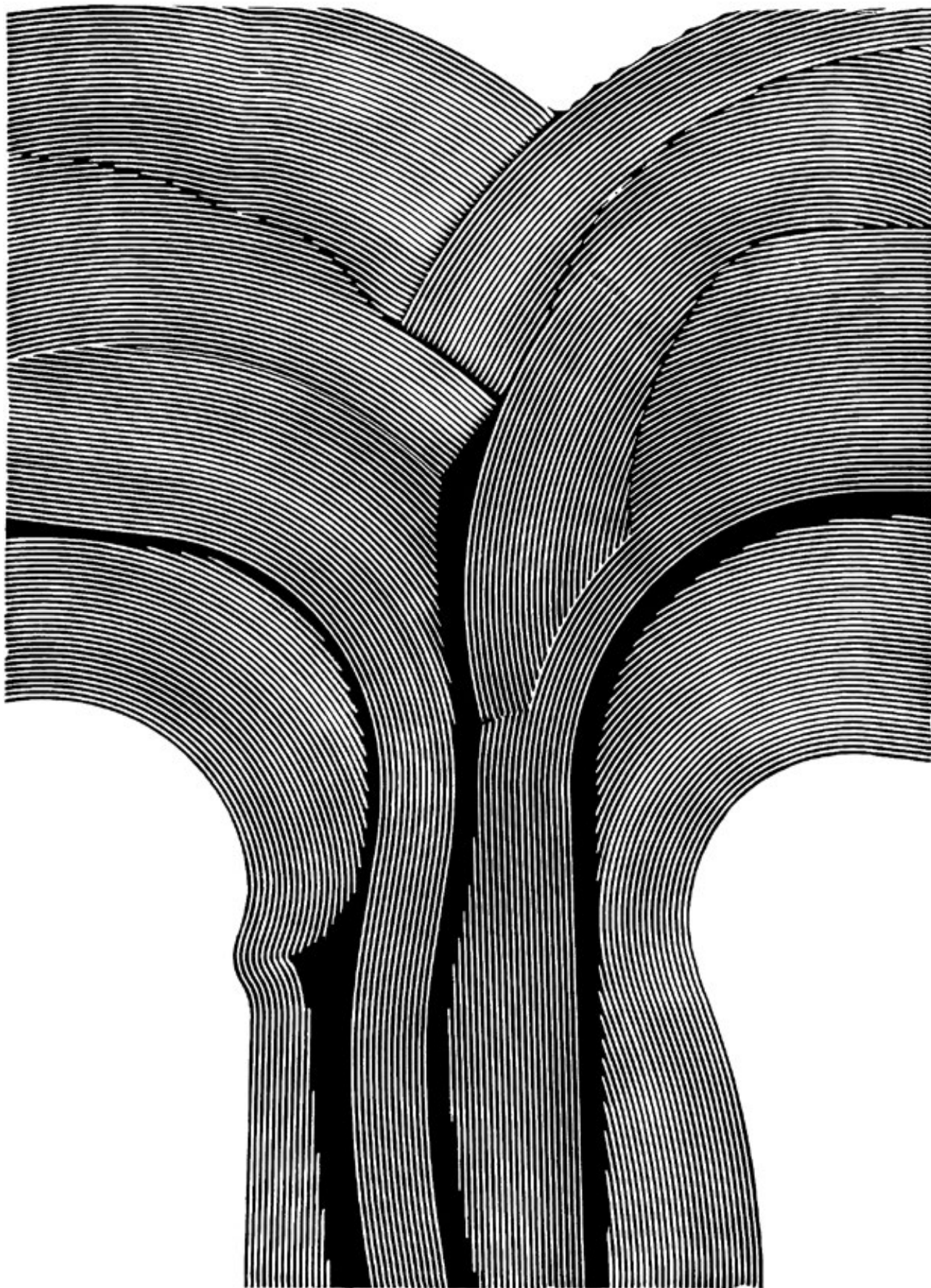
Kopalnia Soli „Wieliczka”

TEŻNIA SOLANKOWA

- teżnię zasila solanka z wielickiej kopalni
- ok. 7500 m² powierzchni
- wieża widokowa o wysokości 22,5 m



www.kopalnia.pl



Ryszard Otręba

Drugie lato Mateusza, gipsoryt, 77 x 56 cm, 1973 – więcej informacji o artyście wewnątrz numeru